Projekt okładki:
Igor Stanisławski

Redakcja techniczna:
Agnieszka Kuczkiewicz-Fraś

© Copyright by Kazimierz Michał Ujazdowski, 2015

Wydanie II rozszerzone

ISBN 978-83-64753-27-5

Ośrodek Myśli Politycznej
www.omp.org.pl
e-mail: omp@omp.org.pl

SPIS TREŚCI

Piotr Zaremba, *Wprowadzenie* 7

Reforma konstytucji albo słabość państwa

Na drodze do rewizji ustroju 15
Fałszywy kompromis, czyli o słabości parlamentarnego projektu konstytucji 25
Konserwatyści wobec konstytucji 29
Czas na zmianę konstytucji 45
IV RP bez konkurencji 51
Efektywność rządu albo kryzys legislacji 57
O prymacie konstytucji i panowaniu nad swoim losem . . . 75
Reforma konstytucji albo słabość państwa 81
Pakiet demokratyczny przeciw monopolowi PO 87
Tak dla referendum 91

Po pierwsze instytucje

Dobry i sprawny rząd 97
Prawdziwa batalia o kształt państwa 109
Nie wolno zgodzić się na kompromis 115
Sejm w państwie prawników, czyli jak nie wylać dziecka z kąpielą 119
Naprawa sądownictwa 133
Trzecia władza ponad państwem 141
Adwokaci – egoizm bez misji 147
Prawo do kary 153
Bierność wraca 159

Prokuratura poza państwem 165
Nowy despotyzm 169

Pamięć i przyszłość

Państwowiec osobliwy 175
Dziedzictwo Ruchu Młodej Polski 187
Francuskie fascynacje 199
Kościół, liberałowie i polski kapitalizm 205
Wierność i wolność 211
Tolerancja to za mało 217
Odzyskać pamięć 221
Polityka historyczna i jej wrogowie 227
Fałszywa droga do pojednania 233
Pamięć i przyszłość 239
I Sienkiewicz, i Gombrowicz 243
Miejsce kultury w polskiej polityce zagranicznej 247
Kultura naszą racją stanu 255
Alfabet pominiętych 261
Polska myśl budująca jedność 267

Ufać sobie i Europie

Innowacje traktatu lizbońskiego: realność czy fikcja 275
Ufać sobie i Europie 281
Konserwatyści wobec integracji europejskiej 285
Europa Środkowo-Wschodnia musi stanąć na nogach 289

Indeks 293

PIOTR ZAREMBA

Wprowadzenie

Przed II wojną światową większość czołowych polityków polskich broniła swoich racji równie zręcznie na piśmie, co w publicznych wystąpieniach. Niektórzy przeszli do historii jako najważniejsi polityczni publicyści (Roman Dmowski), podczas gdy inni byli „tylko" błyskotliwymi eseistami (Józef Piłsudski). Wielu łączyło zawód posła z zawodem dziennikarza. Z dziejów II RP wyłania się galeria politykujących redaktorów naczelnych – od socjalistów Mieczysława Niedziałkowskiego i Kazimierza Pużaka po arcykonserwatystę Stanisława Cata-Mackiewicza.

W dzisiejszych czasach ta dwoistość nie jest już tak oczywista. W starszym pokoleniu, zwłaszcza wśród liderów demokratycznej opozycji, wielu broniło jeszcze swoich racji także tekstami publicystycznymi, ale nie zawsze wytrwali przy tej formie aktywności po roku 1989. Tym bardziej dotyczy to ich następców, którym wystarczy często umiejętność lapidarnego i mocnego wypowiadania się przed telewizyjnymi kamerami.

Jeśli już powstają teksty premierów i liderów partii, bywają one dziełami zbiorowymi marketingowców, tak jak i ich przemówienia. Dodajmy, że umiejętność kreślenia dalekosiężnych celów, wchodzenia w nie tylko doraźne spory z reprezentantami innych kierunków myślenia, zajmowania się metapolityką, nie jest dziś najbardziej pożądaną cnotą posła, senatora, ministra czy partyjnego działacza. Można zaryzykować twierdzenie, że większość się bez niej obywa.

Tym ciekawsze jest spotkanie z politykiem, który się tej zdolności nie wyzbył. Który pielęgnuje ją w sobie we wszystkich możliwych odmianach: od poważnych artykułów w teoretycznych kwartalnikach po polemiczne okruszki na internetowym blogu. I co więcej, który nie tylko dawał wyraz swoim poglądom, ale wyrył istotne piętno na wielu fundamentalnych debatach ostatnich dwudziestu kilku lat III Rzeczpospolitej. Nieraz nie mniej istotne piętno niż ci, którzy publicystyką, komentowaniem rzeczywistości zajmują się jako swoim głównym zawodem. Ten przegląd wybranych tekstów Kazimierza Michała Ujazdowskiego pozwala nam się o tym odkryciu przekonać.

Jest on bez wątpienia jednym z tych polityków, którzy szczególnie dbają o swój rozwój intelektualny. Wystarczy wspomnieć, że będąc wieloletnim wykładowcą szkół wyższych, w zeszłym roku doczekał się habilitacji, wydając ciekawą pracę na temat ustroju V Republiki Francuskiej, jego ideowej genezy i ewolucji. Także i w tekstach tutaj pomieszczonych ujawnia się niejeden raz jego pasja badacza. Teksty podsumowujące rozwój sądownictwa w III RP, albo bardzo gorzki rozrachunek z dorobkiem polskiej adwokatury, mają w sobie coś z małego historycznego studium.

Ale to zarazem coś więcej, bo przecież nie wystarczy znać fakty, czy nawet nienagannie opisywać procesy, aby uprawiać ten rodzaj publicystyki. Kazimierz Ujazdowski ma poglądy, co na polskiej scenie politycznej nie jest wbrew pozorom takie powszechne i oczywiste. Wie, czego oczekuje od polskiej polityki, polskiego państwa, czasem od polskiego narodu, od Kościoła katolickiego czy od Unii Europejskiej. Umie tych swoich przekonań z pasją bronić i ze swadą dowodzić.

Był zawsze politykiem szczególnym. Rocznik 1964, w czasach schyłkowego PRL wychowanek rozmiłowanego w teoretycznych debatach, pod wieloma względami przecierającego nowe szlaki Ruchu Młodej Polski, był może lepiej niż inni przygotowany do politycznych i ustrojowych

poszukiwań. To nadało mu zresztą piętno pewnej niejednoznaczności. Brała się ona najczęściej z tego, że nie chciał się naginać do politycznych poprawności. W Unii Demokratycznej reprezentował pobuntowanych konserwatystów. Potem nie chciał się godzić na nieco papierowy, wykoncypowany konserwatyzm swego pierwszego mistrza Aleksandra Halla, nazbyt miękki wobec przesądów liberalnego mainstreamu. Był wyrazistym katolikiem, ale przecież nie do końca w ZChN-owskim duchu. Chciał jedności w ramach AWS, ale zarzucał tej formacji duchowy marazm i najróżniejsze patologie.

W jednym z artykułów w niniejszym zbiorze daje wyraz sympatii dla jednego ze swoich ulubionych bohaterów, przedwojennego konserwatysty Adolfa Bocheńskiego. On także nie do końca chciał się wpasować w jakikolwiek kanon myślenia, a przy tym był zdolny do zasadniczych rewizji własnych przekonań, kiedy nie pasowały do rzeczywistości.

Zarazem pewne cechy myślenia Ujazdowskiego pozostały niezmienne. W kolejnych prawicowych formacjach zmierzał w pewnym określonym kierunku. Od salonowego konserwatyzmu, wymyślanego przez ludzi opozycji jeszcze w latach 80., do realnego konserwatyzmu zwykłych ludzi, którzy na początku lat 90. chcieli po prostu tradycyjnej, patriotycznej i antykomunistycznej Polski, opartej na prostych wartościach. Stąd brak obawy przed współpracą z demonizowanymi przez media ludźmi ZChN, stąd również stosunkowo szybkie zrozumienie z Jarosławem Kaczyńskim, który próbował te emocje skanalizować w może najbardziej dojrzałym prawicowym politycznym projekcie tamtych czasów.

Z prezesem Porozumienia Centrum połączyła Ujazdowskiego także skłonność do stawiania przed polskim państwem i polską prawicą zadania podstawowego: prowadzenia polityki ambitnej. W zgodzie na minimalizm, na dostosowanie się do reguł narzuconych przez innych, w pokusach, aby budować na korzeniu peerelowskich nawyków i obyczajów,

Kaczyński i Ujazdowski upatrywali śmiertelne niebezpieczeństwo. Stąd ich odrzucenie reguł rządzących AWS-em, potem zaś partyjne spotkanie na początku lat 2000., w ramach PiS. I stąd definitywna współpraca dzisiaj.

Ambitnej polityce państwowej poświęcona jest znaczna część artykułów zebranych w tej książce. Czasem Ujazdowski pojmował ją inaczej niż PC – przywiązując większą wagę do decentralizacji czy szukając w konstytucyjnych zapisach ochrony interesów przedsiębiorców albo podatników. Wspólna była za to zawsze obawa przed przekształceniem Polski w federację korporacyjnych instytucji – to może nawet główny temat tego cyklu.

Prawnik Ujazdowski pisał przez lata spokojnym językiem spójną i konsekwentną przestrogę przeciw „państwu prawników" – wpisując się w wielką, w gruncie rzeczy ogólnoświatową debatę, ale nie tracąc ani przez moment z pola widzenia specyficznego, polskiego, czasem także, jak w rozważaniach o weryfikacji sędziów czy o lustracji, postpeerelowskiego kontekstu.

Część jego sporów z prawnikami to spory o zasady, czasem fundamentalne, jak wtedy, kiedy przypominając, że celem kodeksowej kary jest „przywrócenie sprawiedliwości" a nie tylko resocjalizacja przestępcy, dotyka już wręcz filozoficznych dylematów stających przed każdą ludzką zbiorowością. Część to spór o granice władzy i o naturę demokratycznej legitymacji, także o skuteczność i efektywność systemu krojonego nie pod wspólny pożytek, a pod wygodę tego czy innego środowiska. Prowadząc o to boje przez lata, na papierze równie twardo jak w rzeczywistej polityce, Ujazdowski dotykał w moim przekonaniu jednego z najważniejszych problemów i największych słabości naszej ustrojowej transformacji.

Ale to naturalnie nie jedyny przedmiot jego publicystycznej pasji. W trzech uwiecznionych tutaj tematycznych segmentach okazał się bez mała prekursorem. Po pierwsze jako jeden z twórców, rzeczników i jako minister kultury

wykonawca tak zwanej polityki historycznej. Mało który polityk poświęcił jej tak wiele uwagi, ale też mało który polityk prawicy umiał ją objaśniać ludziom spoza własnego obozu ideowego. Tłumaczyć jej sens i potrzebę językiem wartości uniwersalnych, a nie patriotycznych zaklęć. Taki typ perswazji był bardzo trudny do odparcia, stąd zresztą rozmaite, niestety nieraz przejściowe, sukcesy tej polityki.

Po drugie, jako najkonsekwentniejszy propagator konstytucjonalizacji polskiej polityki w Unii Europejskiej, jednak takiej, która zabezpieczy możliwie najlepiej interes polskiego państwa narodowego w obrębie unijnych instytucji, a także interes politycznej mniejszości (opozycji) w samych polskich instytucjach, z parlamentem na czele. Ujazdowski dowiódł, że tak zwany eurorealizm nie jest i nie musi być zbiorem jałowych utyskiwań i narzekań. Że dla polskiego interesu narodowego można znaleźć skuteczne narzędzia prawne.

Tu znajdziemy polemiczne teksty na ten temat, ale warto przypomnieć, że za słowami szły i czyny. To jego między innymi starania skłoniły specjalną podkomisję Sejmu poprzedniej kadencji do przygotowania tak zwanego europejskiego rozdziału konstytucji, który dawał Polakom instrumentarium dla bardziej asertywnej polityki zagranicznej, a przede wszystkim europejskiej. Co więcej, te przepisy stały się przedmiotem szerokiego konsensusu, obejmującego wszystkich, nawet i posłów PO. To polityczna decyzja premiera Donalda Tuska ten kompromis zerwała.

Trzecim wreszcie oryginalnym wkładem Kazimierza Ujazdowskiego w polską debatę jest jego głoszona bardzo mocno od kilku lat afirmacja demokracji bezpośredniej, przede wszystkim referendum. Jakby wbrew całej tradycji środowisk konserwatywnych to właśnie on jest dziś w ramach PiS czołowym rzecznikiem nie tylko przyjęcia konkretnych obywatelskich wniosków, ale też zmian ustrojowych dających obywatelom szerszą możliwość korzystania z tej zdobyczy demokracji. O ile w przypadku dwóch po-

przednich nowości autor niniejszego tekstu akceptuje je w pełni, o tyle tu ma wątpliwości. Ale trzeba przyznać, że Ujazdowski bardzo przekonująco objaśnia sens tej nowej drogi – i na tle kryzysu światowej demokracji, i szczególnego zamknięcia polskiego systemu politycznego pod rządami Platformy Obywatelskiej.

Dzisiejszy Ujazdowski nie jest już mówcą z entuzjastycznych seminariów lat 90., na których konserwatyzm traktowano jako ideologię skończoną i łatwą do zaaplikowania. Niektóre z jego ówczesnych pasji uległy przytępieniu w ramach szerokiego bloku prawicowego, jakim jest PiS, niewątpliwie dziś nieco inaczej niż wtedy opisuje katalog głównych zagrożeń i głównych celów, o które warto się upominać. Zarazem obecność w debacie publicznej jego konserwatywnej wrażliwości wciąż przynosi nowe zyski. Na przykład wtedy, gdy jako poseł opozycji w państwie Tuska przestrzega przed niebywałą arbitralnością edukacyjnej biurokracji wobec rodziców i uczniów. Dzieje jego wojen z tą biurokracją można także znaleźć w kilku najnowszych tekstach.

Dużo to czy mało? Wskażcie mi wielu innych polityków z podobnym dorobkiem, z równie szerokimi i różnorodnymi polami ekspansji, a uznam, że nie ma czego chwalić. Są zaś jeszcze smaczki: miłość do francuskiej myśli politycznej, do przedwojennych i powojennych książek, kanon lektur, kanon bohaterów. Kazimierz Ujazdowski to polityk, któremu z ochotą powierzyłbym misję wychowania mojego dziecka. Byłoby to wychowanie kulturalne, a przecież nie nudne ani schematyczne. Mówię wprost i bez obłudy: taka lekcja przyda się wszystkim Polakom.

Reforma konstytucji albo słabość państwa

Na drodze do rewizji ustroju

Najważniejszym punktem debaty nad kształtem Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej jest zagadnienie ustroju politycznego państwa. Przyszła ustawa zasadnicza ureguluje również inne kwestie. Znajdą się w niej przepisy, które określą suwerenny podmiot władzy – właściciela państwa. Rozstrzygnięty zostanie problem stosunku podstawowych norm etycznych do porządku prawnego. Zagwarantowane będą prywatne prawa jednostki, a obok tego znajdzie swoje miejsce regulacja praw i obowiązków obywatelskich.

Ale właśnie ustrojowo-polityczna część konstytucji jest, jeśli można tak powiedzieć, jej najbardziej „konstytucyjnym" fragmentem. Konstytucja to przede wszystkim „ustawa organiczna", czyli akt prawny, który decyduje o relacjach między poszczególnymi organami państwa, w szczególności o stosunku „władzy ustawodawczej" do „władzy wykonawczej". Temu właśnie problemowi pragnę poświęcić swoją uwagę.

W wypowiedziach naukowców, publicystów i polityków państwo obywatelskie kojarzone jest bardzo często z jednym modelem ustrojowym, z modelem rządów parlamentarnych. „Nasza tradycja kulturowa, polityczna i tradycja ustrojowa" – mówił na forum sejmowej Komisji Konstytucyjnej prof. Paweł Sarnecki – „wykazuje wyraźną tendencję do upatrywania w Sejmie jedynego organu przedstawicielskiego, jedynego czynnika legitymowanego do powoływania się na wolę Narodu"[1]. Rządy parlamentarne, to znaczy takie, w których istnieje prawnie zadekretowana supremacja par-

---

[1] P. Sarnecki, *Założenia i systematyka konstytucji* (referat wygłoszony na forum sejmowej Komisji Konstytucyjnej).

lamentu, mają w rozumieniu swoich zwolenników najpełniej odpowiadać wolności politycznej. Debata nad kształtem ustroju Polski nie jest wolna od ciśnienia historii. Ci, którzy opowiadają się za „zwierzchnictwem parlamentu nad innymi organami państwa", stawiają za wzór współczesnemu ustrojodawcy „sejmokratyczną" Konstytucję marcową (w trakcie inauguracyjnego posiedzenia sejmowej Komisji Konstytucyjnej jeden z posłów określił ją mianem „wielkiej konstytucji") i jednocześnie wydają całkowicie negatywny osąd Konstytucji kwietniowej[2].

Czy system rządów parlamentarnych jest jedynym ustrojem, w którym społeczeństwo uzyskuje pełną podmiotowość polityczną? Nie, państwo obywatelskie nie musi przybierać takiej formy rządów. W jego ramach spotykamy dwa zasadnicze modele ustrojowe: system prezydencki i parlamentarny.

Klasycznym przykładem pierwszego z nich jest ustrój Stanów Zjednoczonych. Istota systemu prezydenckiego polega na całkowitym odseparowaniu władzy wykonawczej od władzy ustawodawczej. Charakteryzuje się on silną pozycją głowy państwa. Prezydent, wybierany bezpośrednio przez naród, sprawuje niepodzielnie władzę wykonawczą, stoi na czele rządu. Wyborcy wybierając Prezydenta decydują równocześnie o obliczu egzekutywy. Rząd nie jest politycznie odpowiedzialny przed parlamentem. Parlament z kolei dysponuje pełnią władzy ustawodawczej. Decyduje niemal niepodzielnie o kształcie porządku prawnego.

Inaczej w systemie rządów parlamentarnych (określanych również mianem demokracji parlamentarnej). Władza ustawodawcza jest tu bardzo silnie połączona z władzą wykonawczą. Państwem rządzi i kieruje ta siła polityczna, która posiada aktualnie większość w parlamencie. Głowa pań-

[2] Sprawozdanie z posiedzenia sejmowej Komisji Konstytucyjnej w dniu 6 lutego 1990 r., „Biuletyn Komisji Konstytucyjnej", t. I, s. 11.

stwa (monarcha czy prezydent) pełni najczęściej wyłącznie reprezentacyjne funkcje. Jednocześnie występuje zmniejszenie prawotwórczej roli parlamentu. Większością prac ustawodawczych kieruje *de facto* rząd; jego położenie jest tym lepsze, im silniejsze jest poparcie w organie przedstawicielskim, im silniejsza jest jego pozycja parlamentarna. Klasycznym przykładem rządów parlamentarnych jest ustrój Wielkiej Brytanii.

Wybór ustroju jest wyborem wartości. Nie sądzę, że najbardziej wolnościowym systemem politycznym jest demokracja parlamentarna. Ale rzecz w tym, czy opowiadając się za takim, a nie innym rozwiązaniem ustrojowym musimy czynić to w imię jednej wartości, w imię wolności politycznej. Uważam, że nieuprawniony jest tego rodzaju monizm konstytucyjny. Kształt ustrojowy Rzeczypospolitej musi być wyrazem kompromisu między wolnością, wpływem narodu na politykę państwa a troską o stabilność i sprawność organizmu państwowego. Powiedzmy jasno: stabilność i efektywność władzy państwowej to także wartości pozytywne. Zdestabilizowany organizm państwowy nie jest w stanie ochronić ani praw jednostki, ani interesów narodu.

Rozumie to doskonale cytowany wcześniej profesor Paweł Sarnecki. W wystąpieniu na forum sejmowej Komisji Konstytucyjnej powiedział, iż „potrzebą, którą winna zaspokoić konstytucja jest stworzenie fundamentów pod państwo sprawne, efektywne, zaryzykowałbym – nawet kosztem pełnej demokratyzacji”[3].

Trudno mi nie zgodzić się z tymi poglądami. Jednakże konkretne propozycje przedstawione przez referenta nie odpowiadają powyższym założeniom. Profesor Sarnecki chce podnieść „zwierzchnictwo Sejmu w systemie organów państwowych” do rangi zasady konstytucyjnej. Sejm jest dla niego głównym ośrodkiem władzy w państwie, powołuje

[3] P. Sarnecki, *Założenia i systematyka...*

i odwołuje rząd, który jest przed parlamentem politycznie i konstytucyjnie odpowiedzialny. Projekt profesora Pawła Sarneckiego jest zatem postacią systemu demokracji parlamentarnej.

Co więc gwarantować ma stabilność i efektywność państwa? Ustabilizowanie rządu zapewni przyjęcie instytucji (znanej ustawodawstwu zachodnioniemieckiemu) konstruktywnego wotum nieufności. Jej istota polega na tym, iż odwołanie rządu przez parlament w trybie zgłoszenia wotum nieufności jest skuteczne tylko w tym przypadku, gdy łączy się z tym utworzenie nowego gabinetu. Dodatkową gwarancją ma być wyważone rozgraniczenie „kompetencji rządu i parlamentu", co ma służyć usamodzielnieniu polityki rządowej od wpływu instytucji przedstawicielskiej.

Logiczną konsekwencją opowiedzenia się za systemem „zwierzchnictwa parlamentu" jest osłabienie pozycji prezydenta. Odebrane mu są „własne kompetencje władczo-polityczne". Głowa państwa, zdaniem Sarneckiego, powinna być wyłącznie instytucją reprezentacyjną i zalecającą (prawo inspirowania Rady Ministrów i Sejmu). Koncepcja prof. Sarneckiego ma charakter „umiarkowanie sejmokratyczny". Mieści się w ramach tendencji, która – jak twierdzi jej autor – „upatruje w Sejmie jedyny organ przedstawicielski, jedyny czynnik legitymowany do powoływania się na wolę narodu". Jej najistotniejszym mankamentem jest brak odpowiedzi na pytanie: czy w warunkach polskich ten „umiarkowanie sejmokratyczny" system zapewni stabilność i sprawność rządów. Czy instytucja konstruktywnego wotum nieufności zdolna jest przeciwdziałać zbyt częstym, łatwym zmianom gabinetów?

Doświadczenia historyczne nie pozwalają na optymizm. Rządy parlamentarne nie funkcjonują dobrze w warunkach „rozproszkowanego", kilkupartyjnego układu politycznego. Nietrudno w tym względzie o bezdyskusyjnie negatywne przykłady: Polski lat 1922-1926 czy praktyki ustrojowej IV Republiki Francuskiej. Demokracja parlamentarna sprawdza

się dobrze tam, gdzie mamy do czynienia z systemem dwupartyjnym (Wielka Brytania). Wydaje się, iż system zachodnioniemiecki, gdzie funkcjonuje konstruktywne wotum nieufności jest, pomimo istnienia więcej niż dwóch partii, bliski modelowi dwupodmiotowemu. Chodzi w końcu o wybór między centrolewicą a centroprawicą.

Sytuacja Polski jest jakościowo różna. Kształtuje się układ wielopartyjny. Nic nie wskazuje na to, iż do chwili wyborów parlamentarnych obecny stan rzeczy ulegnie zasadniczej rewizji. W tych warunkach „racjonalizacja odpowiedzialności politycznej rządu przed Sejmem" okaże się środkiem niewystarczającym. Tym bardziej, iż profesor Sarnecki opowiada się za proporcjonalnym prawem wyborczym. Co więcej, proponuje, by pięcioprzymiotnikowość wyborów podnieść do rangi zasady konstytucyjnej. W tej sytuacji trudno myśleć o wytworzeniu stabilnego układu partyjnego, który mógłby dobrze funkcjonować w warunkach rządów parlamentarnych.

Czy w związku z tym rozwiązanie problemu wiąże się z przyjęciem ordynacji większościowej? Tak właśnie uważa publicysta „Tygodnika Powszechnego" Roman Graczyk. W tekście *Jaka demokracja* dowodzi, że „dopóki sam system partyjny jest nie ukształtowany, bezpieczniejszym rozwiązaniem wydaje się przyjęcie ordynacji większościowej. Daje ona dużo większe szanse na parlament złożony z kilku silnych ugrupowań, zdolnych wytworzyć zarówno zwartą większość rządzącą, jak i spoistą opozycję"[4].

Nie jestem dogmatycznym zwolennikiem ordynacji proporcjonalnej. Wiem, że wybór między zasadą reprezentatywności a zasadą majoratu nie jest wyborem między ordynacją dobrą a złą. System większościowy sprzyja formowaniu się trwałej większości, zwraca uwagę na zalety osobiste kandydatów i wiąże silniej posłów z ich elektoratem. Ma

[4] R. Graczyk, *Jaka demokracja*, „Tygodnik Powszechny", nr 19, 1990.

jednak również bardzo istotne wady. Nie odzwierciedla rzeczywiście nurtujących społeczeństwo podziałów, premiuje duże ugrupowania kosztem mniejszych, przez co przynosi rezultaty sprzeczne z zakresem społecznego poparcia. Niemal odwrotnie wyglądają zalety i wady systemu proporcjonalnego.

Ale to właśnie system proporcjonalny jest dziś sprzymierzeńcem pluralizmu politycznego. Istnieje bowiem całkiem realna groźba, że przyjęcie systemu większościowego uniemożliwi wielu ugrupowaniom politycznym samo „wejście do gry", odbierze im możność udziału w życiu publicznym.

Roman Graczyk pisze, iż „dopóki system partyjny jest nieukształtowany, bezpieczniejszym rozwiązaniem wydaje się przyjęcie ordynacji większościowej". Otóż uważam, że większościowe prawo wyborcze może właśnie przeszkodzić kształtowaniu się systemu partyjnego. Nie byłoby dobrze, gdyby stabilność organizmu państwowego chciano osiągnąć kosztem rozwoju systemu partyjnego. Powtarzam, nie wierzę w dogmat pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego, ale jestem przekonany, iż zasada proporcjonalności zdolna jest poszerzyć bazę polityczną dokonujących się nad Wisłą zmian, co więcej – uważam, że sprzyjać ona będzie wspólnemu dobru, reformom zmierzającym do budowy w pełni obywatelskiego państwa, które potrzebuje przecież fundamentu w postaci ciał pośredniczących – silnych i dysponujących różnorodnymi propozycjami ideowo-programowymi partii.

Zresztą, w trakcie debaty nad kształtem lokalnego prawa wyborczego wytworzyło się przekonanie, mniejsza o jego słuszność, iż proporcjonalność najpełniej odpowiada zasadom nowoczesnego państwa. Ugrupowania opozycji pozaparlamentarnej, znaczna część posłów OKP, żądała w imię odchodzenia od „demokracji kontraktualnej" oparcia wyborów komunalnych na zasadzie reprezentatywności. Dążenia te popierały ugrupowania wywodzące się ze „starego ukła-

du". Wiedzą one, iż rozmiary porażki w ubiegłorocznych wyborach do Senatu pozostają w związku z ordynacją większościową. Nic nie wskazuje na to, by te opinie i poglądy uległy rewizji w czasie prac nad ordynacją wyborczą do przyszłego parlamentu. Tak więc, czy się tego chce, czy nie, jesteśmy „skazani" na proporcjonalność.

By pogodzić swobody polityczne ze stabilnością organizmu państwowego należy przekroczyć ortodoksję rządów parlamentarnych. Kształt ustrojowy Rzeczypospolitej winien być rezultatem kompromisu między prezydencjalizmem a parlamentaryzmem.

System czysto prezydencki wytworzył się na specyficznym amerykańskim gruncie. W warunkach płynności układu partyjnego całkowite uniezależnienie władzy wykonawczej od ustawodawczej może przynieść odwrotny do zamierzonego skutek. Stabilność to nie władza na własność. Nie wolno popadać z jednej skrajności w drugą. Byłoby niebezpieczne przyjąć ustrój, który na długi czas wykluczałby możliwość wymiany ekip rządzących. Warto pamiętać o słowach Adolfa Bocheńskiego[1], jednego z najwybitniejszych publicystów ustrojowych Polski międzywojennej: „Konstytucja gwarantująca w bardzo dużym stopniu legalną stałość może z największą łatwością doprowadzić do stałości nielegalnej"[5].

Optymalnym rozwiązaniem wydaje się ustrój, który można by określić mianem prezydencko-parlamentarnego. Wymaga on, to jasne, rezygnacji z uznawania Sejmu za jedyny czynnik mający pełną legitymację narodu, rezygnacji z zasady „zwierzchnictwa parlamentu nad innymi organami państwa". Tę pełną legitymację posiadałyby dwa inne i równoprawne względem Sejmu „organy władzy narodu" – prezydent i niezawisłe sądy.

---

[5] A. Bocheński, *Dwie konstytucje*, „Bunt Młodych", nr 35, 1933.

W systemie prezydencko-parlamentarnym właśnie to głowa państwa, wybierana w powszechnych i bezpośrednich wyborach w sposób niezależny od parlamentu, byłaby reprezentantem całego narodu, wszystkich obywateli, nie zaś rzecznikiem aktualnej większości parlamentarnej. Prezydent, którego kadencja winna być dłuższa od parlamentarnej (6-7 lat), powinien pełnić rolę czynnika stabilizującego organizm państwowy i autonomicznego w stosunku do fluktuacji parlamentarnych. Z tego względu głowa państwa musi być czymś więcej niż instytucją reprezentacyjną czy inspirującą (prawo kierowania orędzi do Sejmu, zwoływanie jego nadzwyczajnych sesji, zwoływanie posiedzeń rządu). Musi mieć wpływ na władzę wykonawczą. Podkreślam, nie chodzi o funkcję rządzenia, ale o wpływ sprzyjający stabilności, przeciwstawiający się zbyt częstym zmianom rządów.

A zatem prezydent powoływałby gabinet na podstawie parlamentarnej, będąc jednocześnie wyposażonym w uprawnienie do rozwiązywania parlamentu i ogłoszenia nowych wyborów, szczególnie w sytuacjach, gdy parlament nie jest zdolny do powołania rządu, bądź wtedy, gdy na jego forum przedstawiony zostanie wniosek o głosowanie nad wotum nieufności dla gabinetu (głosowanie nad wnioskiem nie mogłoby odbyć się na posiedzeniu, podczas którego wniosek został zgłoszony). W warunkach polskich, w sytuacji kształtowania się układu wielopartyjnego, „racjonalizacja odpowiedzialności politycznej gabinetu przed Sejmem" nie wystarczy by zapobiec niestałości rządów. Potencjalna możliwość rozwiązania parlamentu przez prezydenta jest środkiem skuteczniejszym od konstruktywnego wotum nieufności. Tak więc system prezydencko-parlamentarny polegałby na ograniczeniu odpowiedzialności rządu przed parlamentem i na wzajemnym zrównoważeniu uprawnień prezydenta i Sejmu w zakresie powoływania i odwoływania władzy wykonawczej.

Wzmocnienie władzy głowy państwa jest w mojej opinii konieczne także z innego względu. Otóż uważam, iż najważ-

niejszymi dziedzinami z punktu widzenia polskiej racji stanu są polityka zagraniczna i obronna. Tu dbałość o ciągłość i sprawność władzy ma bardzo istotne znaczenie. Nieustanne zmiany podmiotów prowadzących politykę zagraniczną nie będą wpływały pozytywnie na pozycję międzynarodową państwa polskiego. Dlatego też uważam, iż prezydent – wzorem francuskich rozwiązań ustrojowych – powinien uzyskać znaczny i wolny od zmian dokonujących się w parlamencie wpływ na te dwie dziedziny. Kraj położony w tym punkcie Europy powinien zadbać o prawne warunki sprzyjające stabilnej i konsekwentnej polityce zagranicznej.

W systemie prezydencko-parlamentarnym parlament przestaje być „organem zwierzchnim", ale jego pozycja ustrojowa nadal pozostaje duża. Sejm wyłaniany w wolnych i proporcjonalnych wyborach stałby się wyrazem zróżnicowania występujących w społeczeństwie opinii i tendencji politycznych. Parlament współdecydowałby wraz z głową państwa o powołaniu i obliczu egzekutywy. Spełniałby względem niej funkcje kontrolne. Sądzę również, iż model prezydencko-parlamentarny nie wiąże się z tak daleko idącym „urządowieniem" ustawodawstwa, jak to ma miejsce w systemie demokracji parlamentarnej. Czym dalej bowiem od rządów czysto parlamentarnych, czym dalej od systemu, w którym maksimum władzy skupione jest w rękach premiera będącego przywódcą partii rządzącej, tym większe jest znaczenie prawotwórcze parlamentu. Paradoksalnie, to właśnie synteza demokracji parlamentarnej i ordynacji większościowej osłabia położenie Sejmu jako instytucji przeobrażającej porządek prawny.

Prof. Sarnecki pisze, iż „nie jest zwolennikiem zasady trójpodziału władzy, lecz racjonalnego podziału kompetencji". Jest to formalistyczna interpretacja myśli Monteskiusza[2]. Idea trójpodziału władzy może oznaczać coś więcej niż formalnoprawne odseparowanie legislatywy od egzekutywy. Wybitny prawnik węgierski, István Bibó[3], wiązał ideę trójpodziału z dekoncentracją władzy, z przeciwstawianiem

się sytuacji, w której jeden ośrodek polityczny skupia w swoich rękach maksimum faktycznych kompetencji[6]. I w tym rozumieniu, rzeczywiście, propozycja prof. Sarneckiego, a w jeszcze większym stopniu koncepcja Romana Graczyka, kłócą się z zasadą trójpodziału. Bowiem w systemie rządów parlamentarnych wszystko zbiera ten, kto uzyskuje przewagę w parlamencie. Bardzo często drogi wolności i demokracji parlamentarnej wyraźnie się rozchodzą. Natomiast system prezydencko-parlamentarny zawiera w sobie mechanizmy dekoncentracyjne, prezydent nie jest instrumentem większości parlamentarnej. Otwiera się pole dla „twórczego przeszkadzania sobie". Demokracja, wbrew temu co twierdzi Roman Graczyk, znosi istnienie dwóch ośrodków władzy.

I to jest kolejny powód, który pozwala mi sądzić, iż ustrój prezydencko-parlamentarny najlepiej godzi wolność polityczną ze stabilnością państwa.

(„Polityka Polska" 1/1990)

[6] I. Bibó, *Podział władzy dawniej i dziś*, „Znak", nr 10, 1982.

Fałszywy kompromis, czyli o słabości parlamentarnego projektu konstytucji

Nikt nie może się cieszyć z tego, że osiem lat po upadku komunizmu Polska nie ma konstytucji – aktu określającego fundamenty wspólnoty politycznej. Jednak dziś każdy, kto pragnie, byśmy mieli akceptowaną przez większość narodu konstytucję III RP i by była ona aktem państwa nowoczesnego, wolnego od socjalistycznych rozwiązań ustrojowych, powinien działać na rzecz zawieszenia debaty konstytucyjnej. Projekt konstytucji Zgromadzenia Narodowego jest aktem partykularnym w zakresie aksjologii i – co nie mniej istotne – w wymiarze ustrojowym nie różni się na lepsze od obowiązującego dziś prowizorium konstytucyjnego. Lewica proponuje też taki sposób przyjęcia konstytucji, który czyni ją w dzisiejszych warunkach aktem mniejszościowym, będącym źródłem stałego konfliktu ustrojowego.

Błędy aksjologiczne projektu widoczne są gołym okiem. Preambuła przemilcza fakt, że odzyskanie niepodległości nastąpiło po zmaganiach z komunistycznym totalizmem. Brak w niej wyraźnego konstytucyjnego umocowania III Rzeczypospolitej i stwierdzenia, że niepodległe państwo polskie ma być zbudowane na innej podstawie etycznej niż ułomna państwowość PRL. W trakcie parlamentarnych prac konstytucyjnych zakwestionowano przedstawione przez opozycję prawicową propozycje pełnej ochrony życia ludzkiego i uznania rodziny za wspólnotę podstawową, której prawa powinny być honorowane w każdej dziedzinie życia społecznego.

Nie mniej istotne jest to, że projekt utrzymuje anachroniczną strukturę państwa i zawiera wiele błędów ustrojowych. Tadeusz Mazowiecki namawia do rzeczowej dysku-

sji o rozwiązaniach konstytucyjnych. Problem jednak w tym, że projekt, którego jest współautorem, zawiera tak wiele wad, iż trudno mówić o zasadniczej różnicy w stosunku do obecnie obowiązujących przepisów. Wymieńmy kilka kwestii.

Projekt nie uznaje własności prywatnej za zasadę ustrojową. Własność prywatna w konstytucji powinna być ujęta nie tylko jako prawo jednostki, lecz także w postaci zasady ustrojowej, zgodnie z którą gospodarka narodowa opiera się na własności prywatnej. Zasada ta stwarzałaby konstytucyjne podstawy reprywatyzacji i prywatyzacji mienia państwowego. Tymczasem artykuł 19 projektu, jedyny dotyczący własności, w części zasadniczej milczy o własności prywatnej, co stwarza niebezpieczeństwo, że pod pretekstem równouprawnienia różnych typów własności utrzymywana będzie dominująca pozycja własności państwowej, a roszczenia osób, którym w latach czterdziestych zagarnięto własność, nie uzyskają konstytucyjnej ochrony.

Rozwiązania dotyczące samorządu terytorialnego nie dają konstytucyjnych podstaw praktycznej decentralizacji państwa. W miejsce konstytucyjnego umocowania powiatu mamy coś, co można by nazwać zapisem poglądów partii parlamentarnych na ten temat. Artykuł 160 projektu stanowi, że podstawową jednostką samorządu terytorialnego jest gmina, a „inne jednostki samorządu lokalnego i regionalnego albo regionalnego określa ustawa". Wolno chyba zapytać, dlaczego prawicowa opozycja głosząca potrzebę walki z centralizmem ma popierać formuły konstytucyjne, które są w tej kwestii w najlepszym wypadku neutralne, co znaczy, że nie stwarzają żadnych kłopotów tym siłom politycznym, które zainteresowane są w utrzymywaniu dominacji biurokracji centralnej.

I wreszcie kwestia, którą szczególnie zainteresowana jest polityka konserwatywna. Chodzi o postulat pełnej ochrony wolności nauczania. Nowa konstytucja powinna chronić tę postać wolności w zakresie obejmującym prawo do zakładania szkół, prawo do wyboru szkoły, prawo do subwencji

ze strony państwa i autonomii programowej oraz wychowawczej. Pozytywnym przykładem takich rozwiązań może być Francja, gdzie mimo konfliktu między państwem a katolickim szkolnictwem to ostatnie korzysta z pełnej ochrony konstytucyjnej (wraz z nakazem dotowania szkół niepaństwowych), która uniemożliwia rządowi i parlamentowi dowolne ograniczanie jego wolności i autonomii. Chodzi zatem o to, by konstytucja potwierdzała zasadę równouprawnienia różnego rodzaju szkół, zasadę, która dziś w Polsce nie jest w praktyce przestrzegana. Projekt konstytucji nie mówi nic o tej zasadzie ani nie „wspiera" autonomii programowej szkół i odwołuje się w tym zakresie do ustawy, która ma w przyszłości określić „udział władz publicznych w finansowaniu szkół niepaństwowych". Wolno w tym miejscu zapytać, jaki użytek będziemy mogli uczynić ze skargi konstytucyjnej, skoro prawa jednostki i rodziców korzystają z tak słabej ochrony konstytucyjnej?

Można wskazać na wiele innych błędów projektu, m.in. odnoszących się do sądownictwa konstytucyjnego czy finansów publicznych państwa. W przepisach przejściowych projekt zakłada, że w ciągu dwóch lat orzeczenia TK w stosunku do ustaw uchwalonych przed wejściem w życie konstytucji nie będą ostateczne i poddane zostaną weryfikacji Sejmu. Ten przepis to nic innego jak forma obrony fatalnego ustawodawstwa przed konstytucyjną weryfikacją. Tymczasem wielkim zadaniem konstytucji i stojącego na jej straży TK powinno być usunięcie ustawodawstwa sprzecznego z prawami jednostki i ideą państwa prawa. Piszę o tym dlatego, że naprawdę nic oprócz interesu wyborczego lewicy nie przemawia za akceptacją tego projektu i szybkim referendum konstytucyjnym.

Decyzja, by ten właśnie projekt poddać pod referendum zatwierdzające w najbliższych miesiącach, otwiera wieloletni konflikt wokół konstytucji. Wybrany w 1993 roku parlament przez trzy lata nie potrafił wywiązać się z zadania konstytuanty. W tym czasie podjął arbitralne rozstrzygnię-

cia w sprawach, które bezpośrednio dotyczyły materii konstytucyjnej (ochrona prawa do życia). Dziś, gdy poparcie dla opozycji parlamentarnej sięga 40 procent deklarujących udział w wyborach, proponuje się, by konstytucja zatwierdzona była w drodze referendum, w warunkach, w których brak 50-procentowej frekwencji nie będzie wpływał na wynik wyborczy. Nawet jeśli projekt konstytucji będzie formalnie zaakceptowany, to faktyczny jego wynik uczyni z nowej konstytucji akt z nieprawego łoża. Formalne rozstrzygnięcie w referendum nie osłabi bowiem wymowy społecznej faktu, że będziemy mieli konstytucję mniejszościową.

A zatem SdRP, PSL, UW i UP forsują przyjęcie projektu w momencie, w którym nie jest możliwy autentyczny kompromis konstytucyjny. Formalne uchwalenie konstytucji w kształcie, który proponuje Komisja Konstytucyjna, oznacza, że Polska będzie przez najbliższe lata krajem parlamentarnego kryzysu konstytucyjnego. Tryb referendum konstytucyjnego, który zakłada, że mniejszość obywateli może decydować o zatwierdzeniu konstytucji, powoduje osłabienie legitymacji tego aktu prawnego. Prawica będzie zmuszona do kwestionowania trybu jej przyjęcia, a po wyborach parlamentarnych podejmować będzie próby jej nowelizacji. Będzie zmuszona to czynić w imię racji fundamentalnych i woli budowania nowoczesnych instytucji ustrojowych. Ci, którzy dążą do przeprowadzenia referendum przed wyborami, a kompromis konstytucyjny rozumieją jako porozumienie partii parlamentarnych, biorą odpowiedzialność za to, że zamiast nowej konstytucji będziemy mieć permanentny kryzys konstytucyjny. Jest jeszcze czas, by zapobiec tej perspektywie. Dziś bowiem prawdziwy kompromis konstytucyjny polegać może na wstrzymaniu prac nad konstytucją na okres kampanii parlamentarnej.

Wymaga to jednak wzniesienia się ponad polityczny egoizm.

(„Rzeczpospolita”, 31.01.1997)

Konserwatyści wobec konstytucji

Dwa lata temu weszła w życie nowa konstytucja RP. Zgodnie z przewidywaniami wielu komentatorów, kształt ustrojowy państwa związany ze zmianą konstytucji będzie wykluwał się jednak przez długie lata interpretacji niejasnych i wieloznacznych przepisów ustawy zasadniczej. Jeszcze w czasie debaty konstytucyjnej w roku 1997 wskazywaliśmy na wady projektu uchwalonego przez Zgromadzenie Narodowe i poddanego ratyfikacji w drodze referendum.

Obowiązująca dziś konstytucja nie wprowadziła widocznej cezury między PRL-em a wolną Rzeczpospolitą, nie ustanowiła wyraźnej podstawy aksjologicznej państwa, ani nie zagwarantowała silnej ochrony praw rodziny i prawa własności. Wady konstytucji polegają również na usankcjonowaniu słabości i „rozbicia" władzy wykonawczej oraz „wejściu" regulacji konstytucyjnych na obszar właściwy dla ustaw zwykłych. Ta ostatnia okoliczność powoduje usztywnienie systemu prawnego i pogłębia słabość państwa.

Słabości ustawy zasadniczej

Analitycy życia politycznego zwykli bagatelizować praktyczne znaczenia konstytucji dla państwa i prawa. Przyjmuje się, że decydującą wartość ma układ sił politycznych w parlamencie, decyzje rządu i praktyka biurokracji. Taka opinia jest uzasadnioną reakcją na błędy światopoglądu prawniczego, który postrzega rzeczywistość polityczną wyłącznie przez pryzmat norm prawnych.

Nie sposób jednak nie zauważyć, że obowiązująca konstytucja kształtuje dziś w istotny sposób porządek prawny Rzeczypospolitej i w dużym stopniu ogranicza możliwości odrodzenia się rządów sprawiedliwego prawa. Sprawia to

między innymi brak wyraźnej cezury między PRL-em a niepodległym państwem, który pozwala rzecznikom poglądu o ciągłości ustrojowej powoływać się na instytucje konstytucyjne w celu uniemożliwienia oceny poszczególnych działań państwa komunistycznego. Nie ma też wyraźnej podstawy usuwania z ustawodawstwa aktów prawnych rażąco sprzecznych z ideą rządów prawa, a będących dziedzictwem PRL-u. Muszą one przejść przewlekłą procedurę weryfikacji konstytucyjnej przed Trybunałem Konstytucyjnym.

W trakcie dyskusji konstytucyjnej podkreślaliśmy, iż własność prywatna nie została ujęta jako zasada ustrojowa, lecz jako jedna z postaci prawa własności przysługująca jednostkom, podmiotom społecznym i publicznym. Trudno zatem dziś mówić o wyraźnych konstytucyjnych podstawach reprywatyzacji i prywatyzacji własności państwowej. Zwracaliśmy też uwagę na fakt, iż w konstytucji pojawiły się przepisy i instytucje, których skutkiem może być podkopywanie tradycyjnego ładu społecznego. Przykładowo art. 32 ust. 2, który stanowi, że „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu społecznym i publicznym z jakiejkolwiek przyczyny", daje możliwość konstytuowania się w prawowitą mniejszość grupom kwestionującym ład społeczny oparty na rodzinie, jako naturalnej i podstawowej wspólnocie. Konstytucyjny przymus powołania Rzecznika Praw Dziecka, nieznany konstytucjom europejskim, już dziś wykorzystywany jest z kolei przez lewicę do tworzenia instytucji widzącej prawa dziecka w kolizji z prawami rodziców.

Trzeba także podkreślić, że konstytucja pisana była w duchu opozycji do podstawowego zobowiązania państwa, jakim jest zapewnienie bezpieczeństwa osobistego obywateli. Podniesiono do rangi konstytucyjnej kilkanaście praw przysługujących zatrzymanemu, aresztowanemu i oskarżonemu tak, jakby podstawowym problemem publicznym była walka z nadużyciami państwa policyjnego.

Konstytucja pogłębiła również słabość władzy wykonawczej. Kompromis między Aleksandrem Kwaśniewskim

i partiami politycznymi popierającymi projekt konstytucji wydał zły owoc w postaci stworzenia dwóch ośrodków władzy wykonawczej. Kompromis konstytucyjny zawarty został w sytuacji braku jakiejkolwiek pozytywnej wizji państwa. Dlatego też „rozwleczona", licząca aż 243 artykuły konstytucja zawiera bardzo wiele rozstrzygnięć, które z powodzeniem mogły być przedmiotem ustawodawstwa zwykłego. Szczegółowe regulacje dotyczące procesu ustawodawczego, równie szczegółowo ujęta konstrukcja NIK-u i Krajowej Rady Sądownictwa, to przykłady kwestii, które nie musiały być przedmiotem unormowań konstytucji. Taka szczegółowość prowadzi do osłabienia rangi ustawy zasadniczej oraz usztywnienia systemu prawnego.

Ta druga okoliczność rodzi konieczność podejmowania inicjatywy zmiany konstytucji w sytuacjach, w których potrzebne są niewielkie korekty instytucjonalne – takie jak likwidacja odrębnego sądownictwa wojskowego czy mała zmiana w konstrukcji Krajowej Rady Sądownictwa. Wszystkie one wymagają nowelizacji konstytucji.

Spór interpretacyjny

Nawet bardzo krytyczna ocena konstytucji nie może prowadzić do jej całkowitego kwestionowania. Prawica konserwatywna powinna postawić przed sobą zadanie sformułowania czytelnych podstaw rewizji konstytucji. Zanim to uczyni, musi jednak stoczyć walkę o interpretację obecnej ustawy zasadniczej. Porażka w tych zmaganiach zwiększyłaby jej negatywne oddziaływanie. Procesy przed Trybunałem Konstytucyjnym, na przykład w sprawie ustawy lustracyjnej czy ustawy o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy naruszyli zasady niezawisłości sędziowskiej, pokazują, że spór o rozumienie konstytucji może zakończyć się cząstkowym zwycięstwem prawicy i może dawać możliwość formułowania doktryny konstytucyjnej na miarę nowego państwa honorującego rządy sprawiedliwego prawa.

W obydwu przypadkach lewica podjęła próbę przekształcenia konstytucji w akt gwarantujący bezkarność osób odpowiedzialnych za przestępstwa czasu PRL-u i w skuteczną przeszkodę odrodzenia się instytucji nowego państwa.

Konstytucja nie gwarantuje bezkarności

W roku 1997 rząd przedstawił Sejmowi projekt ustawy nowelizującej prawo o ustroju sądów powszechnych, zawierający regulację, na podstawie której sędziowie pracujący w organach represji w latach 1944-1956 mieli stracić status sędziów w stanie spoczynku i związane z nim przywileje emerytalne. W toku prac legislacyjnych, w czasie drugiego czytania projektu, z inicjatywy posłów AWS zgłoszona została poprawka ustanawiająca specjalny tryb dyscyplinarny, pozwalający sądom dyscyplinarnym na wydalanie z zawodu sędziów, którzy orzekając w procesach politycznych sprzeniewierzyli się zasadzie niezawisłości sędziowskiej. Ustawa w całości została zakwestionowana przez prezydenta Kwaśniewskiego. W jego wniosku do Trybunału Konstytucyjnego wszystkie istotne instytucje konstytucyjne, takie jak przedawnienie czy zasada *lex retro non agit,* zostały zinterpretowane wyłącznie pod kątem uniemożliwienia ukarania osób odpowiedzialnych za przestępstwa PRL-u. Zasada przedawnienia, która w myśl art. 43 i 44 ustawy zasadniczej zakazuje ustawodawcy stosowania przedawnienia w stosunku do zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, została potraktowana jako nakaz przedawnienia wszystkich przestępstw i czynów zabronionych przed rokiem 1989.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski uczynił zatem z konstytucji oręż zwrócony przeciwko wszelkim formom usuwania komunistycznego balastu prawnego. Adam Strzembosz – ówczesny I Prezes Sądu Najwyższego – trafnie zwrócił uwagę na to, że wniosek skierowany przez Prezydenta do Trybunału zakłada „ciągłość władzy państwowej oraz systemu prawnego, jaki ukształtował się w latach 1944-1998,

z czego wynika stosowanie tych samych kryteriów do instytucji prawnych funkcjonujących przed 1989 r. i w ciągu ostatnich ośmiu lat”[1]. Prezydencka interpretacja ustawy zasadniczej prowadziła do „wynaturzenia” podstawowych zasad konstytucyjnych, takich jak równość obywatela wobec prawa czy prawo do „bezstronnego, niezależnego i niezawisłego sądu”. Prezydent widział w nich wyłącznie uprawnienia funkcjonariuszy publicznych, nie zaś prawa obywatelskie. We wspomnianej opinii Adam Strzembosz zwrócił uwagę na to, że prezydencka interpretacja konstytucji zwraca się przeciwko zasadom państwa prawa i zaufania obywatela do państwa: „Nie można budować państwa prawa i autorytetu sądów przy jednoczesnym tworzeniu nowych przywilejów dla tych sędziów, którzy przez wiele lat wydawali orzeczenia oczywiście niesłuszne i krzywdzące współobywateli. Takie postępowanie naruszałoby też w sposób rażący zasady sprawiedliwości społecznej (art. 2 konstytucji). Trudno również akceptować dalsze orzekanie przez takich sędziów, jeżeli mówi się o wychowawczej roli sądów, zaufaniu obywateli do państwa i autorytecie wymiaru sprawiedliwości”[2].

Wreszcie najbardziej bulwersujące argumenty prezydenckiego wniosku dotyczyły odebrania przywilejów emerytalnych sędziom orzekającym w organach represji do roku 1956. Odebranie sędziom „stalinowskim” prawa do bycia sędziami w stanie spoczynku wraz z preferencyjnym uposażeniem zostało uznane za złamanie zasady równości obywateli wobec prawa. Przypomnijmy, że z zasady równości nie płynie bezwzględny zakaz zróżnicowania uprawnień obywateli, lecz zakaz ich niesprawiedliwego i arbitralnego

[1] Stanowisko I Prezesa SN Adama Strzembosza z dnia 17 marca 1998 r. w sprawie wniosku Prezydenta RP z dnia 4 lutego 1998 r. o stwierdzenie niezgodności z konstytucją RP ustawy z dnia 17 grudnia 1997 o zmianie ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych oraz niektórych innych ustaw.

[2] *Tamże.*

ustalania. Obrona przywilejów emerytalnych sędziów i prokuratorów, którzy pracowali w NKWD i UB, pod hasłem równości wobec prawa była kpiną z zasady sprawiedliwości.

Trybunał zakwestionował nowelizację ustawy jedynie ze względów proceduralnych – braku odpowiednich konsultacji z Krajową Radą Sądownictwa. W sporze merytorycznym przyznał rację Sejmowi i zakwestionował argumenty Prezydenta. W orzeczeniu z dnia 24 czerwca 1998 roku uznał prawo ustawodawcy do ustanowienia nadzwyczajnych reguł dyscyplinarnych w stosunku do sędziów, którzy sprzeniewierzyli się zasadom płynącym z niezawisłości sędziowskiej: „Wyodrębnienie przez dzisiejszego ustawodawcę owych sytuacji nadużycia niezawisłości i bezstronności motywowanych względami politycznymi, jest dopuszczalne, tym bardziej, że sytuacje te wiązały się zwykle z łamaniem najbardziej podstawowych praw i wolności jednostki ludzkiej, a zwłaszcza wolności wyrażania poglądów i komunikowania ich innym”[3]. Trybunał udzielił także poparcia argumentom prawicy, która w niezawisłości sędziowskiej widzi nie tylko prawo, ale również obowiązek sędziego: „Tak samo jak konstytucyjnym obowiązkiem ustawodawcy i organów administracji sądowej jest chronić niezawisłość sędziego, tak obowiązkiem sędziego jest tę niezawisłość urzeczywistniać w praktyce”[4]. Werdykt Trybunału nie pozwolił Prezydentowi na „wynaturzenie” zasad konstytucyjnych i przekształcenie ich w gwarancje bezkarności osób sprawujących funkcje publiczne w państwie komunistycznym. Tym samym otworzył pole do uregulowania odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy sprzeniewierzyli się obowiązkom płynącym z zasady niezawisłości sędziowskiej. Uchwalona z inicjatywy AWS ustawa weszła w życie w styczniu bieżącego roku.

---

[3] Wyrok TK z dnia 24 czerwca 1998 r., K 3/98.

[4] *Tamże.*

Lustracja wynika z konstytucji

Sukcesem prawicy zakończył się także spór konstytucyjny o ustawę lustracyjną. Wniosek SLD przeciwko ustawie z dnia 11 kwietnia 1997 roku stawiał samej zasadzie lustracji zarzut naruszenia konstytucji. Przed Trybunałem posłowie SLD dowodzili, że sama idea lustracji jest sprzeczna z zasadą demokratycznego państwa prawa, ponieważ ustanawia obowiązek samooskarżania się i odpowiedzialność o charakterze quasi-karnym. We wniosku do Trybunału Konstytucyjnego posłowie SLD stwierdzali, że obowiązek złożenia oświadczenia lustracyjnego sprzeciwia się zasadzie „prawa do milczenia", a publikacja przez sąd orzeczeń stwierdzających fałszywe oświadczenie jest aktem dyskryminacji naruszającym zasadę równości wobec prawa: „Podkreślić należy, że dla osoby lustrowanej istotne jest upowszechnienie złożonego oświadczenia. Taka regulacja narusza zasadę demokratycznego państwa prawnego, w szczególności przez niezapewnienie ochrony prawa do prywatności, ochrony czci i dobrego imienia"[5].

W czasie rozprawy doszło również do próby stępienia ostrza lustracji. Polegała ona na takim ukształtowaniu definicji współpracy, by wyłączone było z niej współdziałanie z wywiadem i kontrwywiadem SB poza granicami kraju. W tym celu SLD posunął się do jawnej rehabilitacji konstytucji stalinowskiej i wystąpił z żądaniem respektowania płynącego z niej obowiązku wierności państwu. Obowiązek ten miałby usprawiedliwiać współpracę z wywiadem i kontrwywiadem SB. Warto przytoczyć ten chyba najsmutniejszy fragment SLD-owskiego wniosku: „Skoro w konstytucji zawarty jest obywatelski obowiązek wierności i obrony Ojczyzny, to jest rzeczą oczywistą, że realizacja tego obowiązku mogła przybierać formę współpracy z ogniwami operacyj-

[5] Wniosek grupy posłów SLD z dnia 8 grudnia 1997 r. w sprawie stwierdzenia niezgodności z konstytucją ustawy lustracyjnej.

nymi i śledczymi organów bezpieczeństwa, a w szczególności wywiadu i kontrwywiadu. W tej sytuacji ustawodawca powinien dokonać rozgraniczenia takiej współpracy, która wynikała z obowiązku obywatelskiego, od takiej, gdzie nie było obowiązku obywatelskiego, a podjęta współpraca wynikała z innej motywacji"[6].

Trzeba zauważyć, że Sojusz stanął na stanowisku bezpośredniego stosowania przepisów konstytucji z 1952 roku, co nastąpiło dopiero pod rządami obecnie obowiązującej ustawy zasadniczej. Przypomnijmy, że współpraca z wywiadem i kontrwywiadem była nierzadko związana z inwigilacją środowisk polonijnych albo wykonywaniem zadań ustalonych przez radzieckie służby specjalne. Polityczna strona tego argumentu była jasna, chodziło o uratowanie przed lustracją osób z kręgów postkomunistycznej elity. Trzeba się cieszyć, że Trybunał zakwestionował tę argumentację i stwierdzając zgodność z konstytucją postępowania lustracyjnego, otworzył drogę do ujawnienia faktów współdziałania ze wszystkimi ogniwami SB.

Trybunał Konstytucyjny stwierdził, że – wbrew zdaniu skarżących – ustawa lustracyjna ani nie ma mocy wstecznej, ani nie narusza zasady równości wobec prawa. Obowiązek składania oświadczeń o współpracy z PRL-owskimi służbami specjalnymi spoczywa na osobach, które aspirują do wysokich stanowisk publicznych. Nie można zgodzić się, by ich przeszłość była zakryta przed opinią publiczną. Dlatego też TK stwierdził, że ustawa lustracyjna jest nie tylko zgodna z konstytucją, ale stanowi realizację jej zasad i praw, przede wszystkim realizację prawa obywatela do informacji o przeszłej działalności osób pełniących funkcje publiczne.

W czasie procesu zderzyły się zatem dwie przeciwstawne koncepcje służby publicznej. Lewica widziała w konstytucji jedynie prawa osób sprawujących najwyższe stanowiska w państwie, natomiast rzecznicy ustawy lustracyjnej

---

[6] *Tamże.*

dowodzili, że służba publiczna jest przywilejem, który rodzi szczególne obowiązki. Trybunał podzielił racje stojące u podstaw ustawy lustracyjnej i w uzasadnieniu orzeczenia wskazał na szczególne obowiązki płynące z faktu piastowania stanowisk publicznych: „Jest oczywiste, że osoba kandydująca do pełnienia funkcji publicznej godzić się musi z zainteresowaniem opinii publicznej, wyrażającym się wolą uzyskania jak najszerszego zakresu informacji o jej życiu i przeszłości. W szczególności przedmiotem takiego zainteresowania może być, a w polskiej rzeczywistości jest, fakt współpracy z organami bezpieczeństwa państwa. Podkreślenia wymaga fakt, iż sfera prywatności naruszana jest poprzez sam obowiązek złożenia oświadczenia lustracyjnego, jednakże naruszenie to wynika z przyjętej przez racjonalnego ustawodawcę ogólnej koncepcji lustracji i jest bezpośrednią konsekwencją pełnienia funkcji publicznej". Zatem Trybunał podkreślił służebny charakter pełnienia funkcji publicznych, a werdykt ten odblokował procedury lustracyjne.

Trybunał wielkich nadziei

W tym miejscu warto poświęcić chwilę uwagi znaczeniu Trybunału Konstytucyjnego dla procesu odradzania się rządów prawa i roli konstytucji w Polsce. Trzeba podkreślić, że powstanie silnego Trybunału Konstytucyjnego jest spełnieniem ustrojowych postulatów prawicy. Przypomnę, że idea jego utworzenia w Polsce pojawiła się po raz pierwszy w środowiskach narodowo-demokratycznych i konserwatywnych, a pierwszy projekt ustawy o TK przedstawił Klub Parlamentarny Narodowej Demokracji. Idea powołania silnego sądu konstytucyjnego przywoływana była w pracach prawicowych prawników i politologów – Adama Piaseckiego, Władysława Leopolda Jaworskiego i Wacława Komarnickiego. W tym czasie lewica, hołdująca doktrynie o supremacji Sejmu wśród organów władzy państwowej, przeciwstawiała się koncepcjom powołania instytucji badającej zgodność ustawodawstwa z konstytucją. Po roku 1989 Trybunał – mi-

mo krępującego go gorsetu weryfikacji orzeczeń przez Sejm – stał się jedną z nielicznych instytucji uwalniających się spod balastu państwa komunistycznego. Uzyskał niezależność i wydawał często orzeczenia przywracające wiarę w odrodzenie rządów sprawiedliwego prawa. Przypomnijmy, że Trybunał Konstytucyjny uznał za niezgodne z konstytucją zmiany przepisów prawa podatkowego w czasie roku podatkowego, przez co bronił podstawowych praw podatnika. Wystąpił także w obronie silnej pozycji samorządu terytorialnego, wolności gospodarczej i własności prywatnej.

W czerwcu 1997 roku Trybunał uznał za niekonstytucyjną ustawę przyzwalającą na aborcję na żądanie, ze względu na jej niezgodność z konstytucyjnym prawem osoby ludzkiej do życia. To ostatnie orzeczenie miało charakter przełomowy. Obrona życia nienarodzonych wymagała odwagi i przeciwstawienia się żądaniu środowisk lewicowych i liberalnych. Co ważniejsze, Trybunał uznał prawo do życia za niezbywalny składnik państwa prawa i podstawę ładu społecznego. Warto przywołać ten fragment orzeczenia, który dotyczył relacji między prawem do życia a państwem prawa: „Państwo prawne realizuje się bowiem wyłącznie jako wspólnota ludzi i tylko ludzie mogą być właściwymi podmiotami praw i obowiązków stanowionych w takim państwie. Podstawowym przymiotem człowieka jest jego życie. Pozbawienie życia unicestwia więc równocześnie człowieka jako podmiot praw i obowiązków. Jeżeli treścią zasady państwa prawnego jest zespół podstawowych dyrektyw wyprowadzonych z istoty demokratycznie stanowionego prawa, a gwarantujących minimum jego sprawiedliwości, to pierwszą taką dyrektywą musi być respektowanie w państwie prawnym wartości, bez której wykluczona jest wszelka podmiotowość prawna, to jest życia ludzkiego od jego początków, od jego powstania”[7]. Uzasadnienie tego orze-

[7] Orzeczenie TK z dnia 28 maja 1997 r., K. 26/96.

czenia jest manifestem odradzania się prawa, jakie zostało uformowane w momencie tworzenia się europejskiej cywilizacji.

Niestety, z chwilą uchwalenia nowej konstytucji doszło do poważnej zmiany w podejściu Trybunału do jej interpretacji. W okresie „przedkonstytucyjnym" Trybunał odgrywał rolę aktywną i częstokroć wywodził z zasady demokratycznego państwa prawnego normy pozwalające na konstytucyjną ocenę ustawodawstwa. Kazimierz Działocha, były sędzia Trybunału i rzecznik orientacji pozytywistycznej, stwierdzał krytycznie, że TK był daleki od takiej wykładni przepisów konstytucyjnych, która „dawała zawsze bezwzględne pierwszeństwo regułom wykładni językowej i systemowej charakterystycznym dla pozytywistycznej koncepcji prawa"[8]. Po uchwaleniu konstytucji doszło do reorientacji Trybunału Konstytucyjnego. Trybunał, który dotychczas śmiało interpretował zasady konstytucyjne, przeszedł na pozycje „defensywne" i w coraz większym stopniu traktuje przepisy konstytucji w izolacji od siebie i oderwaniu od zasad konstytucyjnych.

Tendencja ta pojawiła się w orzeczeniu stwierdzającym niezgodność z konstytucją wznowienia postępowania lustracyjnego i tzw. kłamstwa lustracyjnego kandydata na prezydenta. W tej drugiej sprawie przepisy konstytucyjne dotyczące biernego prawa wyborczego zostały zinterpretowane przy pomocy wykładni językowej w oderwaniu od innych sposobów wykładni i samej zasady państwa prawa. Przypomnijmy argumentację Trybunału o niezgodności z konstytucją artykułu ustawy lustracyjnej, który stanowił, że PKW skreśla z listy kandydatów na prezydenta osobę, która zdaniem sądu złożyła fałszywe oświadczenie lustracyjne. TK stwierdził, że art. 127 ust. 3 zawiera zamknięty katalog przesłanek ograniczenia biernego prawa wyborcze-

[8] K. Działocha, *Niepozytywistyczna koncepcja państwa prawnego a Trybunał Konstytucyjny*, „Państwo i Prawo", nr 3/1995.

go, na który składają się obywatelstwo polskie, korzystanie z pełni praw wyborczych i wiek 35 lat. Ustawa lustracyjna zdaniem TK wprowadza dodatkowy i niekonstytucyjny wymóg (przeszkodę) złożenia prawdziwego oświadczenia lustracyjnego. Wbrew opinii Trybunału przepis ten nie stanowi ograniczenia prawa wyborczego. Interpretacja TK jest przykładem błędu popełnianego wtedy, gdy przepis podlega wyłącznie wykładni językowej. Nie jest przeszkodą wyborczą okoliczność, której spełnienie w pełni zależy od osoby aspirującej do zajmowania stanowiska publicznego. Z pewnością złożenie prawdziwego oświadczenia lustracyjnego jest okolicznością subiektywną i zależną od woli kandydata w przeciwieństwie do obiektywnych przeszkód wyborczych, takich jak wiek czy obywatelstwo.

Omawiane orzeczenie było objawem wycofywania się TK z misji stania na straży konstytucji. Trybunał przyznał bowiem w uzasadnieniu, że zachodzi niespójność wewnętrzna prawa: „Tylko bowiem osoby kandydujące na stanowisko Prezydenta nie są dotknięte następstwami wynikającymi z nieprawdziwego oświadczenia lustracyjnego, które w innych przypadkach podanych w ustawie polegają na utracie koniecznej kwalifikacji do pełnienia funkcji publicznych”[9]. Ta sprzeczność została usunięta w drodze nowelizacji ustawy lustracyjnej dostosowującej jej treść do orzeczenia TK. Jednak mogła ona być usunięta wcześniej, w drodze pełnej wykładni obejmującej aspekt funkcjonalności i kontekstu przepisów ustawy lustracyjnej. Gdyby Trybunał interpretował ten przepis w zgodzie z zasadą państwa prawa, przepis ów powinien być uznany za zgodny z konstytucją. Zasada państwa prawa nie pozwala na obowiązywanie prawa wewnętrznie sprzecznego, „zachęcającego” do publicznego kłamstwa.

W świetle pełnej interpretacji konstytucji wydaje się jasne, że zadania i obowiązki ustrojowe prezydenta wymagają

[9] Wyrok TK z dnia 10 listopada 1998 r., K. 39/97.

od kandydata na to stanowisko najwyższych kwalifikacji moralnych. Warto przywołać odnoszące się do tej kwestii uzasadnienie *votum separatum* złożonego przez sędziego Wiesława Johanna: „Zgodnie z art. 126 konstytucji Prezydent jest najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej, czuwa nad przestrzeganiem konstytucji oraz stoi na straży suwerenności i bezpieczeństwa państwa. Nie budzi zatem wątpliwości, że funkcja ta jest niezwykle istotna dla bytu demokratycznego państwa prawnego i jako taka powinna być sprawowana przez osobę o wysokich kwalifikacjach moralnych. Jakkolwiek wymóg ten nie jest nigdzie wyrażony *expressis verbis*, jednak wynika on zarówno z polskiej tradycji prawnej, jak i znajduje odbicie w intencji ustawodawcy konstytucyjnego”[10].

Silniejszy od Sejmu?

W wielu orzeczeniach sądu konstytucyjnego podejmowane są próby nadmiernego ingerowania w wewnętrzną procedurę ustawodawczą parlamentu. Kwestia poprawności proceduralnej nabrała dużego znaczenia w orzecznictwie Trybunału. W warunkach polskich kwestionowanie silnej pozycji Sejmu w procesie stanowienia prawa blokuje proces odradzania się prawa i nowych instytucji ustrojowych. Michał Graniecki na łamach „Przeglądu Sejmowego” pisze o „orientacji konstytucyjnej” w pracach Sejmu i zwraca uwagę na coraz większe znaczenie „poprawności proceduralnej uchwalanych ustaw”[11]. Według mnie mówić trzeba o sytuacji „szantażu konstytucyjnego” i o wynaturzeniu sprawiedliwości proceduralnej.

Daleko idącą ingerencję w autonomię parlamentu w dziedzinie ustawodawstwa ilustruje wyrok TK z dnia

[10] Zdanie odrębne sędziego Wiesława Johanna do wyroku TK z dnia 10 listopada 1998 r.

[11] M. Graniecki, *Proces prawotwórczy pod rządami nowej Konstytucji*, „Przegląd Sejmowy”, nr 1/1999.

24 czerwca 1998 roku w sprawie pierwszej nowelizacji ustawy o ustroju sądów powszechnych. Trybunał wystąpił z bardzo restryktywną dla Sejmu interpretacją obowiązku konsultowania projektów ustaw. Rzecz dotyczyła poprawek zgłoszonych przez grupę posłów w czasie II czytania do projektu ustawy nowelizującej prawo o ustroju sądów powszechnych. Poprawki wprowadzały odpowiedzialność dyscyplinarną sędziów za sprzeniewierzenie się zasadzie niezawisłości sędziowskiej w latach 1944-1989. Trybunał stanął na stanowisku, że także w wypadku poprawek zgłoszonych w ostatniej fazie legislacyjnej przez grupę posłów, Sejm zobowiązany jest do zasięgnięcia opinii Krajowej Rady Sądownictwa jako instytucji opiniującej projekty aktów prawnych dotyczących niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Obowiązek konsultacji rozszerzony więc został na wszystkie etapy procesu legislacyjnego. W uzasadnieniu wyroku TK stwierdził, że materia ustawodawcza dzieli się na materie podległe „swobodnemu uznaniu ustawodawcy" i te, które mają charakter szczególny ze względu na swe znaczenie i rangę, takie jak regulacje odnoszące się do niezawisłości sędziów i niezależności sądów. „Jeżeli treścią ustawy miałoby być wprowadzenie do systemu prawa regulacji wkraczającej w dziedziny traktowane przez konstytucję jako szczególnie niedostępne dla ustawodawcy, to takiemu naruszeniu procedury można i należy przypisać skutki poważniejsze niż w innych sytuacjach"[12]. Argumentacja Trybunału w istotnym zakresie ogranicza zatem autonomię parlamentu w zakresie stanowienia prawa.

Na pomniejszenie roli Sejmu jako najwyższej władzy w dziedzinie ustawodawczej wpływa także nastawienie eksperckich i legislacyjnych służb sejmowych. Politologia współczesna wskazuje na degradację parlamentów w systemach politycznych państw zachodnich, co w niemałym stopniu wynika z coraz większej roli rządu jako inicjatora

[12] Wyrok TK z dnia 24 czerwca 1998 r., K 3/98.

prac ustawodawczych. W tym wypadku chodzi jednak o zjawisko samodegradacji Sejmu w dziedzinie stanowienia prawa. Tekst ustawy zasadniczej interpretowany jest bowiem w duchu groźby konstytucyjnej. Obawa przed uznaniem ustawy za sprzeczną z konstytucją dyktuje częstokroć propozycje w istotnym zakresie ograniczające pole swobody ustawodawcy. W czasie prac sejmowych nad ustawą o parlamentarnych komisjach śledczych uznano, że powołanie przez Komisję Śledczą pełnomocnika spoza składu Komisji pozostaje w sprzeczności z konstytucją. Ustawa ta została zaskarżona przez prezydenta Kwaśniewskiego, ale Trybunał uznał ją za w pełni zgodną z konstytucją. Podobnie, w trakcie prac nad nowelizacją ustawy lustracyjnej, służby sejmowe poddawały w wątpliwość zgodność z konstytucją wielu jej przepisów, ale żaden z nich nie uległ dekonstytucjonalizacji. Sejm pomniejszył swoją autonomię w dziedzinie ustawodawstwa, wprowadzając do swojego regulaminu możliwość odrzucenia projektu ze względu na szeroko wskazaną podstawę „sprzeczności z prawem" (art. 31 ust. 6). Właśnie na jej podstawie doszło do odrzucenia przez Komisję Sprawiedliwości i Praw Człowieka projektu ustawy o „zaostrzeniu odpowiedzialności karnej za przestępstwa przeciwko bezpieczeństwu obywateli".

„Defensywna" linia TK jest sprzeczna z podstawową misją sądu konstytucyjnego. Wielu konstytucjonalistów widzi w Trybunale i kontroli konstytucyjności ustaw filar państwa prawa. Trybunał ma stać na straży konstytucyjności ustaw i z tej perspektywy oceniać ustawodawcę zwykłego. Georges Burdeau napisał niegdyś, że kontrola konstytucyjności ustaw jest w swym przedmiocie prawnicza, ale w skutkach polityczna. Zatem wypełnianie tej misji wymaga odwagi orzekania w sprawach kontrowersyjnych. Tylko aktywna postawa Trybunału i ocena ustawodawstwa z perspektywy zasad konstytucyjnych przyczyni się do odrodzenia rządów prawa w Polsce. Ucieczka przed tą misją, oddalanie orzeczeń merytorycznych pod pretekstem uprzednie-

go analizowania poprawności proceduralnej uchwalenia ustawy, przyniesie skutek odwrotny.

* * *

Konserwatyści powinni czynnie uczestniczyć w debacie nad rozumieniem i stosowaniem konstytucji. Nie wolno zgodzić się na jej defensywną interpretację, która doprowadzi do umocnienia wad ustrojowych i kryzysu sądownictwa konstytucyjnego w Polsce. Obronie silnego sądu konstytucyjnego musi towarzyszyć ochrona autonomii parlamentu w dziedzinie stanowienia prawa. Parlament jest najpoważniejszym czynnikiem odrodzenia się rządów sprawiedliwego prawa. Udział w aktualnej debacie na temat interpretowania ustawy zasadniczej nie zwalnia nas jednak od prac nad gruntowną rewizją konstytucji i precyzowania ustrojowego projektu IV Rzeczypospolitej – państwa o silnej władzy wykonawczej, praktycznie stosującego zasadę pomocniczości, skutecznie strzegącego prawa i chroniącego własność prywatną. Nowa konstytucja musi odwoływać się do pozytywnej wizji państwa i jasno definiować wartości podstawowe naszej wspólnoty politycznej.

(„Kwartalnik Konserwatywny", nr 5, Lato 1999)

Czas na zmianę konstytucji

Analitycy życia politycznego mają zwyczaj bagatelizować praktyczne znaczenie konstytucji dla ustroju państwa i jakości prawa. Przyjmują, że decydujące znaczenie mają stosunki polityczne, układ sił w parlamencie, decyzje rządu i praktyka biurokracji. Z tej perspektywy konstytucja i projekty jej zmian nie mają istotnego znaczenia politycznego.

W opinii tej tkwi ziarno prawdy. Wskazuje ona bowiem na uproszczenie światopoglądu prawniczego, który całą rzeczywistość ustrojową widzi poprzez pryzmat norm prawnych. Błąd ten jednak nie może usprawiedliwiać zachowywania konstytucji w obecnym kształcie. Bierność w tej sprawie nie wytrzymuje konfrontacji z potrzebami państwa polskiego. Żadne plany zasadniczej przemiany ustrojowej nie mogą pominąć wymiaru konstytucyjnego. Ustrojowe korzyści, które przyniosła nowa konstytucja, ustępują jej wadom i słabościom.

Wady i słabości

Obecna ustawa zasadnicza poprawiła porządek ustrojowy z czasów obowiązywania małej konstytucji. Zniesienie konstytucyjnego galimatiasu związanego z istnieniem resortów prezydenckich i ustabilizowanie pozycji rządu przez wprowadzenie konstruktywnego wotum nieufności przyniosło efekt pozytywny. Jednak uchwalona przed sześcioma laty ustawa zasadnicza, ukształtowana w warunkach braku zwartej koncepcji ustrojowej i negatywnego kompromisu politycznego, nie ustanowiła wyraźnej aksjologicznej podstawy wspólnoty politycznej i pozwoliła rozwijać się istotnym wadom ustrojowym.

Tego właśnie aspektu nie dostrzegają konstytucyjni optymiści. Zdają się nie zauważać wad III RP i roli konstytucji w ich umacnianiu. Najczęściej przeciwnicy zmian w konstytucji przywołują motyw stabilności systemu prawa i powiadają, że w pierwszej dekadzie swego istnienia nie powinna podlegać nowelizacjom. Argument ten, bliski tradycji konserwatywnego myślenia o prawie, byłby trudny do odparcia w wypadku konstytucji, która nadawałaby państwu nowy aksjologiczny i ustrojowy kształt.

Tymczasem obecna ustawa zasadnicza jest raczej wyrazem pierwszego etapu transformacji politycznej po upadku komunizmu niż plonem spójnej i ofensywnej myśli. Bronią jej te siły polityczne, z SLD na czele, które ze słabości państwa czerpią największe korzyści polityczne, a z „praw autorskich" do konstytucji – legitymację do zajmowania w nim uprzywilejowanej pozycji. Wyjątek czynią dla regulacji europejskich, które jako jedyne miałyby uzasadniać ewentualne korekty. Takie podejście jest zresztą świadectwem całkowicie instrumentalnego stosunku do ustawy zasadniczej. Zmiana konstytucji dokonana pod presją znalezienia się w Unii podważa jej autorytet jako najwyższego aktu prawnego wspólnoty politycznej.

Rewizja konstytucji powinna być aktem wewnętrznego uzdrowienia państwa, będącego reakcją na słabości ustrojowe Polski. Kryzys III RP ma głęboki i instytucjonalny charakter. Mamy rozproszone państwo, słabą władzę wykonawczą, upadek sądownictwa i prawa obywatela do sądu, wzrost egoizmów korporacyjnych kosztem dobra wspólnego. Wszystkie te zjawiska nabrały cech trwałych i mocno zadomowionych wad współczesnego państwa polskiego. Parcelacja państwa przyniosła skutek w postaci rozrostu agencji i funduszy znajdujących się poza jego kontrolą. Właściwością systemu politycznego są liczne wyłączenia i przywileje pozostające w sprzeczności z zasadą dobra wspólnego jako fundamentu wspólnoty politycznej.

Taką pozycję uzyskała – z opłakanymi skutkami dla kondycji mediów publicznych – Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Na osobną uwagę zasługuje sądownictwo, które znalazło się właściwie poza państwem. Po roku 1989 nie przeszło żadnej istotnej reformy, a rozbudowany system przywilejów korporacyjnych, daleko wykraczający poza to, czego wymaga zasada niezawisłości sędziowskiej, doprowadził do paraliżu wymiaru sprawiedliwości. Jego kryzysowi towarzyszy załamywanie się podstawowej funkcji państwa, jaką jest ochrona bezpieczeństwa obywateli. III RP, budowana w nieustannym proteście przeciwko państwu policyjnemu, z ultraliberalnym modelem polityki karnej, okazała się w niewielkim stopniu zdolna do egzekwowania sprawiedliwości.

Konstytucyjne przyczyny

Wszystkie te wady mają swoje konstytucyjne zakotwiczenie. Idea dobra wspólnego nie ma charakteru realnej zasady ustrojowej, która wyznacza treść całej konstytucji. Trudno w niej znaleźć oparcie dla ochrony interesu publicznego w ujęciu właściwym tradycji republikańskiej. Konstytucja padła ofiarą melanżu płytkiego liberalizmu, który definiuje zadania państwa czysto negatywnie, i socjalizmu, nakładającego na nie zobowiązania socjalne ponad realne możliwości.

W takiej sytuacji mamy z jednej strony rozproszenie państwa, z drugiej – umocnienie roszczeń, których nie jest w stanie spełnić. Negatywny kompromis przyniósł także osłabienie władzy wykonawczej. Podział kompetencji między prezydenta a premiera zachęca do nietwórczych konfliktów. Prezydent Polski, mający większe kompetencje – inicjatywa ustawodawcza, weto, liczne prerogatywy nominacyjne – niż prezydent Republiki Francuskiej, na której konstytucja w niemałym stopniu się wzorowała, w przeciwieństwie do francuskiego odpowiednika znajduje się w pozycji instytucji „nieodpowiedzialnej za politykę państwa". Warto przypomnieć, że przed siedemdziesięciu laty Roman

Rybarski pisał w rozprawie *Siła i prawo*, że prezydentura jest potrzebna po to, by opinia publiczna widziała różnicę między państwem a rządem. Różnica ta zanika w sytuacji czysto politycznego konfliktu między dwoma ośrodkami władzy wykonawczej.

Jeszcze większe znaczenie dla zaufania obywateli do państwa ma istnienie obdarzonej autorytetem władzy sądowniczej. Tymczasem konstytucyjne regulacje dotyczące sądownictwa mają charakter gwarancji korporacyjnych, a nie zasadnych praw trzeciej władzy. Uważna lektura rozdziału VIII konstytucji nie pozostawia wątpliwości, że cały wymiar sprawiedliwości znalazł się w rękach samorządu sędziowskiego. Nawet Krajowej Radzie Sądownictwa przyznano status reprezentanta samorządu wobec państwa, a nie władzy publicznej w dziedzinie sądownictwa. W takich warunkach możliwości odbudowy cieszącej się autorytetem trzeciej władzy są bardzo ograniczone.

Konstytucja z roku 1997 nie tylko nie wzmocniła związku obywateli z państwem, ale uformowała model demokracji zablokowanej. Rewizja prawa wyborczego wymaga zmian w konstytucji, a obawa przed werdyktem obywateli legła u podstaw ułomnego uregulowania takich instytucji jak referendum z inicjatywy obywateli czy ludowa inicjatywa ustawodawcza. Obie instytucje skrojone zostały tak, by ostateczna decyzja w sprawie nadania im biegu zależała od większości parlamentarnej. Przykłady można mnożyć, słabości konstytucji są pochodną wad genetycznych – braku spójnej myśli ustrojowej i kompromisów, które często wyrażały się w gwarantowaniu partykularnych interesów kosztem państwa.

Potrzeba chwili

W chwili obecnej ostry kryzys III RP wymaga stanowczych reakcji ustrojowych i konstytucyjnych. I choć każdy plan naprawy państwa ma znacznie szerszy zasięg, to jego elementem musi być zmiana ustawy zasadniczej. Plan ambit-

nych zmian nie zakłada ani naiwnej rewolucyjnej perspektywy, ani całościowej krytyki przeobrażeń dokonanych po 1989 roku. Przeciwnie. Punktem wyjścia do naprawy państwa powinien być pozytywny dorobek III RP – suwerenny byt państwa, odbudowa samorządu, dorobek orzeczniczy Trybunału Konstytucyjnego, gwarancje chroniące prawo do życia i prawa rodziny. Natomiast powstrzymywanie ambitnych zmian pod hasłem obrony dorobku reform wzmacnia polityczny radykalizm. Polityka Samoobrony ma przecież na celu wykorzystanie kryzysu III RP do budowy stosunków politycznych całkowicie sprzecznych z wolnościową tradycją, której zawdzięczamy odzyskanie niepodległego bytu państwowego.

Dziś potrzebny jest nam systematyczny wysiłek zmierzający do odrodzenia polityki i budowy państwa, którego realnym, a nie tylko deklarowanym celem będzie służba dobru wspólnemu. Pierwszym warunkiem naprawy jest powrót do myślenia w kategoriach interesu publicznego i całości państwa. Tylko w takich warunkach uda nam się odbudować spójne państwo z silną władzą wykonawczą, przywrócić autorytet sądownictwu, nadać nowe znaczenie służbie publicznej i odblokować obywatelską energię.

W historii ustroju Polski znane są przykłady zdominowania debaty konstytucyjnej przez płytkie interesy i doktrynerstwo. Oba motywy nieraz ze sobą sąsiadowały. Uwagę tę poczynić można nie tylko wobec prac ustrojowych prowadzonych po 1989 roku. Konstytucja marcowa, pisana przeciw Piłsudskiemu i oparta na modnej wówczas doktrynie supremacji parlamentu jako najlepszego wyraziciela woli ludu, osłabiła władzę wykonawczą. Wzmacniająca państwo Konstytucja kwietniowa została z kolei wynaturzona przez następców Piłsudskiego, którzy reformę konstytucyjną połączyli z próbą zagwarantowania sobie władzy na wyłączność i eliminacji realnej opozycji.

Potrzebna jest dyskusja konstytucyjna wolna od doktrynerstwa i doraźności, stawiająca problem siły państwa

w centrum uwagi. IV RP nie powstanie z wtorku na środę. Warunkiem jej budowy jest stworzenie zdrowego gruntu i stanowcze rozprawienie się z tym, co najgorsze we współczesnym ustroju Polski. Jej rozwój nie będzie możliwy przy utrzymywaniu się chorych mechanizmów ustrojowych. Umocnienie państwa jest warunkiem urzeczywistnienia najistotniejszych zadań publicznych. Ochrona bezpieczeństwa obywateli, rozwój gospodarczy, konkurencyjna edukacja – to zadania wymagające zdrowych instytucji państwowych. Jeśli ich zabraknie, prędzej czy później padają ofiarą partykularnych interesów, które biorą górę nad dobrem wspólnym.

Wyzwanie, jakim jest perspektywa rywalizacji wewnątrz Unii Europejskiej, nie pozostawia wiele czasu. Wbrew optyce płytkiego euroentuzjazmu konkurencja wewnątrz Unii w ogromnym stopniu zależy od jakości państwa narodowego. Bez rewizji konstytucji jakość Rzeczypospolitej nie ulegnie poważnej poprawie.

(„Rzeczpospolita", 21.05.2003)

IV RP bez konkurencji

Kierunek wyznaczony polskiej polityce przez sformułowany 10 lat temu projekt budowy IV RP jest nadal aktualny. Krytyczna ocena rządów PiS nie unieważnia idei odbudowy sprawnej władzy państwowej i przywrócenia perspektywy dobra wspólnego.

W klasycznych starożytnych tekstach poświęconych filozofii i polityce wiele miejsca zajmowało precyzyjne określenie przedmiotu dyskusji przed przystąpieniem do niej. Niestety, współczesna publicystyka bardzo daleko odeszła od dobrych wzorców stworzonych przez Greków i Rzymian, co bardzo często utrudnia debatę.

Tekst Witolda Gadomskiego *Niespodziewany koniec IV RP* („Gazeta Wyborcza" z 10-11 marca 2007), napisany z intencją rozpoczęcia debaty w kwestii przyszłości IV Rzeczpospolitej, posługuje się tym terminem w kilku znaczeniach. Raz jest to projekt ideologiczny, innym razem program wyborczy PiS-u, w kolejnym fragmencie po prostu okres rządów Prawa i Sprawiedliwości. Autor pośpiesznie ogłasza koniec IV Rzeczpospolitej i zachęca do dyskusji o tym, co nastąpi po niej.

Powiedzmy na początku, że IV Rzeczpospolita została przedstawiona jako projekt ustrojowy 10 lat przed zwycięskimi dla PiS-u wyborami i przez długi czas pozostawała poza polem programów politycznych i kampanii wyborczych. Podstawowe walory tej idei, która wciąż zachowuje aktualność, mają charakter właśnie ustrojowy. Idea powstała w kręgu Koalicji Konserwatywnej i była efektem reakcji na silną obecność balastu PRL-owskiego w porządku niepodległej Polski. W tym samym czasie PC Jarosława Kaczyńskiego przedstawiło podobną – choć nie tożsamą – ideę nowego

państwa. Po wielu latach obie koncepcje spotkały się w programie PiS.

Idea IV RP – co należy wyraźnie zaznaczyć – nie ma charakteru rewolucyjnego. Przywraca ona ciągłość z polską tradycją ustrojową, i zachowuje to, co cenne po roku 1989: odbudowę samorządu terytorialnego, umocnienie pozycji Trybunału Konstytucyjnego, ochronę wolności obywatelskich. „Czwarta Rzeczpospolita nie będzie zbudowana jako całkowite zaprzeczenie Trzeciej. Będzie mogła czerpać nie tylko z jej doświadczeń, ale przejąć te instytucje, które nabrały cech nowego państwa" – pisał Rafał Matyja w tekście opublikowanym na łamach „Debaty" (*Obóz Czwartej Rzeczpospolitej*, „Debata" 1/1998). Mówimy zatem o projekcie odbudowy państwa, którego instytucje służą dobru wspólnemu, nie zaś partykularnym interesom, co oznacza konieczność głębokich zmian: uzdrowienie sądownictwa, likwidację instytucjonalnych źródeł korupcji, uwolnienie życia gospodarczego spod ograniczeń biurokratycznych.

Z oczywistych względów zwolennicy tego projektu ustrojowego musieli wystąpić przeciwko postkomunizmowi z całą gamą jego wad: oligarchizacją gospodarki, potężną rolą służb specjalnych w życiu publicznym oraz powiązaniami biznesu z administracją państwa. Wbrew czarnej legendzie, IV RP nie ma profilu autorytarnego. Zakładała ona zintegrowanie „rozparcelowanych" instytucji państwowych i w tym znaczeniu formułowała postulat umocnienia władzy wykonawczej państwa. Wypada zauważyć, że idea miała od początku charakter pełnowymiarowy i obok postulatu budowy silnej władzy państwowej, wyrażała zamiar decentralizacji, dystrybucji własności i stabilnych reguł życia gospodarczego.

Stąd za fałszywe należy uznać przeciwstawienie IV RP kanonom europejskim. W idei tej nie było nic, co uderzałoby w reguły przyjęte w państwach Europy Zachodniej. Czy postulat naprawy sądownictwa uzależnionego od władzy samorządu sędziowskiego nie byłby zrozumiany w tych kra-

jach europejskich, w których rola ministra sprawiedliwości w dziedzinie nominacji sędziowskich i sprawności sądów jest znacznie większa niż w Polsce? Przykładowo we Francji, gdzie Naczelna Rada Sądownictwa obraduje pod kierownictwem prezydenta i ministra sprawiedliwości, a parlament nie wybiera do tego ciała ludzi reprezentujących środowisko prawnicze. Krytyka coraz silniejszych w latach 90. mechanizmów oligarchizacyjnych w gospodarce była znakomicie rozumiana przez zachodnioeuropejskich obserwatorów. Wreszcie każdy, kto przyglądał się uważnie polskiemu życiu politycznemu, musiał dostrzec problem działania służb specjalnych poza kontrolą państwa.

Wypada zauważyć, że III RP nie wytrzymywałaby krytyki z punktu widzenia klasycznego liberalizmu, gdyby ten w Polsce istniał jako silny nurt intelektualny, wolny od politycznej poprawności. Przewlekłość postępowań sądowych podważająca pewność obrotu prawnego, narastające bariery wejścia do życia gospodarczego, niskie notowania Polski w rankingu swobód gospodarczych to zjawiska, które w oczach pryncypialnych zwolenników państwa-minimum powinny uchodzić za konieczne do przezwyciężenia patologie.

Uczynienie z konieczności działań naprawczych jednego z punktów programu politycznego miało służyć nie potępieniu III RP, lecz prawdziwemu wzrostowi ustrojowemu. Tym bardziej, że reforma państwa odpowiadała wyzwaniu zbliżającej się akcesji do UE, a więc potrzebie państwa wewnętrznie sterownego, zdolnego do aktywnego poruszania się w świecie nowoczesnych instytucji i procedur europejskich. Przeprowadzenie tej reformy nie jest aktem rewolucyjnym, lecz procesem wymagającym systematycznej pracy i wytrwałości ze strony polityków, którzy się tego trudnego zadania podjęli. Pojawiające się na ich drodze przeszkody oraz popełniane przez nich błędy nie przekreślają słuszności obranego kierunku.

Idea IV RP stała się hasłem politycznym w ostrej fazie kryzysu ustrojowego w czasach afery Rywina, gdy szerokie kręgi opinii publicznej zrozumiały, że obok „ustroju oficjalnego" istnieje „ustrój realny" z niszczącymi życie publiczne mechanizmami. Polityka PiS-u była najbardziej wiarygodną i klarowną odpowiedzią na kryzys III RP. Osobiście byłem bardzo sceptyczny wobec praktyki nadużywania terminu IV Rzeczpospolitej w kampanii wyborczej, wychodząc z przekonania, że prawdziwa ustrojowa zmiana wymaga ciężkiej pracy. Jednak nie to różni mnie z Witoldem Gadomskim.

Publicysta „Gazety Wyborczej" uznaje samo założenie tej idei za błędne, rewolucyjne i destrukcyjne. Posługuje się przy tym niezbyt zrozumiałymi analogiami do historii rewolucji socjalistycznej. I tak Bronisław Wildstein ma być wedle tej logiki postacią symboliczną dla rodzącego się rewizjonizmu, będącego wyrazem rozczarowania ideą IV RP wśród intelektualistów, którzy ją poparli w roku 2005.

„Wildstein'56" – pisze prześmiewczo Gadomski, przy okazji dość bezwzględnie obchodząc się nie tyle z byłym prezesem telewizji, co z ruchem i postaciami (Leszkiem Kołakowskim) istotnymi i ważnymi dla ideowej genealogii „GW". Tymczasem reakcje na dymisję Bronisława Wildsteina z funkcji prezesa telewizji publicznej świadczą o sile prawicowej kultury politycznej, a nie są wyrazem rozczarowania ideą IV RP.

Dyskusja w gronie zwolenników IV RP dotyczy nie tyle odrzucenia tej idei, co sposobów jej realizacji. W tekście *W starciu z III RP* („Rzeczpospolita" z 3 marca 2007 r.) Wildstein nie pozostawia wątpliwości, że swoich poglądów nie zmienił. Dlatego fakt istnienia krytyki w obozie prawicy nie jest wyrazem frustracji intelektualistów, lecz tego, że projekt zasadniczej odnowy polskiej polityki ma o wiele szersze znaczenie i związany jest z szerszym obywatelskim przebudzeniem – z szerokim sprzeciwem wobec powrotu do praktyk III RP – aniżeli można wnioskować z licznych publikacji,

sprowadzających temat do kłopotów (rzekomych lub nie) Prawa i Sprawiedliwości.

Przekonanie, że IV RP upada na naszych oczach jest raczej założeniem, niż prognozą. Nawet krytyczna ocena rządów PiS nie unieważnia wyrażonego w tej idei stanowiska ustrojowego. Czy można bagatelizować likwidację WSI, istotną reformę wymiaru sprawiedliwości i policji bądź przywrócenie odpowiedzialności państwa za ochronę narodowego dziedzictwa? To za mało, żeby ogłosić dokonanie wielkiej zmiany ustrojowej, ale wystarczająco dużo, by mówić o likwidacji złych segmentów III RP. Zdecydowanie większe możliwości dawałaby koalicja PiS-PO. Gdyby do niej doszło, otworzyłaby się perspektywa uchwalenia nowej konstytucji, dającej znacznie silniejsze podstawy dla przemian ustrojowych. Witold Gadomski zarzuca PiS-owi, że nie może doprowadzić do zmiany konstytucji, jednocześnie przypisując PO współodpowiedzialność za promocję idei IV RP w roku 2005. Te zarzuty wzajemnie się znoszą. Przychodzą na myśl słowa Raymonda Arona: „formułując propozycję odpowiedz na pytanie, co zrobiłbyś na miejscu podejmujących decyzję?"

Wiadomość o śmierci IV RP jest przedwczesna także z innego względu. Idea ta nie ma istotnej konkurencji w postaci ideowej i programowej alternatywy. Czytając wypowiedzi jej krytyków nie znajdujemy czytelnych propozycji programowych, nie ma ich również w artykule Witolda Gadomskiego. Lewica zapowiada wprost powrót do III RP, z większą dozą eksperymentów naruszających podstawy ładu społecznego, w PO brakuje pomysłów, którymi w podobnych sytuacjach wypełnione są deklaracje partii opozycyjnych w Niemczech czy Francji. Wyjątkiem są propozycje Jan Rokity, wyrastające z przekonania o konieczności istotnych zmian ustrojowych. Nawet gdyby negatywna dla PiS-u prognoza wyborcza okazała się trafna, idea, o której dyskutujemy, będzie ważnym czynnikiem polskiego życia politycznego. Czynnikiem podtrzymującym projekt polityki

ambitnej, prowadzącej do rzeczywistego umocnienia i unowocześnienia państwa.

(„Gazeta Wyborcza", 20.03.2007)

Efektywność rządu albo kryzys legislacji

Trudno znaleźć właściwą odpowiedź na pytanie o przyczyny kryzysu jakości prawa bez wyjaśnienia specyfiki procesu jego stanowienia we współczesnych demokracjach parlamentarnych. Przed siedemdziesięcioma laty jeden z prekursorów V Republiki, René Capitant, zwracał uwagę na to, że reformy konstytucyjne muszą brać pod uwagę fakt, że wraz ze specjalizacją prawa i jego wkroczeniem w nowe obszary legislacja stała się treścią rządzenia. W książce *La Réforme du parlementarisme* stwierdzał dobitnie, że „rządzenie nie oznacza dzisiaj podejmowania działań zgodnych z istniejącymi ustawami, rządzenie dzisiaj to kierowanie procesem legislacyjnym, jednym słowem rządzenie to ustanawianie prawa”[1]. Wybitny konstytucjonalista wskazywał na nowe domeny działalności prawotwórczej rządu i podkreślał, że w demokracji parlamentarnej – wbrew teorii Monteskiusza – władza nie jest podzielona, lecz skoncentrowana w rękach rządu i większości parlamentarnej.

A zatem w nowoczesnym państwie legislacja to instrument rządzenia, a głównym podmiotem tworzenia prawa jest rząd i podległa mu biurokracja. Wszelka dyskusja o reformie procesu stanowienia prawa nie może pomijać ustrojowej rzeczywistości. W chwili obecnej pogląd René Capitanta jeszcze bardziej zyskał na aktualności. Dotyczy to także polskiego doświadczenia ustrojowego. Rząd opracowuje większość projektów ustaw, wydaje akty wykonawcze, ma też możliwość panowania nad procesem legislacyjnym w parlamencie. Rola rządu w tej sferze zwiększyła się do-

---

[1] R. Capitant, *La Réforme du parlementarisme*, Liége-Paris 1934 (tłumaczenie własne – K.M.U.).

datkowo ze względu na znaczenie procesu transpozycji prawa europejskiego, gdyż to właśnie instytucje rządowe odpowiedzialne są za przygotowanie projektów ustaw urzeczywistniających cele wskazane w dyrektywach UE. Dane statystyczne z VI kadencji Sejmu i VII kadencji Senatu (lata 2007-2011) całkowicie potwierdzają opinię o kluczowej roli rządu i większości rządowej w sferze legislacji. Rada Ministrów zgłosiła większość, bo prawie 59% projektów ustaw, pozostałą część tworzyły projekty poselskie – 33%, komisyjne – 7% i prezydenckie – zaledwie 1%. Jeszcze bardziej znaczące jest to, że ustawy uchwalone z inicjatywy opozycji stanowią jedynie 4% wszystkich uchwalonych ustaw. A zatem przytłaczająca większość ustaw to dzieło większości rządowej[2]. Jeśli zbadalibyśmy dokładnie udział posłów z koalicji rządowej w zgłaszaniu poprawek do projektów ustaw, to powstałby pełny obraz legislacji znajdującej się w rękach rządu i większości parlamentarnej[3].

Dlatego też o powodach kryzysu prawa nie można myśleć tak, jakby władza ustawodawcza skoncentrowana była wyłącznie w parlamencie pojmowanym jako instytucja odseparowana od rządu. Monteskiuszowska idea podziału władz odczytana w literalnym sensie nie opisuje współczesnej rzeczywistości ustrojowej[4]. Poglądy, w myśl których za

---

[2] Obliczenia własne na podstawie dostępnego materiału statystycznego oraz publikacji: *Sejm Rzeczypospolitej Polskiej. VI kadencja. Informacja o działalności Sejmu (5 listopada 2007 r. – 31 grudnia 2010 r.)*, oprac. A. Dembińska, Warszawa 2011.

[3] Dotychczas prowadzone badania nad parlamentarną fazą procesu legislacji nie obejmowały tego zagadnienia. W opinii obserwatorów praktyki parlamentarnej potężna część poprawek do ustaw zgłaszana jest z inspiracji ministrów przez parlamentarzystów należących do klubów tworzących koalicję rządową. Problem ten, sygnalizowany w opracowaniach syntetycznych, zasługuje na odrębną analizę.

[4] Bardzo ciekawe uwagi o błędach, jakie niesie za sobą zastosowanie teorii Monteskiusza do analiz rządów parlamentar-

kryzys prawa odpowiedzialny jest sejm *in abstracto* i wszyscy posłowie bez względu na ich stosunek do rządu, nie odpowiadają realiom rządów parlamentarnych i praktyce stanowienia prawa. Dlatego też nie mogę zgodzić się z tezami zawartymi w opracowaniach Piotra Winczorka i Sławomiry Wronkowskiej, którzy eksponują odpowiedzialność parlamentu, tak jakby jego decyzje nie zależały od stanowiska większości rządowej[5]. Co więcej, tak sformułowane tezy uwalniają od odpowiedzialności rząd i biurokrację, a więc w rzeczywistości kluczowych aktorów legislacji.

Najbardziej wartościowe raporty analizujące wady polskiej legislacji wskazują przede wszystkim na słabość centrum rządu pojmowanego jako zestaw instytucji znajdujących się w rękach premiera. To centrum rządu powinno odgrywać kluczową rolę w panowaniu nad procesem legislacyjnym zarówno w fazie planowania, jak i realizacji. Raporty opracowane przez dr. Radosława Zubka nie pozostawiają wątpliwości, że zawodzą mechanizmy efektywnej polityki rządu w tej sferze. W tekście opublikowanym wspólnie z Klausem H. Goetzem na łamach „Ius et Lex" stwierdzał, że „od początku lat 90. mamy w Polsce do czynienia z bardzo słabą pozycją premiera i jego kancelarii w procesie legislacyjnym"[6]. Rząd nie kontroluje także parlamentarnego procesu stanowienia prawa w stopniu porównywalnym z dojrzałymi państwami Europy Zachodniej. Trzeba też przypomnieć o bardzo dużych opóźnieniach rządu w sferze wydawania rozporządzeń wykonawczych. W informacji Rzecznika Praw Obywatelskich o działalności

nych, znajdziemy w klasycznej pracy: R. Carré de Malberg, *Contribution à la théorie générale de l'État*, Bar-le-Duc-Paris 1922.

[5] P. Winczorek, *Ustrój konstytucyjny i proces prawotwórczy*, Instytut Spraw Publicznych, 2009; S. Wronkowska, *Proces prawodawczy dwóch dekad – sukcesy i niepowodzenia*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny" 2009, z. 2.

[6] K. H. Goetz, R. Zubek, *Stanowienie prawa w Polsce: reguły legislacyjne a jakość ustawodawstwa*, „Ius et Lex" 2005, nr 1.

za rok 2010 według stanu na dzień 25 sierpnia tego roku nie zrealizowano w terminie aż 185 upoważnień. W tym samym dokumencie Rzecznik zwrócił uwagę, że opóźnienia w tej dziedzinie nie pozwalają na prawidłowe stosowanie przepisów ustawy, a co za tym idzie nie dają obywatelowi poczucia pewności prawa[7].

Równie surowe są oceny legislacji rządowej w sferze transpozycji prawa europejskiego. Raport *Wykonywanie prawa europejskiego* opracowany w ramach programu Ernst & Young stwierdza, że w Polsce nie ma podmiotu ponoszącego odpowiedzialność za centralne zarządzanie procesem planowania transpozycji. Ani Urząd Komitetu Integracji Europejskiej, ani MSZ po inkorporacji Urzędu nie pełni funkcji koordynującej i dyscyplinującej poszczególnych ministrów i agendy rządowe. MSZ nie planuje harmonogramu prac, zadowalając się tylko rozsyłaniem informacji na temat unijnych aktów prawnych wymagających aplikacji[8]. Ale co najważniejsze, prawnicy z UKIE nie opracowują projektów ustaw, ograniczając się do weryfikowania projektów opra-

[7] Ponadto Rzecznik wskazał na problem szczególnie niebezpiecznych przypadków nierealizowania upoważnień ustawowych, które na skutek planowanych nowelizacji ustaw mają być w przyszłości zmienione, *Informacja o działalności Rzecznika Praw Obywatelskich za rok 2010*, red. S. Trociuk, Warszawa 2011, s. 38, *Biuletyn RPO. Źródła*, nr 1, [online] http://www.rpo.gov.pl/pliki/13082252380.pdf.

[8] W 2011 r. minister spraw zagranicznych oficjalnie potwierdził brak skoncentrowanego modelu legislacji w sferze implementacji prawa europejskiego w piśmie do marszałek Ewy Kopacz w sprawie procedury opiniowania projektów ustaw co do ich zgodności z prawem europejskim. „Pozwalam sobie zwrócić uwagę, że to właściwe ministerstwa i urzędy centralne ponoszą główną odpowiedzialność za transpozycję prawa UE do polskiego porządku prawnego, w tym za przygotowanie projektów ustaw implementujących prawo UE. MSZ pełni w tym zakresie wyłącznie rolę koordynacyjną", List ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego do marszałek Ewy Kopacz z 21 XII 2011.

cowywanych w poszczególnych ministerstwach. „Prawnicy z UKIE nie przygotowali projektów aktów prawnych wdrażających prawo UE. Zapewniali doraźną pomoc podczas tworzenia projektów aktów prawnych w resortach, ale stopniowo było to coraz rzadsze”[9] – stwierdzają autorzy raportu i przywołują pozytywny przykład Węgier i Słowenii, gdzie w praktyce istnieje skoncentrowany system legislacji w tej sferze.

Kryzys jakości prawa jest zatem następstwem braku instytucji i mechanizmów efektywnego rządzenia w sferze legislacji. W tej sytuacji najgłębsza kulturowa słabość polskiego życia publicznego, jaką jest unikanie odpowiedzialności przez polityków i urzędników, w tym również legislatorów, może rozwijać się na dobre. Słabość centrum rządu skutkuje sytuacją, w której rozmywa się odpowiedzialność za opracowanie aktu prawnego. Deklarowany cel reformy z 2009 r., jakim było umocnienie centrum rządu i Rządowego Centrum Legislacji, nie został osiągnięty. Nowelizacje ustawy o Radzie Ministrów i regulaminu pracy Rady Ministrów z kwietnia tego roku nie zmieniły praktyki państwowej w sferze prac nad projektami aktów prawnych. Bardzo charakterystyczne dla kultury unikania odpowiedzialności są przepisy drugiego z tych aktów: § 6.1 wyraża zasadę opracowywania projektów ustaw przez Rządowe Centrum Legislacji, ale już punkt 1b tego samego paragrafu stanowi, że w uzasadnionych przypadkach prezes Rady Ministrów lub działający w jego imieniu sekretarz może powierzyć opracowanie projektu ustawy organowi wnioskującemu, czyli ministerstwu. W praktyce nie jest to wyjątek od reguły, lecz reguła. Większość aktów prawnych powstaje nadal w ministerstwach. W rzeczywistości zobowiązane do opracowywania projektów Rządowe Centrum Legislacji jest in-

[9] R. Zubek, K. Stranowa, *Wykonywanie prawa Unii Europejskiej. Wpływ organizacji rządowej na transpozycję dyrektyw UE*, Program Ernst & Young Sprawne Państwo, Warszawa 2010, s. 15.

stytucją korekcyjną i recenzyjną, a nie odpowiedzialną za kształt przepisów. Pożądany model: Rada Ministrów przyjmująca założenia projektu ustawy na wniosek ministra, Rządowe Centrum Legislacji tworzące akt prawny, nie jest w praktyce stosowany[10]. Badania wskazują na to, że w 2009 r. tylko dziesiąta część planu legislacyjnego rządu realizowana była tą ścieżką[11]. W latach 2010-2011 w RCL opracowano 20% rządowych projektów ustaw[12]. Trudno nie zgodzić się z Markiem Zubikiem, gdy stwierdza, że Rada Ministrów jako całość nie czuje się gospodarzem procesu legislacyjnego[13].

[10] Przypomnijmy, że przed trzema laty postulat ten formułowali wspólnie minister Michał Boni i dr Radosław Zubek. W tekście opublikowanym na łamach „Rzeczpospolitej" pisali, że „[...] nowego zdefiniowania wymaga sam proces przygotowywania rozwiązań. Zgodnie ze zmianami zawartymi w ustawie o Radzie Ministrów obecnie coraz więcej kluczowych ustaw będzie (to zadanie na cały 2009 rok, by przebudować sekwencje działań) najpierw dyskutowanych w formie debaty nad założeniami (tak się dzieje przy propozycjach zmian w funkcjonowaniu OFE). To jest także czas konsultacji, więc nie wolno zapominać o partnerach społecznych. W takiej debacie krystalizować się powinny rozwiązania, a RCL winien je później zamieniać na zapisy legislacyjne", M. Boni R. Zubek, *Jak rządzić skutecznie*, „Rzeczpospolita" 2009, 13 II.

[11] M. Zubik, *Doświadczenie racjonalizacji polskiego parlamentaryzmu okresu transformacji ustrojowej*, [w:] *Quo vadis Polonia? W drodze do demokratycznego państwa prawa. Polska 1989-2009*, red. J. Kochanowski, M. Kuruś, Warszawa 2010, s. 100, *Biuletyn RPO. Źródła*, nr 5.

[12] Według informacji udzielonej przez prezesa RCL kierowana przez niego instytucja w latach 2010-2011 opracowała 50 na 258 projektów ustaw przyjętych przez Radę Ministrów, *Odpowiedź na interpelację posła Kazimierza M. Ujazdowskiego w sprawie przedstawienia wykazu projektów ustaw opracowanych w latach 2010-2011 przez Rządowe Centrum Legislacji*, [online] http://www.sejm.gov.pl/Sejm7.nsf/InterpelacjaTresc.xsp?key=354C85D2.

[13] „W minionych 20 latach nie doczekaliśmy się takiej wizji sprawowania władzy państwowej, w której to Rada Ministrów, korzystając z przysługującego jej domniemania kompetencji,

Typowy projekt ustawy powstaje w dialogu między poszczególnymi ministerstwami a Rządowym Centrum Legislacji, w rezultacie żaden z podmiotów nie jest definitywnie odpowiedzialny za jakość projektowanych przepisów. W sytuacji rozproszenia procesu legislacyjnego, wbrew składanym deklaracjom, tylko w ograniczonym stopniu stosowane są zasady techniki prawodawczej określone w załączniku do rozporządzenia prezesa Rady Ministrów. Wypada przypomnieć, że Trybunał Konstytucyjny przyznaje im pośrednio status norm konstytucyjnych jako powszechnym regułom postępowania legislacyjnego[14].

Nie może też dziwić, że zjawisko „rozproszenia" odpowiedzialności współistnieje z niejawnością procesu legislacyjnego. Zauważmy, że opinia publiczna ma ograniczony dostęp do przebiegu prac nad projektami ustaw w fazie rządowej stanowienia prawa. Niejawność tworzy osłonę dla nieodpowiedzialności[15]. Trzeba również powiedzieć, że identyczna praktyka „unikania odpowiedzialności" cechuje postawę rządu w parlamentarnej fazie prac legislacyjnych. W wielu przypadkach premier i ministrowie powstrzymują się od zajęcia stanowiska wobec zgłoszonych poprawek. Co więcej, korygowanie projektów rządowych odbywa się często z inicjatywy ministrów, którzy urzeczywistniają w ten sposób interesy resortowe lub po prostu poprawiają błędne regulacje projektu. Dodajmy, że Senat szczególnie w ostat-

traktuje stanowienie prawa jako jedną z metod zarządzania państwem. Pod tym względem ponieśliśmy porażkę", M. Zubik, *Doświadczenie racjonalizacji...*, s. 100.

[14] *Proces prawotwórczy w świetle orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego*, Biuro Trybunału Konstytucyjnego, Warszawa 2011, s. 118.

[15] W praktyce strony internetowe Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i poszczególnych ministerstw nie ujawniają większości zmian dokonywanych w projektach ustaw w rządowej fazie procesu legislacyjnego, co uniemożliwia kontrolę ze strony ekspertów i opinii publicznej.

niej kadencji występował często w roli „ostatniej deski ratunku", instytucji asekurującej błędy koalicji rządowej.

Prawdziwa reforma stanowienia prawa wymaga konsekwentnego urzeczywistnienia silnych rządów parlamentarnych, a zatem w pewnym sensie „wymuszenia" efektywnej polityki rządu. Potrzebna jest budowa mechanizmów oraz instytucji sprzyjających panowaniu premiera i centrum rządu nad całością procesu legislacyjnego. Warto zacząć od reform instytucjonalnych i zmian w prawie niewymagających nowelizacji konstytucji. Przemawia za tym nie tylko niewielkie prawdopodobieństwo nowelizacji ustawy zasadniczej w najbliższym czasie. Nie mniej istotne jest to, że bez reform instytucjonalnych na podstawowym poziomie na niewiele zdadzą się zmiany w samej konstytucji.

Przezwyciężanie syndromu nieodpowiedzialności zacząć należy od wewnętrznej organizacji procesu legislacyjnego Rady Ministrów i podniesienia poziomu rządowych służb legislacyjnych. Zasadnicze znaczenie będzie miało przyjęcie przez premiera i podległe mu instytucje odpowiedzialności za panowanie nad procesem legislacyjnym. W pierwszej kolejności chodzi o respektowanie zasady, że to Rządowe Centrum Legislacji opracowuje projekty ustaw i kluczowych rozporządzeń. Podobnie w przypadku transpozycji prawa europejskiego prace legislacyjne powinny być skoncentrowane w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Zmiana w tej sferze zależna jest od woli politycznej premiera i wymaga jedynie korekty regulaminu pracy Rady Ministrów. Skoncentrowanie prac legislacyjnych w RCL i MSZ w przypadku ustaw wykonujących dyrektywy wpłynie dodatnio na jakość prawa. Wyeliminuje także chaos i „rozproszenie" odpowiedzialności, bardzo charakterystyczne dla aktualnej praktyki. Podkreślić wypada, że bez koncentracji prac legislacyjnych nie jest możliwa ewaluacja skutków dyrektyw i wdrażanie ich z uwzględnieniem specyfiki polskiego prawa i interesów polskich podmiotów gospodarczych. Budowa w pełni odpowiedzialnego Rządowego Cen-

trum Legislacji wymusi profesjonalizację administracji i rekrutację do tej instytucji najlepiej wykwalifikowanych legislatorów. Dodajmy, że Rada Ministrów powinna przyjąć na siebie odpowiedzialność za monitorowanie i wykonywanie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, dziś zadanie to – rozproszone między agendy rządowe, komisje Sejmu i Senatu – nie jest wykonywane w sposób spójny.

Trzeba też zauważyć, że możliwa jest racjonalizacja parlamentarnego procesu legislacji w ramach obowiązujących reguł konstytucyjnych. W pierwszej kolejności chodzi o zmianę regulaminu Sejmu, pozwalającą na głosowanie na wniosek rządu *en bloc* poprawek do projektów ustaw kwestionowanych przez gabinet. Już przyjęcie reguły, że rząd przedstawia stanowisko wobec sprawozdania komisji i określa je wobec wniosków mniejszości i poprawek, porządkowałoby proces legislacji. Pożądane byłyby także zmiany sprzyjające jawności legislacji i większej refleksji w przypadku zmian w prawie o bardzo istotnym znaczeniu. Uważam, że procedura prac nad ustawami podatkowymi odpowiadać powinna zasadom obowiązującym w przypadku zmian w kodeksach. Pozytywny skutek przyniesie także demokratyzacja instytucji wysłuchania publicznego. W praktyce stosowana jest ona bardzo rzadko: w ubiegłej kadencji Sejmu jedynie dziewięć razy na 1419 zgłoszonych projektów ustaw[16]. Niezwykle istotne projekty dotyczące reformy OFE,

[16] Procedurę wysłuchania publicznego zastosowano w odniesieniu do następujących projektów ustaw:

- Rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy *Prawo o ustroju sądów powszechnych* oraz niektórych innych ustaw.

- Rządowy projekt ustawy o działalności leczniczej.

- Rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy *Prawo o szkolnictwie wyższym*, ustawy o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki oraz o zmianie niektórych innych ustaw.

- Rządowy projekt ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej.

nowelizacji ustawy o systemie oświaty czy też nowego ustroju prokuratury nie zostały poddane tej procedurze. W chwili obecnej jej zastosowanie zależy od zgody koalicji rządowej. Przypomnieć wypada, iż art. 70a ust. 2 regulaminu Sejmu stanowi, że uchwała o przeprowadzeniu wysłuchania publicznego podejmowana jest przez komisję, do której skierowano projekt. Jestem zadania, że wysłuchanie publiczne powinno być zarządzane również na wniosek jednej trzeciej posłów komisji sejmowych. Warto zauważyć, że jeden z najnowszych projektów nowelizacji regulaminu Sejmu zawiera obie te propozycje[17]. Trzeba też podnieść postulat ujawniania w internetowym systemie informacji sejmowej autor-

- Poselski projekt ustawy o zmianie ustawy o radiofonii i telewizji oraz ustawy o opłatach abonamentowych.

- Rządowy projekt ustawy *Prawo o organizmach genetycznie zmodyfikowanych*.

- Przedstawiony przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej projekt ustawy o Korpusie Weteranów Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej.

- Rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie oraz niektórych innych ustaw.

- Rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie oraz niektórych innych ustaw.

- Komisyjny projekt ustawy o zmianie ustawy o spółdzielniach socjalnych oraz o zmianie niektórych innych ustaw.

- Poselski projekt ustawy o zmianie ustawy o Rzeczniku Praw Dziecka.

- Przedstawiony przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej projekt ustawy o zmianie ustawy o ochronie danych osobowych.

Na podstawie dostępnego materiału statystycznego opublikowanego w internetowym systemie informacji sejmowej, [on line] data dostępu 10.09.2012 link www.sejm.gov.pl/lobbing/wys_pub.htm.

[17] Projekt zmiany regulaminu Sejmu RP zgłoszony przez Klub Parlamentarny Prawo i Sprawiedliwość w dniu 10 XI 2011, Druk nr 11, http://www.sejm.gov.pl/Sejm7.nsf/druki.xsp

stwa poprawek zgłaszanych na wszystkich etapach parlamentarnej procedury.

Urzeczywistnienie wyżej przedstawionych propozycji byłoby krokiem w stronę modelu efektywnej i odpowiedzialnej legislacji. Przygotowywałoby także grunt pod reformę konstytucji. Propozycje zmian w konstytucji w celu modernizacji procesu stanowienia prawa zasługują na uwagę i poważny namysł. Wydaje się, że dotyczą one trzech sfer: racjonalizacji procesu legislacyjnego w parlamencie, prawotwórstwa rządowego i powołania Rady Stanu jako instytucji podnoszącej jakość stanowienia prawa.

W pierwszej sferze za najważniejsze uznaję skoncentrowanie prac legislacyjnych w komisjach sejmowych i wyeliminowanie praktyki zgłaszania poprawek na posiedzeniu plenarnym. Koncentracja prac ustawodawczych w komisjach ma moc dyscyplinującą, wymusi na rządzie konieczność zajmowania jednoznacznego stanowiska. Oznaczać będzie faktyczne zakończenie prac w chwili przedłożenia sprawozdania przez komisję. Rzecz jasna, reforma ta wymaga zmiany art. 119 konstytucji i powrotu do rozpatrywania ustaw w dwóch czytaniach[18]. Nie brałbym pod uwagę propozycji skrócenia terminu postępowania w parlamentarnym procesie ustawodawczym czy też ograniczenia poselskiej inicjatywy ustawodawczej i prawa zgłaszania poprawek. Naprawa procesu ustawodawczego nie może polegać na tłumieniu inicjatywy legislacyjnej opozycji czy też na tworzeniu ekspresowych ścieżek uchwalania ustaw ze szkodą dla ich jakości. Tym bardziej, że w obecnie obowiązującym stanie prawnym prace legislacyjne mogą odbywać się szybciej niż w wielu parlamentach państw europejskich. Klucz do pozytywnej zmiany stanowi skonsolidowanie procesu ustawodawczego w komisjach, co zwiększy odpowiedzialność wszystkich aktorów legislacji.

---

[18] Por.: S. B. Banaszak, *Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej. Komentarz*, Warszawa 2009, s. 607.

Problem samodzielnego prawodawstwa rządowego jest od wielu lat przedmiotem zainteresowania nauki prawa konstytucyjnego. Przyjęty w Konstytucji V Republiki Francuskiej model aktywnej roli rządu na tym polu i zdefiniowanie materii ustawowej było przed wielu laty przedmiotem wnikliwych analiz Jerzego Stembrowicza[19]. Wypada przypomnieć, że prawodawstwo rządowe istniało w PRL, zostało zniesione ustawą z dnia 7 kwietnia z 1989 r. o zmianie konstytucji. Później, w 1992 r. powróciło na krótko dzięki przepisom Małej Konstytucji, by ostatecznie zniknąć z chwilą uchwalenia obecnie obowiązującej konstytucji. Po wejściu w życie Małej Konstytucji liczono, że ustawowe upoważnienie Rady Ministrów do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy sprzyjać będzie efektywnemu rządzeniu. Rząd Hanny Suchockiej zgłosił nawet projekt ustawy upoważniającej na podstawie art. 23 Małej Konstytucji. Nigdy jednak nie doszło do zastosowania tej instytucji.

W ostatnich latach postulat wydawania rozporządzenia z mocą ustawy wraca wyłącznie w kontekście europejskim[20]. I tak, projekt zespołu ekspertów powołanego przez marszałka Sejmu w 2009 r. przewidywał w art. 227 prawo do wydawania przez Radę Ministrów rozporządzeń w celu wykonywania dyrektyw. Trzeba zwrócić uwagę na radykalizm tej propozycji i brak jakichkolwiek materialnych ograniczeń dla postulowanej aktywności rządu. W myśl projektu Rada Ministrów mogłaby wydawać rozporządzania z mocą usta-

[19] J. Stembrowicz, *Ustawodawstwo rządowe w powojennej Francji*, „Państwo i Prawo" 1960, nr 2. Wiele cennych analiz znajdziemy w monografii Jerzego Stembrowicza poświęconej pozycji rządu w systemach parlamentranych państw europejskich, zob.: tenże, *Rząd w systemie parlamentarnym*, Warszawa 1982.

[20] Propozycję wdrażania dyrektyw unijnych w drodze ustawodawstwa delegowanego przedstawił prof. Mariusz Jabłoński w *Ankiecie konstytucyjnej* zorganizowanej przez Instytut Spraw Publicznych, zob.: *Ankieta konstytucyjna*, red. B. Banaszak, J. Zbieranek, Instytut Spraw Publicznych, Warszawa 2011, s. 70.

wy realizujące dyrektywy bez względu na ich przedmiot. Projekt pozostawiał dla ustaw wdrażających dyrektywy także zwykłą ścieżkę legislacyjną, z tym że projekty rządowe w tej sferze miały korzystać ze szczególnych preferencji. W przypadku rządowego projektu ustawy realizującej prawo europejskie, który został uznany przez Radę Ministrów za projekt pilny, postulowano nawet zniesienie ograniczeń, o których mowa w art. 123 konstytucji[21]. Oznaczałoby to w praktyce uchwalanie ustaw podatkowych i kodeksowych w trybie pilnym[22]. Propozycja nie została podjęta w pracach sejmowej Komisji Konstytucyjnej, ale pokazuje nastawienie części środowisk prawniczych.

Uważam, że szczególne preferencje dla samodzielnego prawodawstwa rządowego w zakresie transpozycji prawa unijnego nie mają uzasadnienia. Warto podkreślić, że do opóźnień w pracach nad opracowaniem dyrektyw dochodzi w rządowej fazie procesu legislacyjnego. Projekty ustaw wdrażających dyrektywy przekazywane są do Sejmu z dużym opóźnieniem i niejednokrotnie z licznymi błędami merytorycznymi. To Sejm wymusił w tej sferze pewną dyscyplinę, zobowiązując Radę Ministrów do przedstawiania wraz z informacją o udziale Rzeczypospolitej Polskiej w pracach Unii Europejskiej sześciomiesięcznego planu prac z projektami ustaw wykonujących prawo europejskie[23].

Lekarstwem na ten stan jest skoncentrowany model rządowy – w przypadku prawa unijnego MSZ musi dorosnąć do roli instytucji przyjmującej odpowiedzialność za kształt projektów ustaw w tej sferze. Ponadto, bardzo ryzykowne z punktu widzenia jakości prawa i ochrony praw jednostki byłoby poddawanie reżimowi rozporządzeń z mocą ustawy

[21] *Zmiany w Konstytucji RP dotyczące członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Dokumenty z prac zespołu naukowego powołanego przez Marszałka Sejmu*, red. P. Radziewicz, Warszawa 2010, s. 11-12.

[22] *Tamże*, s. 40.

[23] Chodzi o nowelizację regulaminu Sejmu RP z lutego 2010 r., wprowadzającą zmiany do art. 125a, uchwaloną w lutym 2011 r.

szczególnie wrażliwej sfery, jaką są podatki i prawo karne. W żadnym z państw Europy Zachodniej regulacje w tej sferze nie zostały wyłączone poza domenę ustawy. Dodajmy, że wyłączenie trybu ustawowego w tak istotnych kwestiach pozostaje w sprzeczności z umocnieniem pozycji parlamentów narodowych w traktacie lizbońskim i wyposażeniem ich w kompetencje związane z reakcją na naruszanie zasady pomocniczości przez instytucje unijne.

Dlatego też warto myśleć o prawodawstwie rządowym bez doraźnej perspektywy. Wykonywanie praw UE nie może być zasadniczą przesłanką powrotu do wydawania przez Radę Ministrów rozporządzeń z mocą ustawy. Projekty zmian w tej sferze musi poprzedzać wyraźne określenie materii zastrzeżonej dla ustaw. Wreszcie potrzebny jest czas na wzrost kompetencji legislacyjnych biurokracji, bez których prawodawstwo w rękach rządu nie przyniesie pożądanego efektu.

Przykład V Republiki zasługuje na przemyślenie i zachęca do budowania spójnych rozwiązań konstytucyjnych[24]. W przypadku Francji aktywna rola prawotwórcza rządu została związana z odbudowaniem prestiżu ustawy i precyzyjnym zdefiniowaniem jej domeny w art. 34 konstytucji z 1958 r. Zauważmy, że obowiązująca we Francji i godna rozważenia w Polsce prewencyjna kontrola konstytucyjności ustaw możliwa jest do zastosowania pod warunkiem przedmiotowego określenia domeny ustawowej. Ustawy organiczne stanowią również część spójnej konstrukcji konstytucyjnej. Wprowadzenie do systemu źródeł ustaw organicznych jako ustaw wyższego rzędu z odrębną procedurą ustawodawczą i obligatoryjną kontrolą Rady Konstytucyjnej

[24] Na szczególną uwagę zasługuje przemówienie Michela Debré na forum Rady Stanu w sierpniu 1958 r., prezentujące założenia reformy konstytucyjnej, M. Debré, *Przemówienie przed Radą Stanu 27.08.1958 roku*, [w:] *V Republika Francuska. Idee, konstytucja, interpretacje*, oprac. K. M. Ujazdowski, przeł. B. Płonka, B. Perlińska, Kraków 2010, s. 225-245.

podniosło jakość prawa i zgodnie z intencjami reformatorskimi ukształtowało stabilne reguły w organizacji władz publicznych. Wypada zauważyć, że prewencyjna kontrola konstytucyjności jest warunkiem wprowadzenia ustaw organicznych. Jeśli ich głównym walorem ma być stabilizacja systemu prawnego, to ocena ich konstytucyjności powinna być dokonana przed ich wejściem w życie. Przywrócenie w Polsce prawodawstwa rządowego w postaci rozporządzeń z mocą ustawy i inne możliwe zmiany wymagają zatem poważnego namysłu i budowy spójnych regulacji konstytucyjnych.

Podobnej refleksji wymaga również idea powołania Rady Stanu jako ważnego aktora procesu legislacji. Postulat utworzenia tej instytucji wraca po wielu latach nieobecności w polskim dyskursie konstytucyjnym. Warto przypomnieć, że już w latach 20., tuż po odzyskaniu niepodległości, podejmowano próby budowy Rady Stanu na wzór francuski – postulat taki uchwalił zjazd prawników i ekonomistów w Poznaniu w 1922 r.[25] Wcześniej obecny był w projekcie konstytucji *Ankiety* z 1919 r., opracowanym przez grono prawników pod kierownictwem Michała Bobrzyńskiego[26]. Propozycja utworzenia Rady Stanu była szczególnie silnie obecna w pracach naukowych i publicystycznych prawników krytycznie nastawionych do Konstytucji marcowej, ufundowanej na supremacji parlamentu. Wypada wymienić opracowania, które wyszły spod pióra Stanisława Estreichera, Szymona Dzierzgowskiego, Antoniego Peretiatkowicza, Stanisława Starzyńskiego i Władysława Studnickiego[27]. Rada Stanu pomyślana była jako instytucja mająca podnieść po-

[25] A. Peretiatkowicz, *Reforma konstytucji polskiej*, Warszawa 1929, s. 38.

[26] *Ankieta konstytucyjna*, [w:] *Michał Bobrzyński o potrzebie „silnego rządu" w Polsce*, oprac. P. Majewski, Warszawa 2001, s. 165.

[27] Omówienie projektów znajdziemy w pracy: B. Szlachta, *Polscy konserwatyści wobec ustroju politycznego do 1939 roku*, Kraków 2000, s. 342-348.

ziom ustawodawstwa w sytuacji niskiego poziomu elity parlamentarnej i niedostatecznych kompetencji rządowych służb legislacyjnych. W myśl propozycji Stanisława Estreichera, który nawiązywał do wzorów francuskich, Rada Stanu miała opiniować rządowe i poselskie projekty ustaw, a w przypadku wyraźnego zlecenia przez rząd lub Sejm Rada miała przyjmować odpowiedzialność za ich opracowywanie[28].

Propozycja utworzenia Rady Stanu wróciła w ostatnich latach w kontekście kryzysu legislacji. W dojrzałej formie została przedstawiona w projektach opracowanych pod auspicjami śp. Janusza Kochanowskiego. Chodzi o projekt zmiany konstytucji i projekt ustawy o utworzeniu Rady Stanu z kwietnia 2008 r.[29] Przypomnijmy, że w przedstawionych projektach Rada Stanu miała być instytucją opiniującą projekty ustaw, rozporządzeń, założeń do projektu ustawy, poprawek zgłaszanych w postępowaniu legislacyjnym w Sejmie i Senacie. Opiniowanie miało następować na wniosek podmiotu uprawnionego do występowania z inicjatywą ustawodawczą, w tym także komitetów inicjujących ludową inicjatywę ustawodawczą. Zarówno specjalny tryb wyboru członków Rady, jak i jej skład i kadencyjność pomyślany był jako gwarancja jej niezależności w systemie ustrojowym, z akcentem na niezależność od rządu. Przedstawienie projektu nowelizacji konstytucji miało dawać Radzie Stanu status konstytucyjny wraz z wyposażeniem jej w prawo do

[28] S. Estreicher, *Rada Stanu i udoskonalenie ustawodawstwa*, [w:] *Stanisław Estreicher o konstytucji i polityce Drugiej Rzeczypospolitej*, oprac. A. Wołek, Warszawa 2001, s. 70-81.

[29] Projekty nowelizacji konstytucji i ustawy o Radzie Stanu zostały zaprezentowane opinii publicznej przez śp. Janusza Kochanowskiego w 2009 r. Biuro RPO 10 IV 2008. Warto zwrócić uwagę również na wystąpienie: J. Kochanowski, *Jak powinno być tworzone prawo w Polsce. Reforma procesu stanowienia prawa – Rada Stanu*, Biuro RPO 2009, [online] http://www.rpo.gov.pl/pliki/12087762480.pdf.

składania wniosków do Trybunału Konstytucyjnego. W myśl projektu marszałek Sejmu uzyskiwał „prawo do nienadawania biegu inicjatywom ustawodawczym, które w oczywisty sposób godziłyby w jakość stanowionego prawa”[30].

Dorobek prac ustrojowych wyrażony w obu projektach powinien być wykorzystany. Uważam jednak, że każda z ustrojowych innowacji musi przełamywać syndrom nieodpowiedzialności. Instytucje pomyślane jako opiniodawcze zbyt łatwo przekształcają się w ciała uchylające się od realnej odpowiedzialności. Tworzenie kolejnej instytucji opiniodawczej dysponującej niezależnością wobec rządu, który powinien odzyskać status prawdziwego gospodarza procesu legislacyjnego, nie przyniesie pozytywnego skutku. Reforma procesu stanowienia prawa musi bowiem przezwyciężać głęboką słabość polskiej kultury politycznej, jaką jest tendencja do uwalniania się od odpowiedzialności i rozmywania jej pośród wielu podmiotów. Więcej nadziei pokładałbym zatem w modernizacji Rządowego Centrum Legislacji i doprowadzeniu do wzięcia przez Centrum realnej odpowiedzialności za opracowywanie projektów ustaw.

W klasycznej pracy poświęconej demokracji zachodniej Gordon Smith wskazywał na stabilność i efektywność jako na dwie przesłanki decydujące o powodzeniu rządów parlamentarnych[31]. Wydaje się, że Polska przezwyciężyła niebezpieczeństwo niestabilności związane z rozproszeniem systemu politycznego. Druga z przesłanek – efektywność rządów parlamentarnych – pozostawia wiele do życzenia. Wolno zatem spojrzeć na naprawę legislacji jak na dzieło budowy instytucji efektywnego rządu będącego prawdziwym gospodarzem państwa i procesu legislacyjnego. Dzieło to wymaga przezwyciężenia głównej słabości kultury pu-

---

[30] *Tamże*, s. 8-9.

[31] G. Smith, *Życie polityczne w Europie Zachodniej*, przeł. L. Dorn, London 1992.

blicznej w Polsce, jaką jest tendencja do unikania i rozmywania odpowiedzialności.

(„Politeja”, nr 19, 2012)

O prymacie konstytucji i panowaniu nad swoim losem

Donald Tusk dąży do zablokowania prac Komisji Konstytucyjnej nad nowym rozdziałem europejskim polskiej konstytucji i czyni to wbrew stanowisku posłów Platformy Obywatelskiej. Być może opór premiera rodzi fakt, że efektem prac Komisji Konstytucyjnej jest treściwa formuła, która pozwoli w przyszłości ocenić potencjalne zmiany prawa Unii Europejskiej z punktu widzenia kluczowych wartości polskiej konstytucji.

Miarą dobrej konstytucji jest jej sprawczość, to, czy tworzy trwałe instytucje wzmacniające państwo i chroniące prawa obywateli. Nie czynią tego ani konstytucje fasadowe, ani te, które stanowią jedynie zapis zmian już dokonanych. Po 1989 r. dominowała zazwyczaj ta druga, bierna logika tworzenia konstytucji. O ustawie zasadniczej z 1997 r. pisano otwarcie, że jest zapisem „pierwszego etapu procesu transformacji". Stąd jej wady – aksjologiczny galimatias, osłabienie każdej z trzech władz i deficyt demokratyczny wynikający z obawy przed zastosowaniem referendum. Jeśli coś przemawia za projektem nowego rozdziału europejskiego przygotowanego w Komisji Konstytucyjnej, to właśnie przełamanie tej logiki. Prace Komisji Konstytucyjnej powołanej w tej kadencji zasługują na wsparcie, albowiem tworzą nowe instytucje dające Polsce instrumentarium aktywnej obecności w UE. To leży u podstaw decyzji Prawa i Sprawiedliwości o wsparciu dla wypracowanego projektu. Trzy tygodnie temu uzyskał on jednoznaczne poparcie ze strony wszystkich posłów pracujących w powołanej do tego celu podkomisji. Teraz okazuje się, że premier Donald Tusk dąży do zablokowania prac Komisji Konstytucyjnej nad nowym

rozdziałem europejskim i czyni to wbrew stanowisku zajętemu przez posłów PO. Trwa jakaś dziwna przerwa w pracach Komisji, która się nie zbiera, choć właściwie można byłoby przystąpić już do głosowania nad zmianą konstytucji.

Zalety wadą dla premiera

O co chodzi w postawie Donalda Tuska? Wolno sądzić, że to, co jest zaletą wypracowanego tekstu, budzi opór lidera Platformy Obywatelskiej i szefa rządu. Po pierwsze, projekt formułuje klauzulę aktywnej obecności Polski w UE i przełamuje stanowisko, w myśl którego obecność Polski we wspólnocie jest dobra sama w sobie bez względu na wartości promowane przez UE oraz ich zgodność z polskim porządkiem konstytucyjnym. Zgodnie z wypracowaną propozycją, członkostwo Polski w UE ma służyć celom konstytucji i nie może naruszać zasad, szczególnie tych, o których mowa w preambule, kluczowym dla tożsamości państwa rozdziale I oraz w rozdziale o prawach i obowiązkach obywateli. Członkostwo w UE nie może także naruszać konstytucyjnych zasad finansów publicznych. Efektem prac Komisji Konstytucyjnej jest zatem nie pozbawiona treści deklaracja udziału w UE, lecz treściwa formuła, która pozwoli w przyszłości ocenić potencjalne zmiany prawa Unii z punktu widzenia kluczowych wartości polskiej konstytucji.

Inną zaletą projektu jest ujęcie w konstytucji procedury „kładki", czyli zmiany ustroju Unii (przede wszystkim odstępowanie od zasady jednomyślności) bez zmiany traktatów. Taka możliwość istnieje od uchwalenia traktatu lizbońskiego. Państwa mogą zdecydować się na poddanie pod głosowanie kwestii, w której obowiązywała dotąd zasada jednomyślności. „Kładkę" zastosowano w sprawie Paktu Euro Plus, co przeszło w Polsce właściwie bez echa. W przyszłości nie będzie to możliwe bez zgody udzielonej w ustawie, a więc bez współdziałania władz i bez kontroli parlamentarnej.

Postawienie na aktywny udział parlamentu w polityce europejskiej i zwiększenie praw opozycji widoczne jest w innym rozwiązaniu proponowanym przez Komisję Konstytucyjną. Chodzi o prawo wysunięcia zastrzeżeń w stosunku do projektu europejskiego aktu prawnego ze względu na jego sprzeczność z zasadą pomocniczości i prawo skargi do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. Otóż wbrew stanowisku Ministerstwa Spraw Zagranicznych Komisja przyjęła, że w przypadku gdy projekt skargi zgłasza 115 posłów, przyjmuje się, że Sejm podjął pozytywną uchwałę w tej sprawie i wdraża skargę. Podobny mechanizm działałby w Senacie z inicjatywy 25 senatorów. Jest to jeden z nielicznych w ostatnim czasie przejawów praktycznej reakcji na deficyt demokracji.

Przełamanie kompleksów

Odnoszę wrażenie, że podczas prac nad rozdziałem europejskim polskiej konstytucji przezwyciężono kompleks niższości, który blokował tworzenie instytucji, dzięki którym Polska może wyrażać własne stanowisko w kwestiach europejskich. Odrzucono myśl, wedle której rozdział europejski miał ograniczyć się do usunięcia przeszkód na drodze do strefy euro (przede wszystkim monopol emisji pieniądza przez Narodowy Bank Polski) i do deklaracji bezwarunkowego udziału w Unii. Tego typu pogląd był silnie obecny w stanowisku MSZ i nie został wzięty pod uwagę. Zwyciężyła zatem koncepcja aktywnej obecności w UE i dania Polsce narzędzi konstytucyjnych służących temu celowi. Wydaje się, że to właśnie budzi opór premiera Tuska, który nie chce uprawiać w Unii polityki ambitnej. Z tego punktu widzenia konstytucja, która do tego zachęca, jest tylko dodatkowym kłopotem. A zatem silny udział parlamentu i przez to opinii publicznej w polityce europejskiej jest czymś, co stanowi zagrożenie.

Pomimo tej blokady wciąż istnieje szansa na uchwalenie dobrych przepisów i wyposażenie państwa w nowocze-

sne narzędzia. Jeśli prace Komisji zostaną odblokowane, to można także z pożytkiem dla państwa rozwiązać problem, czy do badania konstytucyjności umów międzynarodowych dochodzić ma przed ratyfikacją czy po niej. Wbrew pozorom nie jest to kontrowersja o hermetycznym i specjalistycznym charakterze. To spór o znaczenie polskiego państwa i możliwość prowadzenia kreatywnej polityki w UE, o rangę konstytucji i autorytet Sądu Konstytucyjnego.

Kontrola przed ratyfikacją

Stanowczo bronię poglądu, że zasadą powinna być kontrola konstytucyjności umów międzynarodowych przed ratyfikacją, nie zaś po ratyfikacji, jak to jest w chwili obecnej. W każdej sytuacji kontrola prewencyjna, czyli przed wejściem w życie ustawy, ma większą wartość niż kontrola następcza. Gdy obowiązuje taki model kontroli, prymat konstytucji jest stuprocentowy, nie istnieje ryzyko obowiązywania prawa z nią sprzecznego. Na prawo nie pada cień niepewności. Znakomity francuski prawnik Georges Burdeau pisał, że kontrola prewencyjna przynosi korzyści obywatelom, „mają bowiem pewność, że prawo, które weszło w życie, nie może być podważone, wiedzą zatem, jakie są ich prawa i zobowiązania". Ta pewność szczególnie potrzebna jest w obrocie gospodarczym, prawie podatkowym i wszelkich regulacjach określających nasze zobowiązania wobec państwa. W przypadku traktatów europejskich, które oznaczają przekazanie Unii Europejskiej kompetencji państwa polskiego, kontrola prewencyjna ma sens jeszcze większy. Wyraża ona rzeczywisty prymat konstytucji, gdyż kwestia zgodności umowy międzynarodowej z konstytucją rozstrzygana jest przed ratyfikacją. To dlatego znawcy konstytucyjnych aspektów prawa europejskiego, profesorowie Cezary Mika i Krzysztof Wojtyczek, opowiadają się w swych pracach za kontrolą prewencyjną. Można wyobrazić sobie stwierdzenie niezgodności umowy z konstytucją, orzeczenie pozytywne, jak i werdykt, który oznacza konieczność nowelizacji konstytu-

cji przed ratyfikacją. W każdym razie korzyść dla państwa jest ewidentna, nie istnieje ryzyko ratyfikacji umowy niekonstytucyjnej. Ryzyko nie jest teoretyczne. W 2004 r. rząd Marka Belki przeforsował wprowadzenie europejskiego nakazu aresztowania wbrew konstytucji i dopiero po dwóch latach skorygowano ustawę zasadniczą.

W przypadku kontroli prewencyjnej państwo panuje nad swoim losem i zachowuje władztwo nad procesem kształtowania traktatów europejskich. Proces ich tworzenia odbywa się w ramach podstawowych wartości konstytucyjnych.

Znakomity przykład dają Niemcy i Francja, państwa, w których sądy konstytucyjne wypracowały bogatą doktrynę konstytucyjną w sprawach europejskich. Dzięki Charles´owi de Gaulle´owi Francja już w 1958 r. jako pierwsze państwo wspólnoty europejskiej przyjęła zasadę kontrolowania zobowiązań międzynarodowych przed ratyfikacją. Gaullistom w sposób szczególny zależało na zachowaniu prymatu konstytucji i suwerenności Republiki w pierwszej fazie integracji europejskiej. Właściwie kontrola traktatów była zasadniczym powodem, dla którego w 1958 r., wraz z powstaniem V Republiki, utworzono sąd konstytucyjny. Niemieckie i francuskie wzorce mogą zatem inspirować wszystkich, którzy opowiadają się za podmiotową i aktywną polityką Polski w UE.

Kontrola prewencyjna wzmacnia zatem realne znaczenie konstytucji. Buduje także siłę samego sądu konstytucyjnego. Orzeczenia po ratyfikacji nie mają tego kalibru. Jest to zatem wybór między sądem „kreatywnym" a sądem „asekuracyjnym", który orzeka dopiero po podjęciu decyzji politycznej i po tym, jak wszystkie instytucje krajowe i europejskie zdefiniują swoje stanowisko. A zatem kto chce autentycznego wzmocnienia Trybunału Konstytucyjnego w Polsce, musi wesprzeć ten pomysł. Trzeba też pamiętać, że sam fakt istnienia kontroli prewencyjnej podnosi jakość polityki państwowej w UE. Konstytucja i dorobek TK tworzą bowiem

kontekst negocjacyjny i mogą być używane przez negocjujących traktat z pożytkiem dla polskiego interesu. Tu znów można odwołać się do przykładu, jaki daje polityka niemiecka. Politycy tego państwa coraz częściej powołują się na stanowisko Federalnego Trybunału Konstytucyjnego. Dlaczego polityka polska nie miałaby korzystać z instrumentarium konstytucyjnego, które tak dobrze wykorzystują nasi zachodni sąsiedzi?

Chodzi zatem o to, byśmy poszli drogą tych państw, które kształtują politykę europejską i mają odwagę samodzielnego podejmowania decyzji. Jednym z jej instytucjonalnych warunków jest dobre instrumentarium konstytucyjne. Polska może z tego narzędzia skorzystać z powodzeniem, jeśli świadomie odrzuci nastawienie asekuracyjne, które blokuje możliwość uprawiania ofensywnej polityki. Potrzeba zatem, by Sejm przezwyciężył opór premiera Tuska i uchwalił przepisy sprzyjające polityce podmiotowej w Europie. Głosowanie w tej sprawie będzie jednym z najbardziej interesujących w tej kadencji.

(„Nasz Dziennik", 27.06.2011)

Reforma konstytucji albo słabość państwa

Stosunek do obecnie obowiązującej konstytucji nie jest kwestią formalną czy techniczną. Idea dobrej konstytucji wyraża wolę budowy silnego i podmiotowego państwa, które powinno przekazać następnym pokoleniom dziedzictwo historyczne. A zatem reforma konstytucji jest miarą dojrzałości państwowej. Dziwię się tym, którzy odrzucają poważną dyskusję w tej sprawie. W praktyce oznacza to zgodę na bylejakość ustrojową Polski.

Respekt dla ustawy zasadniczej nie może prowadzić do tolerancji dla jej słabości. Kapitalny przykład kultury państwowej dała przedwojenna myśl prawnicza i polityczna. Zarówno Konstytucja marcowa, jak i będąca reakcją na nią Konstytucja kwietniowa były przedmiotem krytycznych prac naukowych i publicystycznych. Powstałe w tamtym czasie teksty Edwarda Dubanowicza, Stanisława Estreichera, Władysława Leopolda Jaworskiego czy Adama Piaseckiego budzą podziw ze względu na niezależność myślenia i zdolność do wysuwania projektów reformatorskich. Na ich tle współczesny dyskurs konstytucyjny wydaje się niezwykle ubogi. Tymczasem obecnie obowiązująca konstytucja wymaga krytycznej oceny ze względu na to, że nie była wynikiem spójnej myśli ustrojowej. Przeciwnie, była aktem doraźnym czy też – inaczej mówiąc – „zapisem pierwszego etapu transformacji". Z tego też powodu niesie ze sobą wszystkie wady tego etapu: niejednoznaczną aksjologię, niechęć i nieufność do państwa, przywileje dla zawodów (patrz art. 17 konstytucji) i praktyczne zablokowanie demokracji bezpośredniej.

Konstytucja a efektywna władza

Nie może nas zadowalać sam fakt stosowania konstytucji, jakby chciał tego prezydent Bronisław Komorowski. Musimy zapytać, czy buduje ona efektywną władzę, parlamentarną kontrolę i zaufanie obywateli do państwa. Trudno na te pytania odpowiedzieć pozytywnie. W 1997 r. konstytucja przyjęła nie tyle ideę podziału władzy, co ustrój, w którym każda z władz została zablokowana. Mamy dwugłową egzekutywę podzieloną między prezydenta i premiera i „zachęconą" do przeszkadzania sobie. Polska ma słabe i nieefektywne sądownictwo znajdujące się poza państwem i parlament, który w niewielkim stopniu wypełnia funkcje kontrolne. Cechą charakterystyczną obecnego ustroju jest słabość władzy, a nawet pewien rodzaj nieufności do samego państwa. Ten ostatni czynnik przesądził o ukształtowaniu modelu sądownictwa w rękach samorządu zawodowego. Oficjalne raporty nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Przeciętny czas dochodzenia zobowiązań prywatnych od wysunięcia powództwa do egzekucji trwa ponad 800 dni. Nietrudno zatem zrozumieć źródła niefunkcjonalności polskich sądów, należących do najbardziej opieszałych w Europie. Niestety, ta sama niechęć do państwa i odpowiedzialnej władzy legła u podstaw uniezależnienia prokuratury, które w praktyce przyniosło budowę państwa w państwie. Dziś prokuratura znajduje się poza demokratyczną kontrolą ze wszystkimi tego złymi konsekwencjami.

Słabość władzy wykonawczej i sądowniczej nie oznacza silnej kontroli parlamentarnej, ta ostatnia w Polsce jest bardzo ograniczona. Dokonane w ostatnich latach nowelizacje konstytucji w wielu państwach europejskich powiększyły kontrolne uprawnienia parlamentów, umocniły jawność legislacji i zwiększyły prawa opozycji. W Niemczech i we Francji opozycja parlamentarna ma realną możliwość współokreślania polityki europejskiej. W wielu krajach powiększane są prawa kontrolne opozycji. Przykładowo, konstytucja Niemiec przewiduje tworzenie komisji śledczych na

podstawie wniosku jednej czwartej Bundestagu, co daje opozycji rzeczywiste prawa kontrolowania rządzących.

Rola Senatu

Osobnym problemem jest przemyślenie nowej formuły Senatu. Tradycja polityczna przemawia za dwuizbowością Parlamentu, nie ma jednak powodu utrzymywać Senatu jako mikrokopii Sejmu. W projekcie PiS z 2004 r. proponowaliśmy, by Senat wybierany był na innej podstawie, na kadencję niepokrywającą się z kadencją Sejmu, i miał kompetencje wyboru prezesa NIK i innych instytucji, które powinny zachować niezależność wobec rządu. W takiej formule byłby bardziej pożyteczny niż w chwili obecnej. Istnieje zatem wiele problemów konstytucyjnych zasługujących na poważną debatę.

Tłumienie obywatelskiej aktywności

W Polsce blokowanie prac nad reformą konstytucji powoduje, że powiększa się deficyt demokracji i pogarsza jakość polityki. Mam jednak coraz silniejsze wrażenie, że blokowanie realnej kontroli parlamentarnej to świadomy zamysł władz chcących unikać merytorycznej oceny. Obóz rządzący w Polsce jest zainteresowany wytłumieniem obywatelskiej aktywności i zablokowaniem funkcji kontrolnych. Niestety, konstytucja pozwala na te praktyki. Co więcej, czyni fikcję z demokracji bezpośredniej. Artykuł 4 ust. 2 konstytucji stanowi, że „Naród sprawuje władzę przez swoich obywateli albo bezpośrednio". Drugi człon tej alternatywy jest martwy, albowiem przepisy konstytucyjne skonstruowane są tak, by większość rządowa mogła w każdej chwili zablokować zarządzenie referendum. Przekonaliśmy się o tym choćby wtedy, gdy Sejm odrzucił wniosek 2 mln obywateli w sprawie referendum odnoszącego się do wieku emerytalnego.

Wbrew opiniom wielu prawników obecna konstytucja nie jest aktem nowoczesnym. W obecnym kształcie nie daje

Polsce nowoczesnego instrumentarium obecności w Unii Europejskiej. Polski parlament nie dysponuje instrumentami aktywnego udziału w UE. Trybunał Konstytucyjny ma znacznie słabszą pozycję niż sądy konstytucyjne Niemiec i Francji. Podnoszona przez PiS propozycja prewencyjnej kontroli zobowiązań międzynarodowych gwarantuje prymat konstytucji nad traktatami unijnymi i podnosi znaczenie samego Trybunału. Idea ta powinna być poważnie rozważona w pracach nad zmianą konstytucji.

Warto zauważyć, że ci sami politycy, którzy kwestionują sens zmian w konstytucji, podkreślając jej zalety, gotowi są na praktyczną degradację ustawy zasadniczej. Najpierw minister Radosław Sikorski przedstawił wizję federalizacji Europy, w której znikał prymat konstytucji wraz z niezależną polityką zagraniczną i władztwem państwa nad kształtowaniem budżetu. Przypomnijmy, że konstytucja wyklucza nadzór nad budżetem instytucji zewnętrznych wobec państwa. Teraz, po podpisaniu paktu fiskalnego, Donald Tusk próbuje obejść konstytucję i narzucić małą ratyfikację możliwą do przeprowadzenia zwykłą większością głosów. Przypomnieć trzeba, że w przypadku umów przekazujących organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu kompetencje organów władzy państwowej musi być zastosowana szczególna procedura wyrażania zgody na ratyfikację. W tym przypadku zgoda uchwalana jest w każdej z izb parlamentu większością 2/3 głosów, w obecności co najmniej połowy liczby posłów i senatorów (art. 90 konstytucji). Alternatywą dla tego trybu jest ratyfikacja w drodze referendum, która w jeszcze większym stopniu eksponuje państwowy i konsensualny charakter zgody na ratyfikację.

Polityce Donalda Tuska trzeba przeciwstawić obronę prymatu konstytucji i wizję jej zmiany na lepsze. Prawo i Sprawiedliwość jest gotowe zarówno na udział w pracach nad nową konstytucją, jak i na prace o mniejszym zakresie. W tym drugim przypadku warto myśleć o instrumentach konstytucyjnych sprzyjających podmiotowej pozycji w Unii.

Dlatego też przedstawiliśmy propozycję powołania sejmowej komisji konstytucyjnej, która w ciągu 6 miesięcy zaprezentuje raport o możliwych korektach. W każdym razie zaniechanie w tej sprawie to zgoda na słabość instytucjonalną Polski i niskie zaufanie obywateli do państwa. Konstytucja nie jest cudownym lekarstwem na wszystkie problemy polityczne i społeczne, może jednak wspomagać rozwój albo go blokować. Stanowczo trzeba wybrać pierwsze z tych rozwiązań.

(„Nasz Dziennik", 04.04.2012)

Pakiet demokratyczny przeciw monopolowi PO

Dojrzałe państwa europejskie reagują na kryzys zaufania obywateli do instytucji władzy wzmacniając mechanizmy demokratyczne. W Niemczech 1/4 posłów do Bundestagu może w każdej istotnej sprawie powołać komisję śledczą. W istocie jest to prawo w gestii opozycji. Cztery lata temu we Francji przyznano opozycji prawo do współkształtowania porządku obrad Zgromadzenia Narodowego i dano jej nowe uprawnienia kontrolne. W obu krajach wzmocniono kompetencje parlamentu w sferze polityki europejskiej. Niemcy pod tym względem stanowią przykład do naśladowania: politykę europejską kanclerz Merkel realizuje z parlamentem, a więc z udziałem opozycji. Na tym tle Polska rządzona przez PO jawi się jako kraj z coraz większym deficytem demokracji. Donald Tusk zbudował monopolistyczny system władzy, w coraz mniejszym stopniu przypominający zachodnią demokrację. To system, w którym media, administracja, aparat sprawiedliwości ochraniają grupę rządzącą, eliminując konkurencję polityczną i autentyczną kontrolę władzy.

W reakcji na system monopolu politycznego PO, który unicestwia autentyczny parlamentaryzm, PiS zgłosił „Pakiet demokratyczny", zawierający zmiany w Regulaminie Sejmu nawiązujące do dobrych wzorców obecnych w parlamentach państw europejskich. Pakiet spotkał się z nieskrywaną wrogością PO. Najpierw przeleżał 9 miesięcy w zamrażalce marszałka Sejmu. W lipcu został przyjęty przez komisję regulaminową wbrew PO, głosami wszystkich pozostałych partii. Wtedy znowu trafił do szuflady marszałek Kopacz. Miał być rozpatrzony na obecnym posiedzeniu Sejmu, po czym nagle został zdjęty z porządku obrad.

Co budzi tak intensywną wrogość PO? „Pakiet" jest konkretną reakcją na kryzys parlamentaryzmu i odpowiada na zgłaszane przez wiele środowisk obywatelskich postulaty dotyczące przejrzystości stanowienia prawa. Chodzi w nim o danie opozycji parlamentarnej rzeczywistego wpływu na prace parlamentu, powiększenie jej praw kontrolnych i – co nie mniej ważne – o rzeczywisty respekt dla inicjatyw obywatelskich. Projekt reformy obejmuje likwidację sejmowej zamrażalki poprzez ustanowienie sztywnych terminów, do których muszą być zakończone prace nad projektem ustawy, i daje klubom wpływ na kształtowanie porządku obrad. Wedle proponowanych zmian każdy klub miałby prawo wprowadzenia do porządku obrad co najmniej jednego punktu na każdym posiedzeniu, co przeciwdziałałoby zamrażaniu projektów opozycji. Z kolei zasada, w myśl której obywatelski projekt ustawy nie może być odrzucany w pierwszym czytaniu, to wyraz szacunku dla demokracji bezpośredniej i respektu dla inicjatorów. Przypomnieć wypada, że chodzi o projekty poparte przez co najmniej sto tysięcy obywateli, co w polskich warunkach wymaga wielkiej energii i zaangażowania. Proponowana regulacja oznacza konieczność podjęcia prac merytorycznych. Niestety, zbyt często obywatelskie projekty były przetrzymywane w szafach marszałka lub odrzucane w pierwszym czytaniu bez podejmowania prac merytorycznych. Taki los spotkał choćby projekt zgłoszony przez inicjatywę „Ratujmy maluchy" przeciw przymusowi szkolnemu dla sześciolatków.

„Pakiet demokratyczny" zawiera również rozwiązania mające na celu ochronę praw podatnika poprzez zrównanie procedury uchwalania ustaw podatkowych z procedurą dotyczącą kodeksów. Przyjęcie tej regulacji blokować będzie złą praktykę ekspresowego podnoszenia podatków bez refleksji i debaty – tak, jak niestety stało się to w przypadku podwyżki VAT-u. Wreszcie projekt wzmacnia udział Sejmu w polityce europejskiej, a właściwie wprowadza rozwiązania, które są już standardem w państwach europejskich.

W pierwszym rzędzie chodzi o obowiązek złożenia przez rząd informacji o stanowisku, jakie będzie zajmował na szczytach Unii Europejskiej, czyli posiedzeniach Rady Europejskiej. W chwili obecnej nie ma takiej praktyki, albo wykonywana jest w tak szczątkowym wymiarze, że trudno mówić o udziale parlamentu w kształtowaniu tej polityki. Tymczasem polityka europejska ze względu na swój wyjątkowy charakter i znaczenie powinna być prowadzona z udziałem całej opinii publicznej. Obowiązek informowania parlamentu o kluczowych decyzjach podejmowanych przez rząd to absolutne minimum. W istocie to obowiązek bardziej wobec opinii publicznej niż opozycji parlamentarnej.

Do tych postulatów należałoby dodać demokratyzację wysłuchania publicznego, które dziś również zależy od większości rządowej. Tymczasem wysłuchanie publiczne projektu ustawy z udziałem wszystkich zainteresowanych organizacji powinno być standardem w przypadku najważniejszych projektów ustaw, stosowanym na wniosek każdego klubu parlamentarnego. Przypomnieć wypada, że nie doszło do wysłuchania publicznego w przypadkach tak ważnych, jak reforma OFE, ustawa o podniesieniu wieku emerytalnego, reformy szkolnictwa wyższego czy też „uniezależnienie" prokuratury. W obecnej kadencji Sejmu przeprowadzono wysłuchanie zaledwie 3 razy na 310 zgłoszonych projektów ustaw, w poprzedniej jedynie 12 na ogromną ilość 1511 wniesionych inicjatyw!

Polska potrzebuje nowej konstytucji po to, by stać się państwem rządnym i autentycznie demokratycznym. Taka reforma nie jest możliwa w tej kadencji, póki PO pozostaje u władzy. „Pakiet demokratyczny" to istotna zmiana bez nowelizacji konstytucji. Ale nawet zmiana o skromnym rozmiarze budzi wrogość PO, która odrzuca wszelkie formy kontroli parlamentarnej. Stosunek do Pakietu to także test na samodzielność PSL: jeśli partia Janusza Piechocińskiego zagłosuje w przyszłości za rozwiązaniami proponowanymi przez PiS, monopol PO zostanie naruszony. Jeśli po raz ko-

lejny wesprze partię Tuska, umocni jej monopol kosztem zasad demokratycznych i jakości życia publicznego.

(„Gazeta Polska Codziennie", 22.11.2012)

Tak dla referendum

Deficyt demokracji to jedna z głównych wad systemu politycznego w Polsce. Nie chodzi tylko o to, że brak warunków autentycznej konkurencji politycznej a pluralizm mediów jest fikcją. W Polsce także demokracja bezpośrednia jest martwa. W konstytucji skonstruowano instytucje referendum i ludowej inicjatywy ustawodawczej tak, jakby obawiano się aktywności obywateli i ich zastosowania. Wprawdzie ustanowiono ludową inicjatywę ustawodawczą, ale nie zadbano o to, by obywatele zgłaszający projekty ustaw mieli prawo wpływu na przebieg prac w Sejmie. Fakty mówią najlepiej o kryzysie tej instytucji. W poprzedniej kadencji Sejmu tylko 2 spośród 18 obywatelskich projektów ustaw doczekały się pozytywnego rozstrzygnięcia. Wśród nich były inicjatywy tak istotne, jak zgłoszony przez komitet reprezentowany przez Jakuba Płażyńskiego projekt dotyczący repatriacji Polaków ze Wschodu. Przy tej okazji warto podkreślić, że żaden z projektów obywatelskich nie miał populistycznej treści, żaden nie narażał na destrukcję finansów publicznych. Wrogość wobec obywatelskich projektów ustaw jest coraz bardziej identyfikowana w debacie publicznej. W dyskursie publicznym wskazuje się m.in. na potrzebę wprowadzenia zakazu odrzucenia obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej w pierwszym czytaniu, przyjęcie zasady ciągłości prac nad projektem ustawy bez względu na upływ kadencji i wyposażenie pełnomocnika komitetu w uprawnienia dające mu wpływ na przebieg parlamentarnych prac nad projektem ustawy. Wypada wskazać na dorobek Instytutu Spraw Obywatelskich, który od blisko roku prowadzi kampanię na rzecz umocnienia ludowej inicjatywy ustawodawczej i przedstawia propozycje zastosowania konkret-

nych rozwiązań (*Obywatele decydują. Obywatelska inicjatywa ustawodawcza jako narządzie kształtowania postaw obywatelskich*. Instytut Spraw Obywatelskich, Łódź 2012).

Jeszcze gorzej przedstawia się kwestia referendum krajowego (art. 125 konstytucji). Konstytucja dała możliwość zarządzania referendum z inicjatywy obywateli, ale uzależniła je od większości parlamentarnej. Instytucja ta jest w praktyce martwa. Po 1997 r. nie zastosowano jej ani razu, choć w przypadku inicjatywy Solidarności w sprawie emerytur zebrano ponad 2 miliony podpisów. Przypomnieć też wypada zebranie blisko 2 milionów podpisów przeciw prywatyzacji lasów. Nie bez znaczenia jest to, że 2 miliony podpisów to znacznie więcej niż zakres wyborczego poparcia dla SLD (1 184 303), PSL (1 201 628) i Ruchu Palikota (1 439 490). Wreszcie w ostatnich dniach Stowarzyszenie Ratujmy Maluchy przedstawiło blisko milion podpisów pod wnioskiem o zarządzenie referendum w sprawie przyszłości edukacji. Znów podkreślić należy wartość merytoryczną tej inicjatywy, która dotyczy nie tylko zniesienia przymusu szkolnego w stosunku do sześciolatków, ale również wielu istotnych decyzji edukacyjnych (powrót do dawnego podziału na szkołę podstawową i średnią czy trwanie obecnej formuły 6-3-3, nauczanie historii w szkole). W istocie sens tego referendum to zatrzymanie destrukcji polskiej oświaty i całkowitego lekceważenia praw rodziców. Także w tym przypadku Donald Tusk zapowiedział blokowanie zarządzenia referendum w Sejmie.

W reakcji na zablokowanie demokracji bezpośredniej PiS zgłosił projekt zmian w konstytucji poszerzający prawa polityczne obywateli. W pierwszej kolejności chodzi o urealnienie referendum. Według projektu w przypadku zebrania miliona podpisów będzie ono zarządzane obligatoryjnie. Jesteśmy przekonani, że przy uzyskaniu tak wielkiego poparcia dla inicjatywy referendalnej respekt dla wysiłku obywateli wymaga tego, by ich prawa do podejmowania decyzji w drodze referendum były rzeczywiste i nie podle-

gały weryfikacji przez większość polityczną w Sejmie. Wyłączeniu spod referendum podlegałyby zmiany w konstytucji (realizowane w innej procedurze), budżet, polityka obronna, amnestia. Odpada zatem zarzut, że może być ono użyte w celu destrukcji państwa.

W przypadku ludowej inicjatywy ustawodawczej projekt wprowadza zakaz jej odrzucenia w I czytaniu (a więc konieczność prac merytorycznych) i równe prawa w postępowaniu legislacyjnym. Ponadto w przypadku projektów obywatelskich zakończenie kadencji Sejmu nie będzie wpływało na bieg prac ustawodawczych. Nowo wybrany Sejm będzie musiał do nich powrócić.

Ponadto projekt daje obywatelom prawo do inicjatywy konstytucyjnej. Grupa co najmniej 1 000 000 obywateli będzie mogła zgłosić projekt konstytucji i wszcząć pracę nad nią na takich samych prawach, jakimi dysponuje dziś prezydent, grupa posłów i Senat. Konstytucja jest aktem wyjątkowym, jej uchwalenie jest szczególnym wyrazem suwerenności narodu. Trudno więc zgodzić się, by z prawa do inicjowania zmian w konstytucji wykluczeni byli sami obywatele. Nowelizacja likwiduje także w tej sferze deficyt demokracji. Nie ma żadnych aksjologicznych i pragmatycznych racji, które mogłyby uzasadniać pozbawienie obywateli prawa do czynnego udziału w wykonywaniu władzy tworzenia konstytucji.

Otwarcie na demokrację bezpośrednią nie jest rozwiązaniem doraźnym. Dotyczy wyboru modelu ustrojowego w Polsce. Argumenty, które podnoszono przeciw demokracji bezpośredniej ponad dwieście lat temu – obecne choćby w pismach Monteskiusza – straciły wiele na znaczeniu. Za wyłącznością demokracji bezpośredniej miał przemawiać niski stopień wykształcenia społeczeństwa i brak technicznych możliwości komunikacji w skali dużego państwa. Pierwszy z tych argumentów podważa masowa edukacja i szeroki dostęp do szkolnictwa wyższego. Drugi – nowe technologie komunikacyjne, które pozwalają nam prowa-

dzić debatę w skali masowego społeczeństwa. Nie mniej istotne jest to, że w europejskiej myśli politycznej doszło do reorientacji w sprawie referendum. Wypada przywołać choćby André Tardieu, premiera Francji w okresie międzywojennym, dla którego referendum było środkiem bezpośredniego dialogu władzy odpowiedzialnej i społeczeństwa, podnoszącym jakość polityki państwowej.

Trzeba także mieć na uwadze konkretne polskie doświadczenie upadku jakości polityki, powiązane z deficytem demokracji. Dziś politykę polską trawi oligarchia, unikanie odpowiedzialności i brak demokratycznej kontroli. Jeśli chcemy odbudowy przywództwa i władzy odpowiedzialnej, musimy czynić to w sojuszu z aktywną opinią publiczną. Jak pokazuje przykład referendum za odwołaniem prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz, instrumenty demokracji bezpośredniej są jedynym ratunkiem przeciw władzy niekompetentnej i aroganckiej. Także w skali całego państwa referendum i ludowa inicjatywa ustawodawcza sprzyjać będzie dobrej jakości rządzenia. Opinia publiczna wyposażona w realne instrumenty stawia wyższe wymagania rządzącym.

Rządy PO to unikanie przywództwa i stawianie na odwrócenie społeczeństwa od spraw publicznych. Trzeba przeciwstawić temu odpowiedzialne przywództwo i zaufanie do opinii publicznej.

(„Gazeta Polska Codzienna", 18.06.2013)

Po pierwsze instytucje

Dobry i sprawny rząd

Możliwości dobrego rządzenia zależą w ogromnym stopniu od jakości instytucji znajdujących się w rękach tych, którym przyszło kierować państwami. Rzecz jasna historia zna liczne przypadki złych rządów w ramach dobrych instytucji. Każdy, kto śledził współczesną historię Wielkiej Brytanii, wie jak wielka różnica dzieliła gabinet Edwarda Heatha od rządów kierowanych przez Margaret Thatcher. Obydwa utworzone były przez konserwatystów, działały w tych samych warunkach ustrojowych. Rząd Heatha był rozbity wewnętrznie i uzależniony od związków zawodowych, a Thatcher narzuciła kierowanym przez siebie gabinetom dyscyplinę i spójność.

Podstawowe błędy popełnione po roku 1989 przez polskie elity polityczne wywodzące się z demokratycznej opozycji nie mogą być usprawiedliwione złym stanem instytucji państwowych. Jednak brak dobrze zorganizowanej władzy wykonawczej obniżał możliwości polityki polskiej. Dzisiejsza koalicja rządowa musi zatem posiadać plan rekonstrukcji instytucji składających się na dobry i sprawny rząd, tak, aby państwo mogło stać się sprawnym instrumentem w rękach narodu.

W roku 1989 odziedziczyliśmy właściwy modelowi radzieckiemu rząd pozbawiony podmiotowości i będący federacją resortów. Przypomnijmy, że system socjalistyczny zakładał dualizm struktur państwowych i partyjnych. Władza koncentrowała się w instancjach PZPR. Obowiązywała formuła „partia kieruje, a rząd rządzi", co czyniło z rządu instytucję o zadaniach administracyjnych. Formuła ta w największym stopniu dotyczyła polityki zagranicznej, obrony narodowej i bezpieczeństwa wewnętrznego. W tych kwe-

stiach partia podejmowała decyzje, a rząd był czynnikiem czysto wykonawczym. Podmiotowość rządu była większa w kwestiach ekonomicznych, ponieważ decyzje ustalano w specjalnych komitetach rządowych: Komisji Planowania i Komitecie Ekonomicznym Rady Ministrów.

Zwierzchność partii nad rządem gwarantowała swoista unia personalna. W latach 1952-54 stanowiska Prezesa Rady Ministrów i I sekretarza KC PZPR znajdowały się w rękach tej samej osoby. Sytuacja ta powtórzyła się w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Zawsze pozycję Prezesa RM wzmacniało członkostwo w Biurze Politycznym KC PZPR. Trzeba też wspomnieć o wspólnych posiedzeniach Prezydium RM i BP KC PZPR, które miały istotne znaczenie w podejmowaniu decyzji politycznych. Niezwykle ważna dla relacji między partią a rządem była polityka kadrowa prowadzona przez partię komunistyczną. W poszczególnych ministerstwach funkcjonowały komórki PZPR, które decydowały o obsadzie stanowisk.

Konstytucja z 1952 roku odrzucała zasadę podziału władz. Władza państwowa miała być jednolita, a z formalnokonstytucyjnego punktu widzenia za najwyższy organ władzy uznawany był Sejm. W myśl przepisów konstytucyjnych rząd stanowił podporządkowany Sejmowi „naczelny organ wykonawczo-zarządzający". Istotne było jednak praktyczne zwierzchnictwo partii komunistycznej nad rządem. W takich okolicznościach powołanie rządu przez Sejm nie było aktem stworzenia koalicji partyjnej wokół desygnowanego kierownika rządu i jego programu, bo koalicja ta istniała niezależnie od rządu, powołana wcześniej na mocy decyzji PZPR i jej sojuszników.

Stosunki partii i rządu uległy pewnej zmianie w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Pozycja ostatniego rządu przed upadkiem komunizmu, kierowanego przez Mieczysława F. Rakowskiego, charakteryzowała się większym zakresem autonomii politycznej względem PZPR. Była to jeszcze jedna konsekwencja kryzysu państwa komunistycznego

i przerzucenia odpowiedzialności za jego skutki poza partię. Osobnym problemem jest wzrost znaczenia MSW i służb specjalnych w hierarchii instytucji państwowych.

Rok 1989 dawał szansę odbudowy demokratycznego i skutecznego państwa. Zlikwidowany został dualizm partii komunistycznej i instytucji państwowych. Jednak w pierwszych latach po upadku komunizmu nie dokonano zmian ustrojowych dających skuteczną władzę wykonawczą. Jej pozycja jak i kształt całego systemu politycznego były funkcją zmieniających się kompromisów politycznych, nie zaś świadomych decyzji konstytucyjnych.

Umowy „okrągłego stołu" przyniosły hybrydowe rozwiązania: prezydenturę o szerokich kompetencjach i parlament zachowujący uprawnienia wynikające z przepisów konstytucji 1952 roku. Umowy zakładały m.in., że prezydent będzie pełnił rolę stabilizatora kontraktu politycznego i gwaranta interesów PZPR. Zapisany w ustawach model okrągłostołowy właściwie nie został jednak nigdy zrealizowany.

Wysokie zwycięstwo odniesione przez komitety obywatelskie „Solidarności" nie tylko otworzyło drogę do władzy obozowi dawnej opozycji, ale także ukształtowało pozycję ustrojową prezydenta i rządu. Gabinet Tadeusza Mazowieckiego pomimo względnie szczupłych kompetencji konstytucyjnych stał się kluczową instytucją systemu politycznego. Wolno nawet wysunąć tezę, że nie został powołany w trybie parlamentarnym. Rola parlamentu ograniczyła się do zatwierdzenia decyzji o jego utworzeniu i składu Rady Ministrów zaproponowanego przez premiera Mazowieckiego.

Gabinet Mazowieckiego stworzony został w drodze jego autorskich decyzji i ta właśnie okoliczność decydowała o jego spójności. Natomiast w parlamencie nie istniała większość działająca na rzecz rządu. Jego podstawa parlamentarna miała charakter negatywny, ponieważ kontraktowy Sejm nie dysponował pełnym mandatem i nie mógł w praktyce wyegzekwować odpowiedzialności politycznej rządu. Podobny status miał gabinet kierowany przez Jana Krzysz-

tofa Bieleckiego, z tą jednak różnicą, że faktycznie istniał on jako rząd prezydencki, powołany i nadzorowany przez Lecha Wałęsę.

Brak autentycznych reform konstytucyjnych bardzo szybko przyniósł negatywne rezultaty w postaci niestabilności i nieskuteczności władzy wykonawczej. Uchwalone wiosną 1991 roku prawo wyborcze premiowało małe partie i otworzyło drogę do rozbicia politycznego parlamentu. Sejm I kadencji wybrany w październiku 1991 roku nie był zdolny wyłonić stabilnej większości rządowej.

Zatem pierwsze dwa niekomunistyczne gabinety Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego działały w warunkach braku istnienia większości rządowej w parlamencie. Pierwszy z nich do jesieni 1990 roku dysponował poparciem parlamentu dla swoich decyzji politycznych i ustawodawczych. W okresie od jesieni 1990 roku do wyborów parlamentarnych w roku następnym Sejm blokował decyzje rządu. Gabinet Bieleckiego w rzeczywistości administrował, a nie rządził.

Rządy Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej wyłonione zostały przez parlament, ale o ich słabości decydował mniejszościowy charakter. W przypadku rządu Suchockiej dodatkowym czynnikiem osłabiającym siłę gabinetu była jego swoista „niepolityczność". Większość rządową tworzyła koalicja złożona z siedmiu partii politycznych. Przywódcy najsilniejszych partii rządzących znaleźli się poza rządem, co faktycznie doprowadziło do wytworzenia się procedury uzgadniania ważnych decyzji przez dwa gremia – Radę Ministrów i liderów partyjnych. Istotne kwestie, takie jak akceptacja budżetu czy ustawy podatkowe, rozstrzygane były w obu gremiach. Wydłużało to procedurę podejmowania decyzji. Kierownictwo rządu poszukiwało metody obejścia tej sytuacji w postaci uzyskania zgody Sejmu na wydawanie przez RM rozporządzeń z mocą ustawy. To jednak również okazało się niemożliwe ze względu na rosnący konflikt w samej koalicji rządowej.

Słabość władzy wykonawczej pogłębiała też praktyka ustrojowa prezydentury Lecha Wałęsy. Prezydentura ta nie została oparta na żadnych założeniach merytorycznych. Wałęsa odrzucił konieczną w warunkach sytemu prezydencko-parlamentarnego współpracę z reprezentowanymi w parlamencie siłami politycznymi w okresie 1991-1993, gdy nie istniały żadne merytoryczne i polityczne przeszkody dla takiej współpracy. W tamtych latach współdziałanie z większością parlamentarną mogło powstrzymać ekspansję sił postkomunistycznych i owocować istotnymi reformami o znaczeniu ustrojowym. Wałęsa jednak wybrał autonomiczny model sprawowania władzy bez współpracy z większością parlamentarną, a często w konfrontacji z nią (np. z rządem Jana Olszewskiego). Prezydent próbował także nadzorować politykę rządu poprzez ministrów kierujących tzw. resortami prezydenckimi i poprzez ingerencję w działalność administracji rządowej. W sprawowaniu władzy oparł się na jej twardych elementach – wojsku i służbach specjalnych, które uczestnicząc w konfliktach między centralnymi instytucjami państwa, uzyskały status autonomiczny. Wszystkie te okoliczności uderzały w spójność rządu i dezintegrowały jego instytucje.

Ważna zmiana zaszła wraz z uchwaleniem w roku 1993 nowej ordynacji wyborczej do Sejmu. Ordynacja ta była ostatnią decyzją parlamentu wybranego dwa lata wcześniej. Ta ostatnia decyzja Sejmu I kadencji dawała podstawy stabilizacji systemu politycznego poprzez wprowadzenie progów wyborczych i preferującego duże partie mechanizmu obliczania wyników w okręgach. Sejm wybrany we wrześniu 1993 roku według przepisów nowej ordynacji po raz pierwszy od upadku komunizmu okazał się zdolny do wytworzenia stabilnej większości rządowej. Raz jeszcze potwierdziła się teza, że elementarnym warunkiem stabilności rządów jest skoncentrowana struktura polityczna parlamentu. Praktyka polityczna ostatnich trzech lat potwierdza również tezę, że koalicja rządowa SLD-PSL zachowuje możli-

wość sprawowania władzy przez okres całej kadencji, a zmiany rządów wewnątrz niej były powodowane nadzwyczajnymi okolicznościami.

Stabilność rządów nie rozwiązała jednak problemu sprawności i spójności władzy wykonawczej. Nadal niejasne pozostają relacje między dwoma jej segmentami: prezydenckim i rządowym. Utrzymana też została „federacyjna" struktura rządu, utrudniająca prowadzenie spójnej polityki.

Mała Konstytucja nie usunęła możliwości występowania konfliktu ustrojowego między prezydentem a rządem. Pole sporu znajdowało się na obszarze instytucji bezpieczeństwa narodowego, a niejasny status resortów prezydenckich przyczyniał się do utrzymywania stanu konfliktu. III RP pozostanie na długi czas państwem o ustroju prezydencko-parlamentarnym. Fale „parlamentarne" i „prezydenckie" są niejako wpisane w logikę tego ustroju. Nie można jednak dopuścić do tego, by konstytucja sprzyjała antagonizmowi między dwoma członami władzy wykonawczej.

Poważną wadą ustrojową jest również brak instytucji centrum rządu. Rząd pozostaje federacją ministerstw, nie zaś instytucją prowadzącą wspólną politykę. Premier nie dysponuje prawnymi i instytucjonalnymi możliwościami narzucenia jednolitej polityki całego gabinetu. Taka „federacyjna" struktura rządu przynosi złe skutki wszędzie tam, gdzie konieczna jest koordynacja działań kilku resortów. Dobrym przykładem jest rozległa sfera stosunków międzynarodowych. Mieliśmy tu do czynienia z sytuacją podejmowania decyzji rządowych poza Ministerstwem Spraw Zagranicznych przez konkurujące z nim urzędy – Ministerstwo Obrony Narodowej i Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. W listopadzie 1994 roku, a więc w okresie, w którym funkcję premiera sprawował Waldemar Pawlak, tekst umowy o współpracy wojskowej z Rosją przygotowywany był przez MON i MWGzZ, bez wiedzy MSZ. Kluczowe dla Polski posunięcie tworzone było zatem w oderwaniu od całokształtu polityki rządu. Dezintegracja rządu ułatwiała

także zjawisko „prywatyzacji" państwa, tzn. budowania instytucji takich jak Korporacja Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych czy Agencja Rozwoju Gospodarczego, które w praktyce służyły okrężnemu finansowaniu partii rządzących.

Istotnym ograniczeniem władzy premiera jest jego stosunkowo niewielki udział w kształtowaniu projektu ustawy budżetowej. Głównym autorem budżetu pozostaje nadal minister finansów, a właściwie biurokracja tego ministerstwa. Budżet opracowywany jest poza premierem. Kancelaria Premiera nie dysponuje biurem finansowym i nie nadzoruje prac nad budżetem, i dopiero w ostatniej fazie zostaje on przedłożony Radzie Ministrów. W tym momencie zaczyna się dyskusja wewnątrz rządu o korektach do projektu opracowanego przez Ministerstwo Finansów. Na brak spójności rządu w pracach budżetowych wskazywał Hubert Izdebski: „cele i priorytety określa aparat podległy Ministrowi Finansów, który następnie w dużej mierze samodzielnie ustala projekt, bez wystarczających uzgodnień, a w ich braku – arbitrażu. Na Radę Ministrów projekt trafia tak późno, że jest ona zmuszona przyjąć go w proponowanej wersji, najwyżej z nieznacznymi korektami. W rezultacie możliwe jest to, co zdarzyło się nie po raz pierwszy w końcu 1992 roku, że niektórzy członkowie rządu kwestionują nawet przed Sejmem, określone postanowienia ustawy budżetowej – co nie powinno mieć miejsca przy prawidłowej procedurze"[1]. Trzeba dodać, że rozbicie rządu w sprawach budżetu miało miejsce także po roku 1993, a zatem w okolicznościach, gdy rząd koalicji PSL i SLD posiadał pewną i stabilną większość. Zatem budżet i – szerzej – polityka finansowa państwa nadal będą funkcją interesów silnych resortów. Nie obowiązują w praktyce żadne priorytetowe wydat-

[1] *Materiały reformy administracji publicznej. Funkcjonowanie i aparat Rady Ministrów i Prezesa RM*, red. H. Izdebski, Warszawa 1993, s. 18.

ki i zadania państwa. Mamy zatem do czynienia z sytuacją dezintegracji rządu tam, gdzie chodzi o finansowy wymiar polityki państwa.

W takich okolicznościach nie może powstać, jak formułuje to Michał Kulesza, administracja na rzecz polityki państwowej: „Nie ma właściwie reguły, jakie funkcje mają spełniać ministerstwa, a jakie urzędy i instytucje administracji centralnej. W rezultacie ministerstwa w większości pełnią funkcje wykonawcze administracji publicznej, a obsługi administracyjnej wobec polityki państwowej, którą mają prowadzić ministrowie i rząd, nikt nie sprawuje. Nie ma w Polsce wykwalifikowanego aparatu administracyjnego polityki państwowej".

Nie zmieniła tej sytuacji reforma centrum rządu przeprowadzona przez koalicję SLD-PSL. Polegała ona na reorganizacji istniejących resortów w bardziej sterowaną strukturę. Tymczasem ominięto podstawowe zadanie, jakim jest dostosowanie całego centrum państwa do jego nowych zadań i nowych wyzwań. Utrzymano podstawowe wady konstrukcji centrum państwa.

Przede wszystkim reforma w wykonaniu lewicy nie przywróciła silnego centrum rządu. Premier nie uzyskał prawnych i organizacyjnych możliwości narzucania spójnej polityki całej RM. Wśród szczegółowych kompetencji przysługujących mu w ramach koordynowania i kontrolowania prac członków RM nie ma takich, które dają możliwość egzekwowania dyscypliny politycznej. Zasada, że premier ustala w drodze rozporządzenia zakres działania ministrów „niewymienionych w konstytucji", w rzeczywistości okazuje się martwa, skoro kompetencje kluczowych ministrów określone są sztywno przez konstytucję i same ustawy uchwalone w ramach reformy. Również tryb podejmowania decyzji przez rząd wyznacza premierowi rolę osoby kierującej pracami, pierwszego pośród równych. Ustawa o organizacji i trybie prac Rady Ministrów oraz o zakresie działania ministrów w art. 21 stanowi, że Rada Ministrów „podejmuje

rozstrzygnięcia w drodze uzgodnienia". W przypadku braku consensusu uruchamiana jest procedura głosowania w trybie większości zwykłej. Premier może być przegłosowany, ponieważ nie przysługuje mu prawo veta w stosunku do decyzji ministrów.

Premier pozbawiony jest możliwości decydowania o pracach nad projektem budżetu. Lewica zachowała to, co można nazwać „dyktaturą Ministerstwa Finansów". Zachowanie tej „dyktatury" pociąga za sobą utrzymanie centralizmu i biurokracji resortowej. Dziś w gestii administracji centralnej znajduje się 90% wydatków publicznych. Centralizm finansów publicznych prowadzący do marnotrawstwa jest na dłuższą metę obciążeniem dla państwa i rządu.

Mamy zatem do czynienia z sytuacją, w której prawo wyborcze sprzyja stabilności rządu, ale brak jest konstytucyjnych i instytucjonalnych przesłanek jego spójności i sprawności. Zadaniem obozu skupionego wokół AWS i UW jest dokonanie autentycznej reformy władzy wykonawczej, tak, aby umożliwiała ona pożyteczne rządzenie. Reforma powinna doprowadzić do:

a) Wyposażenia premiera w kompetencje rzeczywistego szefa egzekutywy i odbudowy centrum rządu. Premier powinien mieć prawo do narzucania jednolitej linii polityki swojego gabinetu. Polityka budżetowa państwa musi być dziełem całego rządu. Projekt budżetu powinien być funkcją przyjętych priorytetów, a premier powinien poprzez podległe mu biuro budżetowe nadzorować szczegółowe międzyresortowe uzgodnienia dotyczące wydatków budżetowych. Po przesłaniu projektu budżetu do parlamentu, budżet musi być broniony solidarnie przez wszystkich ministrów. Następstwem tej zmiany będzie zniesienie „dyktatury Ministerstwa Finansów", która narzuca premierowi i Radzie Ministrów stanowisko w sprawach polityki finansowej państwa.

b) Decentralizacji państwa i ograniczenia rządowej administracji specjalnej, która znajduje się poza kontrolą wo-

jewody – reprezentanta rządu w terenie. Złamanie centralizmu odciąży rząd i podległą mu administrację od zadań, które powinien realizować samorząd terytorialny. Zarazem umożliwi mu skoncentrowanie się na wykonywaniu podstawowych funkcji państwa, takich jak wymiar sprawiedliwości, bezpieczeństwo wewnętrzne, polityka zagraniczna i obronna.

Doświadczenia ustrojowe Czech i Węgier przemawiają za dokonaniem pełnej reformy. Praktyka ustrojowa wskazuje na to, że systemy polityczne naszych południowych partnerów okazały się bardziej stabilne i skuteczne. Wspólnym elementem czeskich i węgierskich rozwiązań ustrojowych jest prawo wyborcze sprzyjające formowaniu stabilnej większości i wybór demokracji parlamentarnej z jednolitą egzekutywą, co rzecz jasna eliminuje zachodzące w Polsce konflikty między segmentami władzy wykonawczej. Poza tym zachodzą jednak poważne różnice. W Republice Czeskiej siła rządu zależy w ogromnym stopniu od osobistej pozycji premiera Václava Klausa, a więc od okoliczności, która z natury rzeczy może ulec zmianie. Z punktu widzenia konstytucji premier jest jedynie przewodniczącym kolegialnie działającego rządu. Czeska demokracja parlamentarna nie jest wyposażona w racjonalizujące ją mechanizmy, takie jak konstruktywne wotum nieufności. Rząd pozostaje także w wymiarze swej wewnętrznej organizacji federacją resortów. Póki koalicja centroprawicowa dysponowała poparciem stabilnej większości parlamentarnej, wydawało się, że brak konstytucyjnych i instytucjonalnych czynników siły rządu nie ma większego znaczenia. Po ostatnich wyborach, gdy rząd Klausa ma charakter mniejszościowy, nieobecność tych czynników przeszkadza w rządzeniu.

Inaczej przedstawia się sytuacja rządu na Węgrzech. System polityczny Węgier przyjął rozwiązania bliskie modelowi niemieckiemu. Konstruktywne wotum nieufności stabilizuje rząd i wzmacnia pozycję premiera. Wielkie znacznie miała także przeprowadzona z inicjatywy samego Józsefa

Antalla reforma centrum rządu na wzór kanclerski. Na Węgrzech zatem konstytucja i nowe instytucje umacniają siłę władzy wykonawczej tak, że może ona sprawnie pracować bez względu na rozkład sił politycznych. Powinniśmy pójść właśnie tą drogą.

(„Biuletyn Grupy Windsor", Warszawa 1997)

Prawdziwa batalia o kształt państwa

Gdyby zapytano uważnych obserwatorów, jakie jest największe osiągnięcie odrodzonego po 1989 roku państwa polskiego, większość z nich wskazałaby zapewne działalność samorządów terytorialnych. Gdyby to samo pytanie postawiono w sondażu opinii publicznej, odpowiedź taka zyskałaby niewątpliwie poparcie niewielu osób. Jeden z najważniejszych składników Rzeczypospolitej pozostaje nadal niedoceniany. Jest to – dodajmy – składnik zbudowany od początku do końca zgodnie z ustrojową logiką nowego państwa, nienoszący na sobie zbyt wielu znamion instytucji PRL. Jest to składnik angażujący w swoje funkcjonowanie kilkadziesiąt tysięcy polityków lokalnych – radnych i członków zarządów – oraz znacznie szerszą grupę urzędników i pracowników komunalnych.

Duże kampanie wyborcze – parlamentarne czy prezydenckie – toczą się zwykle pod dyktando krytycznych opinii o gospodarce, systemie władzy, czy o społecznych konsekwencjach wprowadzanych zmian. Ta negatywna strona kampanii przesłania niezwykle ważny element programu każdej z walczących o poparcie stron: wskazanie tego, co należy chronić i wzmacniać. Przykładowo: koalicja SLD-PSL chroni ukształtowany w minionych latach system powiązań nieformalnych zwany kapitalizmem politycznym, wspiera anachroniczny model szkolnictwa czy nadmiernie obciążający gospodarkę i budżety rodzinne system podatkowy.

Polska prawica powinna – u progu kampanii prezydenckiej – sformułować nie tylko wyraźną, krytyczną ocenę rządów Pawlaka i Oleksego, ale także wskazać zjawiska pozytywne i godne politycznego wsparcia. Jestem rzecznikiem poglądu, że wskazanie samorządu terytorialnego jako naj-

większego sukcesu minionych lat, a zarazem największej szansy na dalszą przebudowę i realną dekomunizację struktur państwa będzie mocnym atutem programowym prawicy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że

wiele negatywnych zjawisk,

o których mówimy od kilku lat, można zwalczyć tylko po przeprowadzeniu skutecznej decentralizacji. Przykładowo: wprowadzenie samorządowych powiatów odbierze władzy centralnej sporą część kompetencji i środków finansowych i zapewni skuteczniejsze wykorzystanie publicznych środków przeznaczonych na politykę społeczną, funkcjonowanie sektora usług publicznych.

Takiej propozycji programowej zarzuca się niekiedy to, że jej beneficjentami będą wszystkie ugrupowania polityczne uczestniczące we władzach lokalnych. Zgoda, ale reforma powiatowa – czy, szerzej, reforma administracji publicznej przekazująca kompetencje centrum władzom lokalnym – będzie zbliżać model państwa do ustrojowej wizji polskiej prawicy.

Jest to wizja odwołująca się do formułowanej przez nauczanie społeczne Kościoła zasady pomocniczości, która każe lokować maksimum kompetencji na jak najniższym poziomie. Jest to wizja czerpiąca z programowego dorobku zachodniego konserwatyzmu, prowadzącego dziś walkę z rozbudowaną do granic państwową biurokracją. Jest to wreszcie wizja radykalnego zerwania z dziedzictwem PRL, państwa, w którym samorząd terytorialny w jego dzisiejszej postaci byłby największą herezją.

Nie będę zatem zaniepokojony, gdy program przekazywania kompetencji wielkim miastom czy tworzenia powiatów zostanie poparty przez burmistrza z SLD czy wójta z PSL. Cała bowiem grupa polityków samorządowych jest w pewnym sensie programowym

sojusznikiem prawicy

w jej dążeniu do przebudowy ustroju Rzeczypospolitej. Odnoszą się oni nieufnie do prawicy rozumianej jako obóz polityczny, krytycznie oceniając jej nieskuteczność i brak szerokiego, odpowiadającego potrzebom Polski programu. Ta nieufność może jednak zostać przezwyciężona.

Po pierwsze dlatego, że negatywny stosunek obu rządów lewicowej koalicji do reformy powiatowej pozbawił elity samorządowe wszelkich złudzeń.

Po drugie dlatego, że właśnie w wyborach samorządowych prawica potrafiła zachować się racjonalnie i stworzyła koalicje dające jej pozycję jednej z trzech głównych sił politycznych w miastach.

Po trzecie dlatego, że nie jest ona zainteresowana politycznie utrzymaniem dotychczasowej dominacji władz centralnych nad lokalnymi. Przeciwnie – uważa centralizm za źródło wielu patologii w polskim życiu publicznym.

Sojusz elity samorządowej z polską prawicą ma zatem długofalową perspektywę: przynajmniej do czasu, kiedy obecna proporcja podziału władzy między centrum a wspólnoty lokalne wynosząca 9:1 nie zmieni się na 7:3 czy 6:4.

Jeszcze półtora roku temu liczni politycy samorządowi upatrywali swego sojusznika przede wszystkim w Unii Demokratycznej, a potem w Unii Wolności. Działo się to w sytuacji, gdy Unia jako jedyna wprowadziła sporą liczbę posłów do parlamentu, zaś los prawicy pozostawał niepewny. Dziś jest jasne, że

Unia sama nie jest w stanie obronić

losów reformy powiatowej ani nawet znacznie skromniejszego programu pilotażowego. Co więcej, jasne jest, że nie potrafiła stworzyć skutecznego sojuszu parlamentarnego w tej sprawie.

Dziś warunkiem trwałego sojuszu prawicy i środowisk samorządowych jest również elementarna skuteczność poli-

tyczna. Poparcie w wyborach prezydenckich Adama Strzembosza, jedynego silnego kandydata o jednoznacznej sympatii dla programu decentralizacji, jest ważnym atutem. Jeżeli jednak liderzy samorządowi zachowają się wobec tej kandydatury biernie, to atut ten nie zostanie wykorzystany.

Drugim istotnym krokiem powinno być stworzenie forum wymiany poglądów elity samorządowej i czołówki politycznej polskiej prawicy. Z własnego doświadczenia wiem, że diagnoza sytuacji politycznej, a zwłaszcza stanu państwa i zagrożeń dla interesu publicznego, jest w większości wspólna i stanowi dobry punkt wyjścia dla wystąpień publicznych w sprawach o charakterze ustrojowym, nie ograniczających się do zagadnienia władzy lokalnej.

Kadry samorządowe – zwłaszcza te z doświadczeniem z pierwszej kadencji – są bowiem dziś najlepiej przygotowanym do sprawowania władzy segmentem elit politycznych. Mają dobrze wykształcone wyczucie realiów i potrzeb rozmaitych grup społecznych, a zarazem poczucie odpowiedzialności, którego czasami brakuje na szczeblu ogólnopolskim.

Od tego, czy siły polityczne działające na szczeblu centralnym będą w stanie dostrzec i spożytkować ten potencjał, zależy zatem nie tylko los ich samych, ale także w znacznym stopniu kształt polskiej demokracji.

Po roku 1989 funkcjonował mit ścierania się nowych, nieprzygotowanych do rządzenia elit, z fachowcami dawnego systemu. Dziś naprzeciwko peerelowskich fachowców z czerwonymi i zielonymi legitymacjami stoi spora rzesza ludzi, którzy mają już doświadczenie w sprawowaniu władzy, wśród nich szczególnie liczna grupa o doświadczeniu samorządowym.

Jeśli dzisiejsza opozycja powróci do władzy, to w swoim własnym interesie powinna utworzyć rząd oparty nie tylko na rachunku wpływów poszczególnych partii, ale także uwzględniający doświadczenie elit samorządowych.

Pięć lat temu – w maju 1990 roku – Polska nie zmieniła swego oblicza, ale uzyskała w postaci samorządu lokalnego poważny fundament dla demokracji i siły instytucji państwowych. Podczas niedawnego konfliktu między prezydentem i parlamentem na lewicy odezwało się wielu zwolenników i obrońców demokracji. Trudno uznać to za przywiązanie do zasad, skoro rządząca lewica ponosi odpowiedzialność za naruszanie elementarnych praw samorządów terytorialnych.

Podważanie budżetów gminnych (nałożenie na gminy obowiązku wypłaty dodatków mieszkaniowych bez zabezpieczenia odpowiednich środków pieniężnych) i niszczenie autorytetu władz lokalnych wyrządza szkodę nie mniejszą niż ostre konflikty między centralnymi instytucjami władzy. Stabilne demokracje opierają się na ciałach pośredniczących, w ogromnej mierze na samorządach terytorialnych. To one są źrenicą demokracji i fundamentem nowego państwa. Kto nie wierzy, niech przeanalizuje modele ustrojowe państw powstałych na gruzach ZSRR.

(„Rzeczpospolita”, 02.05.1995)

Nie wolno zgodzić się na kompromis

Program reformy państwa przedstawiony przez rząd premiera Jerzego Buzka może przynieść wielką i pożyteczną zmianę ustrojową. Jej główny sens nie polega na obronie praw społeczności lokalnych czy też technicznych przesunięciach kompetencyjnych, ale na fakcie, że dobra organizacja państwa będzie zasadniczym atutem pomnażającym nasz potencjał narodowy.

Decentralizacja państwa może zmienić Polskę w stopniu większym, niż się tego wszyscy spodziewamy. Piszę: może – ponieważ powodzenie będzie zależało od woli budowy nowego państwa i determinacji rządzącej koalicji. Zmiana ustrojowa będzie możliwa wtedy, gdy w praktyce zostanie zakwestionowany centralistyczny model ustrojowy. Polska jest krajem scentralizowanym, w rękach administracji rządowej znajdują się kompetencje o charakterze lokalnym i blisko dziewiąta część środków publicznych.

Przeciw marnotrawstwu

Stałym elementem ustroju jest również dezintegracja państwa, to znaczy hegemonistyczna pozycja specjalnych administracji będących praktycznie poza kontrolą premiera i wojewodów. W sytuacjach trudnych, takich jak klęska żywiołowa, brak silnego samorządu i dużych województw przekreśla możliwość skutecznej reakcji państwa w skali regionalnej. W zwykłym czasie centralizm owocuje słabością państwa i marnotrawstwem. Rekordy w tym względzie bije administracja specjalna – z trzykrotnym wzrostem zatrudnienia w ciągu ostatnich kilku lat i wydłużonym obiegiem pieniądza publicznego. Trzeba też powiedzieć, że cen-

tralizm umacnia inne wady polskiego życia publicznego: korupcję, kapitalizm polityczny, klientowski model relacji państwo-obywatel. Zjawiska te nie byłyby tak powszechne, gdyby nie możliwość niekontrolowanego dysponowania przez biurokrację rządową tak wielką częścią wydatków publicznych.

Interes Polski, a nie Unii

Reforma ma usunąć wewnętrzne wady ustroju naszego kraju. Wbrew uproszczonym opiniom nie jest ona pochodną uczestnictwa Polski w Unii Europejskiej. Powiat czy region nie stanowią jakiegoś europejskiego kanonu. Wśród krajów UE jest na przykład Francja, której profil ustrojowy ma zdecydowanie centralistyczne oblicze. To w interesie Polski, a nie Unii Europejskiej leży przeprowadzenie zmian ustrojowych tworzących skuteczne i oszczędne państwo. Taki jest właśnie prawdziwy sens odbudowy samorządowych powiatów i dużych województw.

Aby to się powiodło, zmiana ustrojowa musi być pełna. Nie wolno zgodzić się na kompromis polityczny utrzymujący przywileje administracyjne dawnych województw czy też pozostawienie uprzywilejowanej pozycji niektórych administracji specjalnych. Z tego punktu widzenia zaniepokojenie budzi opóźnienie prac nad nową ustawą kompetencyjną i zawarta w projekcie ustawy o administracji rządowej w województwie możliwość powoływania wicewojewodów o terytorialnym, to znaczy pokrywającym się z obszarem likwidowanych województw, zakresie kompetencji.

Wreszcie wypada przyznać rację tym, którzy żądają szybkich decyzji w sprawach finansowych, ponieważ w ostatecznym rachunku to prawnofinansowe regulacje będą wyznaczały pozycję nowych instytucji. Wszystkie te okoliczności skłaniają jednak do przyspieszenia prac parlamentarnych nad odbudową powiatów i silnych województw, nie zaś do ich wstrzymywania. W wypadku reform o ustrojowym znaczeniu parlament z reguły odgrywa rolę czynną i

ma możliwość skorygowania błędów popełnionych przez rząd. Wypada zauważyć, że odbudowa gmin w roku 1990 odbyła się z inicjatywy Senatu I kadencji, a presja parlamentu stanowiła w tej sprawie czynnik ważniejszy niż stanowisko rządu Mazowieckiego. Nic nie stoi na przeszkodzie, by obecny parlament ponownie stał się głównym aktorem zmian ustrojowych.

Wbrew opiniom oponentów reformy nie ma sprzeczności między decentralizacją a siłą państwa. Ci, którzy widzą w projektowanych zmianach spełnienie głoszonych przed kilkunastu laty koncepcji Samorządnej Rzeczypospolitej, popełniają błąd o fundamentalnym znaczeniu. Wtedy chodziło o samorządową kontrolę nad instytucjami obcego państwa. Aktualna reforma ma przynieść nowe państwo z silnym samorządem i ze spójnym centrum. Decentralizacja ma odchudzić centrum ze zbędnych zadań i funkcji oraz zintegrować władzę wykonawczą wokół premiera.

Rozbite centrum, słaby samorząd

Należę do tych polityków, którzy nie bagatelizują wysuwanych przez grupę posłów reprezentowanych przez Jana Łopuszańskiego zarzutów podnoszących kwestię osłabienia jedności organizmu państwowego. Nie mogę zgodzić się jednak z zawartą w ich argumentacji sugestią, że państwo polskie w obecnym kształcie jest silne i spójne. Słabość ustrojowa Polski ma podwójny charakter, mamy bowiem i słaby samorząd, i rozbite między resorty centrum państwa. Rząd pozostaje federacją ministerstw, nie jest zaś instytucją prowadzącą wspólną politykę. Premier nie dysponuje prawnymi i instytucjonalnymi możliwościami narzucania jednolitej polityki całemu gabinetowi. Istotnym ograniczeniem władzy premiera jest jego niewielki udział w kształtowaniu projektu ustawy budżetowej. Federacyjna struktura rządu przynosi fatalne skutki wszędzie tam, gdzie jest konieczna koordynacja działań kilku resortów. Dotyczy to szczególnie obszaru bezpieczeństwa narodowego, w którym mamy do

czynienia ze stałą konkurencją między poszczególnymi ośrodkami władzy wewnątrz samego rządu. Resortowy charakter rządu jest także źródłem słabości wojewodów i dezintegracji państwa na szczeblu terenowym.

A zatem nie ma sprzeczności między decentralizacją a spójnością państwa. Wręcz przeciwnie, zerwanie z centralizmem stanowi warunek odbudowy silnej władzy państwowej na terytorialnej podstawie. Dopiero przełamanie dominacji resortów pozwoli rządowi odzyskać możliwość podejmowania i kontrolowania decyzji, a wojewodzie stać się rzeczywistym reprezentantem rządu w terenie.

Utrzymywanie ustrojowego *status quo* wystawia nas na niebezpieczeństwo powiększania się cywilizacyjnego dystansu między Polską a naszymi zachodnimi sąsiadami. Jeśli wskazujemy na problem dysproporcji między potencjałami Dolnego Śląska, Pomorza Zachodniego i wschodnich landów Niemiec, to trzeba wyraźnie stwierdzić, że jej zmniejszenie okaże się niemożliwe bez radykalnych zmian ustrojowych. Także i z tego względu potrzebujemy nowego, zreformowanego państwa.

(„Rzeczpospolita", 19.02.1998)

Sejm w państwie prawników, czyli jak nie wylać dziecka z kąpielą

W wypowiedziach przedstawicieli świata prawniczego głoszony jest ostatnio pogląd, że warunkiem podniesienia jakości naszego prawa jest ograniczenie wpływu parlamentu i polityków na przygotowanie projektów aktów prawnych. Poglądy te, choć wynikają z troski prawników o prawo, zwracają się przeciwko demokratycznemu państwu prawa i mają niewiele wspólnego z prawdziwymi źródłami kryzysu prawa w Polsce.

W czasie zorganizowanej w ubiegłym roku pod auspicjami Trybunału Konstytucyjnego konferencji poświęconej tworzeniu prawa, parlament został postawiony w roli głównego winowajcy odpowiedzialnego za wady porządku prawnego w Polsce. Proponowany przez uczestników konferencji plan sanacji polega na powołaniu silnego Centrum Legislacyjnego Rządu i ograniczeniu wpływu Sejmu i Senatu na kształt uchwalanych ustaw. Szczególnym ograniczeniom powinno podlegać prawo do zgłaszania zmian i poprawek w trakcie procesu legislacyjnego.

Narzekania na jakość prawa w Polsce stały się już rytuałem spotkań prawników i innych „profesjonalistów" na co dzień stykających się z prawem. Brzmią one jak echo podobnych skarg z okresu II Rzeczypospolitej, skarg, w których prym wiedli konserwatyści. W latach dwudziestych parlament również był na cenzurowanym, a brak prawniczego przygotowania posłów, niedouczenie rządowych legislatorów i poddawanie się presji wyborców budziły zgrozę u profesorów prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy w ciągle dość wpływowym obozie konserwatywnym odgry-

wali pierwszoplanową rolę. Bez wątpienia i wówczas, i dziś podstawy do narzekania były aż nazbyt oczywiste.

Różnica między ówczesnymi i dzisiejszymi pomysłami na zaradzenie kryzysowi jakości prawa polega jednak na tym, że zgłaszane dziś propozycje nie odnoszą się do rzeczywistych przyczyn kryzysu, próbują za to tylnymi drzwiami wprowadzić do naszego ustroju zasady, które w otwartej dyskusji nie ostałyby się ani minuty.

Parlament nowej Rzeczypospolitej

Po roku 1989 parlament był podstawowym czynnikiem odradzania się rządów prawa i budowy nowych instytucji państwowych. Z perspektywy dziesięciu lat od chwili odzyskania niepodległości dorobek ustawodawczy parlamentu zasługuje w tym względzie na bardzo pozytywną ocenę. Ocenę tym lepszą, że w przeciwieństwie do Sejmu II Rzeczypospolitej obecny Sejm nie ma wsparcia merytorycznego porównywalnego choćby do Komisji Kodyfikacyjnej działającej w latach dwudziestych i trzydziestych.

Dziełem parlamentu zasługującym na docenienie wbrew opinii krytyków, są nie tylko akty prawne uchwalone z inicjatywy rządu, ale również ustawy powstałe w ławach poselskich. Wystarczy tu wymienić ustawy kładące fundamenty pod reformę samorządową roku 1990, czy ordynację wyborczą do Sejmu i Senatu z roku 1993, a zatem akty prawne o ustrojowym znaczeniu. Również Sejm III kadencji ma na swoim koncie wartościowe ustawy przygotowane z inicjatywy posłów: ordynację wyborczą do rad gmin, rad powiatów i sejmików wojewódzkich, nowelizację ustawy o NIK, drugą ustawę lustracyjną (projekt senacki), ustawę o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy w latach 1944-89 sprzeniewierzyli się zasadzie niezawisłości sędziowskiej, ustawę o sejmowej komisji śledczej oraz ustawę o wykonywaniu inicjatywy ustawodawczej przez obywateli. Te dwie ostatnie ustawy mają duże znaczenie ustrojowe i uchwalone

zostały na długo przed rozpoczęciem rządowych prac nad dostosowaniem prawa do nowej konstytucji.

Wnikliwy analityk z łatwością odnajdzie błędy, luki i sprzeczności w prawie uchwalonym przez Sejm. Nie sposób jednak zgodzić się z poglądem, że skuteczna ochrona przed błędami polega na ograniczeniu wpływu parlamentu w dziedzinie ustawodawstwa. Parlamentowi stawia się zresztą w tym względzie zarzuty wzajemnie sprzeczne. Z jednej strony czyni się go odpowiedzialnym za częste zmiany w prawie, z drugiej strony wzywa do rychłego usunięcia wad. Dobrym przykładem tych sprzecznych oczekiwań jest Raport NIK za rok 1998. W części dotyczącej stanu prawa w Polsce NIK wskazuje na „wielość zmian przepisów ustawowych", ten sam dokument wzywa jednak do prac nad zmianami w 17 ustawach, m.in. o zamówieniach publicznych, radiofonii i telewizji, zagospodarowaniu przestrzennym, fundacjach, archiwach itd.

Belka w oku rządu

Dorobku prawnego parlamentu trzeba też bronić w perspektywie błędów popełnianych przez władzę wykonawczą. Prawotwórstwo rządowe jest najsłabszą częścią systemu tworzenia prawa w Polsce. Rzecz nie dotyczy wyłącznie błędów zawartych w przedkładanych Sejmowi projektach ustaw. Zasadniczym obszarem kryzysu prawa w Polsce są bowiem podstawowe akty prawne o znaczeniu wykonawczym, z natury rzeczy znajdujące się poza wpływem Sejmu i Senatu. Pogląd taki wielokrotnie prezentowany był w corocznych „Informacjach Prezesa Trybunału Konstytucyjnego". Trybunał zwracał uwagę na słabości aktów wykonawczych i jeszcze przed wejściem w życie nowej konstytucji, jasno regulującej te kwestie, żądał od organów wydających

rozporządzenia spełnienia wymogu działania na podstawie i w ramach upoważnienia ustawowego[1].

Również wspomniany Raport NIK w odniesieniu do aktów wykonawczych mówi o „nieopracowywaniu projektów podstawowych przepisów wykonawczych do ustawy wraz z ustawą określającą obowiązek ich wydania, nierealizowaniu lub nieterminowej realizacji obligatoryjnych upoważnień ustawowych, przekraczaniu tych upoważnień, niespójności przepisów, wydawaniu przepisów bez podstawy prawnej"[2].

Krytykę rządowego prawotwórstwa przeprowadził także autor koncepcji powołania Rządowego Centrum Legislacji, profesor Andrzej Zoll. Mówi on o poważnych różnicach w siłach legislatorskich poszczególnych resortów i o tym, że istnieją resorty, w których nie ma odpowiednio przygotowanych legislatorów. W tekście promującym Rządowe Centrum Legislacji stwierdza, że „poziom poszczególnych aktów przedstawionych Radzie Legislacyjnej jest na bardzo niskim poziomie i wymaga właściwie powtarzania prac nad przygotowaniem projektu (...) Przedstawiane projekty opracowane przez poszczególne resorty wykazują zasadnicze rozbieżności dotyczące tak techniki legislacyjnej jak i regulacji zbliżonych, czy nawet identycznych zagadnień merytorycznych, wspólnych dla kilku aktów prawnych"[3].

Pierwszym zadaniem w dziele podniesienia jakości prawa stanowionego w Polsce musi być zatem naprawa służb legislacyjnych znajdujących się w dyspozycji władzy wykonawczej. Może ona polepszyć zarówno poziom rządo-

---

[1] Por. Informacja Prezesa TK dotycząca istotnych problemów wynikających z działalności i orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego w roku 1997.

[2] *Sprawozdanie Roczne NIK za rok 1998.*

[3] A. Zoll, *Rządowe Centrum Legislacji.* Referat wygłoszony podczas konferencji *Tworzenie prawa w Polsce: tradycja i współczesność* zorganizowanej przez Trybunał Konstytucyjny w 80. rocznicę powstania Komisji Kodyfikacyjnej.

wych projektów ustaw, jak i aktów prawnych o znaczeniu wykonawczym. Wszelkie działania na rzecz poprawy jakości prac legislacyjnych rządu i ich koordynacji zasługują więc na gorące poparcie.

Plan naprawy rządowych służb legislacyjnych zawarty jest w projekcie powołania Centrum Legislacji, które miałoby wykonywać zadanie kontrolowania poprawności legislacyjnej przygotowywanych w resortach aktów wykonawczych i projektów mniej obszernych ustaw oraz przygotowywać skomplikowane ustawy na podstawie merytorycznych i politycznych wskazań ministrów. Centrum ma więc podnieść poziom prac legislacyjnych rządu i spełniać funkcję koordynacyjną.

Teoretycy, praktycy i politycy

Pewne wątpliwości budzi jednak autonomiczna pozycja Centrum Legislacyjnego. W myśl przedstawionego projektu ma ono być państwową jednostką organizacyjną, pozostającą poza strukturą Kancelarii Premiera i dysponującą własnym budżetem. Autonomizacja Centrum i usytuowanie go poza Kancelarią Premiera odpowiedzialnego za spójną politykę rządu jest poważnym błędem. Zastrzeżenie budzi także preferencja dla naukowych środowisk prawniczych i lekceważenie potrzeby udziału w pracach legislacyjnych prawników praktyków. Trudno zrozumieć dlaczego Biuro Studiów i Ekspertyz Centrum Legislacyjnego, które ma zajmować się analizą stanu prawnego i zgłaszaniem wniosków legislacyjnych, ma opierać swe prace wyłącznie na „zespołach naukowców zatrudnionych na wydziałach prawa Uniwersytetów".

Doświadczenie międzywojennej Komisji Kodyfikacyjnej kieruje w zupełnie inną stronę. Przedstawiciele praktyki prawniczej nie tylko byli licznie reprezentowani w Komisji,

ale często kierowali jej pracami[4]. Warto przypomnieć również, że Komisja Kodyfikacyjna była organem pomocniczym Sejmu, a jej projekty trafiały do parlamentu poprzez Ministra Sprawiedliwości. Powszechnie uznawany za pozostający na najwyższym poziomie dorobek Komisji obejmuje sześć wielkich kodyfikacji: kodeks zobowiązań, postępowania cywilnego, karny, postępowania karnego, prawo o ustroju sądów powszechnych, kodeks handlowy oraz ustawy zawierające prawo autorskie, wekslowe i czekowe.

Dorobek powołanych po roku 1989 komisji kodyfikacyjnych jest znacznie skromniejszy i nie tylko dlatego, że nie musiały one podejmować pracy nad unifikacją prawa i opracowaniem na nowo całości prawa cywilnego. W pracach na kodeksami karnymi popełniono tak wiele błędów, że sami ich twórcy zdecydowali się po dwóch latach na obszerną nowelizację obejmującą kilkadziesiąt zmian. W świetle tych faktów zupełnie inaczej wyglądają uchwalone z inicjatywy poselskiej i cynicznie zawetowane przez prezydenta ustawy o zaostrzeniu kar za upowszechnianie twardej pornografii czy naprawa ewidentnego błędu kodeksu karnego, jakim było złagodzenie sankcji karnych za gwałt zbiorowy i gwałt ze szczególnym okrucieństwem. W powszechnej opinii wady ustawodawstwa karnego obciążają jednak konto Sejmu i polityków, mimo że są dziełem środowiska naukowego.

Arystokracja prawników?

Jedynym wytłumaczeniem postulatu ograniczenia grona rządowych superlegislatorów do uniwersyteckich teoretyków może być wyraźne przywiązanie twórców koncepcji Centrum Legislacyjnego do idei prawniczej arystokracji (nie

[4] Wiceprezydentami Komisji byli Stanisław Bukowiecki z Prokuratorii Generalnej i adwokat Ludwik Ciechowicz. Por. S. Grodziski, *Komisja Kodyfikacyjna Rzeczypospolitej Polskiej*, „Czasopismo Prawno-Historyczne", 1/1981.

jest to wizja nowa, swymi korzeniami sięga do platońskich rządów filozofów, a triumfy święci od połowy lat sześćdziesiątych wśród liberalnej elity prawniczej Stanów Zjednoczonych). Zakłada ona, że prawo jest na tyle wyjątkowym systemem norm społecznych, że wymaga specjalnych kompetencji w zakresie jego tworzenia i stosowania. Ta wyjątkowość przypisana jest prawnikom, zwłaszcza sędziom, którzy ze względu na wykształcenie, nieusuwalność, specyficzne wymogi argumentacji i rozumowania prawniczego mogą podejmować najbardziej racjonalne decyzje. W myśl tej koncepcji tylko prawnicy posiadają kompetencje umożliwiające wydanie praktycznego osądu konkretnej sytuacji: owa umiejętność odnalezienia rozstrzygnięcia prawnego wymaga doświadczenia, zdolności odczytania oraz zinterpretowania tych zasad prawnych, zawartych w systemie prawnym, które umożliwią wydanie sprawiedliwego wyroku. Racjonalność prawników (u nas jednak sędziowie z pewnością nie znajdują się na szczycie zawodowej hierarchii) z racji rzeczy nie jest dostępna zwykłym obywatelom, a już z pewnością nie politykom, którzy kierują się swoimi przesądami, względem na reelekcję, czy po prostu interesami grup wspierających ich finansowo.

Przedstawianie zalet pozycji ustrojowej „hiperaktywnego" Sądu Najwyższego USA (który pełni również funkcje Sądu Konstytucyjnego) czy wpływu profesjonalnych ciał prawniczych na legislację, prowadzi często do krytyki demokratycznych reprezentantów społeczeństwa. Pogląd o wyjątkowych kompetencjach prawników jest oczywiście sprzeczny ze współczesnymi zapatrywaniami egalitarnej opinii publicznej. Można jednak odnaleźć jego wpływ w niektórych postulatach ograniczenia nieodpowiedzialnych ustawodawców, próbach ingerencji Trybunału Konstytucyjnego w samą procedurę ustawodawczą i praktykach „szantażu konstytucyjnego", żądaniach pełnego uniezależnienia prokuratury od Ministra Sprawiedliwości, czy dążeniach do absolutyzacji samorządności środowiska sędziów.

Prawnicy, nie konserwatyści

Rzecz jasna, trzeba zachować dystans wobec skrajnie parlamentarnych koncepcji ustrojowych, przyznających sejmowej większości prawo decydowania o każdym szczególe życia publicznego. Konserwatywna myśl polityczna zawsze poddawała krytyce wizje zakładające hegemonistyczną pozycję parlamentu w systemie organów władzy państwowej. Konserwatyści w dwudziestoleciu międzywojennym obawiali się przekształcenia parlamentaryzmu w rządy partii politycznych, osłabienia władzy wykonawczej i podkreślali wysoką pozycję głowy państwa dbającej o całość spraw publicznych. Byli też rzecznikami powołania Trybunału Konstytucyjnego, mającego prawo oceniać zgodność ustaw z konstytucją. To konserwatyści wreszcie zaproponowali na początku lat dwudziestych powołanie Rady Stanu (Rady Prawniczej), która bez wątpienia była inspiracją dla twórców koncepcji Centrum Legislacyjnego[5]. W tamtych latach idee takie napotykały na gwałtowny sprzeciw lewicy, która uważała, że jakakolwiek ocena decyzji parlamentu jest naruszeniem zasad republikańskiej demokracji.

Trzeba jednak zauważyć, że współczesna „antyparlamentarna" tendencja nie ma nic wspólnego z troską o równowagę między władzą ustawodawczą a wykonawczą. Jest ona po prostu próbą zakwestionowania pozycji parlamentu jako głównego organu władzy ustawodawczej w imię utopii prawa tworzonego przez „fachowców".

Utopia demokracji prawników, czyli Rousseau à rebours

To, co u naszych prawników przejawia się w formie często nie całkiem uświadamianych odruchów niechęci wobec wyborców i ich przedstawicieli, pojawia się jako teoria „de-

[5] Na temat koncepcji Rady Stanu por. S. Estreicher, *Udoskonalenie ustawodawstwa*, [w:] *O naprawę Rzeczypospolitej*, Kraków 1922, s. 51-62.

mokracji konstytucyjnej" w pracy Dominika Rousseau o sądownictwie konstytucyjnym w Europie, opublikowanej przez Wydawnictwo Sejmowe[6]. Chociaż więc sama książeczka (100 stron) i zawarte w niej tezy nie są chyba warte polemiki, to warto je przedstawić, bo może się okazać, że trafią na podatny grunt i uczynią jeszcze wiele szkód w myśleniu o naszym państwie.

Rousseau twierdzi, że demokracja przedstawicielska jest „wyeksploatowaną formą ustrojową" i w najlepszym razie przeżywa głęboki kryzys. Jego własna „demokracja konstytucyjna" ma być odpowiedzią na ten kryzys. Ma ona odebrać parlamentowi monopol na tworzenie prawa, „gdyż jego wola podporządkowana jest konstytucji w takiej postaci, w jakiej interpretuje ją sąd konstytucyjny i jaką narzuca on w toku sprawowania kontroli". Podstawowy walor takiego stanowiska polegać ma na konkurencji „wielorakich «przedsiębiorców ustawodawczych» [co] czyni z dyskusji nad przepisem ustawy zasadę i w konsekwencji przyczynia się do zmiany w pojmowaniu ustawy. Otóż staje się ona w mniejszym stopniu wynikiem woli powszechnej, wyrażonej tylko przez parlament, w większym zaś – wynikiem debaty powszechnej między różnymi podmiotami uczestniczącymi w procesie jej tworzenia". Wszystko to dlatego, że – zdaniem Rousseau – parlament jest niereprezentatywnym z punktu widzenia obywatela „kłębowiskiem interesów politycznych", a sąd konstytucyjny pełni rolę strażnika praw obywatelskich i z tego względu wolno mówić o jego wyższości w stosunku do władzy politycznej.

Przeciw demokratycznemu państwu prawa

W pracy Rousseau pojawia się wiele innych poglądów wymagających szczegółowej polemiki, ale największy sprzeciw

[6] D. Rousseau, *Sądownictwo konstytucyjne w Europie*, Warszawa 1999.

budzi fakt, że autor z taką dezynwolturą podważa zasadę demokratycznego państwa prawa.

Demokratyczne państwo prawa oznacza bowiem panowanie norm ogólnych uchwalonych przez parlament wybrany w wolnych wyborach. Jest zatem przeciwstawieniem państwa opartego na prawie, czy raczej „prawie", które jest wyrazem arbitralnej woli władcy. Władza ustawodawcza parlamentu wynika z faktu, że odzwierciedla on wyrażony w wyborach podział i zróżnicowanie opinii publicznej. Władza ta przejawia się poprzez ustawy – normy ogólne, czyli takie, które odnoszą się do każdego i dlatego tworzą taki sam dla każdego obywatela układ odniesienia.

Kwestionowanie reprezentatywnego waloru parlamentu musi prowadzić albo do rządów tłumu, albo do rządów mędrców. U Rousseau mamy do czynienia z drugim wariantem. Jego powszechna debata prowadzona między parlamentem („kłębowisko interesów") a sądem konstytucyjnym (mędrcy) wcale nie wzmacnia jednak reprezentatywności tworzenia prawa. Wystawia go natomiast na potencjalne próby manipulowania „powszechną debatą", co w epoce mass mediów jest aż nadto realne. Istotne znaczenie dla reprezentatywności prawa ma przecież fakt, że projekt ustawy w parlamencie jest oglądany (publicznie!) z wielu punktów widzenia i oceniany w perspektywie praktycznej realizacji prawa. Żadna instytucja nie zastąpi w tej dziedzinie parlamentu, a z pewnością sądy nie są tu bardziej reprezentatywne.

Posłowie rzeczywiście reprezentują sprzeczne interesy, ale jest to gwarancją, że wszystkie słabe i mocne strony projektu zostaną ujawnione, a nawet jeżeli interesy przeważą nad racjonalnością, czy sprawiedliwością, to faktu tego nie da się ukryć przed wyborcą. Zresztą można wskazać na wiele dobrych rozwiązań, które weszły do porządku prawnego z inicjatywy posłów w ostatniej fazie procesu legislacyjnego, właśnie w wyniku powszechnej debaty parlamentarnej. Trzeba jednak przede wszystkim podkreślić, że to

członkowie parlamentu ponoszą odpowiedzialność przed społeczeństwem za kształt prawa i w przeciwieństwie do sędziów, członków komisji kodyfikacyjnych i uczestników instytucji eksperckich mają umowę o pracę przedłużaną (lub nie) co cztery lata.

Ograniczenie parlamentu w wykonywaniu funkcji stanowienia prawa na rzecz na przykład sądu konstytucyjnego nie tylko jest antydemokratyczne (i nie pomogą tu karkołomne próby wykazania przez Rousseau, że sąd jest instytucją demokratycznie legitymizowaną), ale i zagraża państwu prawa. Sam Rousseau zauważa, że unieważnienie przez sąd konstytucyjny działającej już ustawy wprowadza do systemu prawnego element niepewności, którego państwo prawa stara się uniknąć za wszelką cenę. Jeżeli na szalach leżą rzadkie przypadki unieważnienia ustawy sprzecznej z konstytucją i podważenie zaufania obywateli do prawa, to z ważnych przyczyn możemy się zgodzić na konieczność podważenia zasady pewności ram prawnych działań obywateli. Jeżeli jednak zasadą miałaby być niekonstytucyjność ustaw do czasu potwierdzenia ich konstytucyjności przez sąd (a takie są konsekwencje teorii Rousseau), to wracamy do państwa, w którym nie rządzą ogólne normy prawa, ale arbitralna wola władcy, tyle że ubranego w togę.

Realne państwo prawa, nie utopie prawników

Państwo prawa nie jest państwem parlamentu. Wejście w życie ustawy wymaga akceptacji Prezydenta, który – przynajmniej w teorii – stosując weto wobec ustawy winien ocenić ją z punktu widzenia zgodności z konstytucją. Sądowi konstytucyjnemu przysługuje prawo do uchylania ustaw sprzecznych z ustawą zasadniczą i orzeczenia te mają moc ostateczną. Polskie prawo parlamentarne chroni również proces legislacyjny przed pośpiechem i dowolnym działaniem parlamentarzystów. Tryb uchwalania ustaw w trzech czytaniach, specjalne wymogi odnoszące się do uchwalania kodeksów, takie jak przymus powołania Komisji Nadzwy-

czajnej, wydłużenie terminów rozpatrywania projektów, czy wymóg zebrania 15 podpisów pod projektem poprawki do kodeksu, służą tworzeniu prawa z namysłem. Taka też jest racja dwuizbowości parlamentu, a więc istnienia Senatu jako izby refleksji i korekty prawa.

Polska początku trzeciego tysiąclecia nie jest sejmokratyczną II Rzecząpospolitą, jej prawu nie grozi anarchia parlamentarna. Dlatego ani karkołomne teorie francuskiego teoretyka państwa, ani ciche marzenia naszych „fachowców od prawa" nie zagrażają parlamentowi jako twórcy prawa nowej Rzeczypospolitej. Mogą one jednak skierować energię tak potrzebną w dziele podnoszenia jakości stanowionego u nas prawa w ślepą uliczkę walki z „niekompetentnym" Sejmem. Szukajmy więc wspólnie realnych środków służących naprawie legislacji zamiast tracić czas na puste spory rodem z modnych podręczników jurysprudencji.

W pierwszej kolejności mówić trzeba zatem o podniesieniu poziomu służb legislacyjnych. Uwaga ta dotyczy nie tylko rządu, ale również Sejmu i Senatu. Elementem wzmocnienia Sejmu i Senatu powinna być rozbudowa służb legislacyjnych i przyciągnięcie do pracy wysoko wykwalifikowanych legislatorów. Jestem przekonany, że przedsięwzięcie to nie wykracza poza możliwości budżetowe Kancelarii Sejmu. Osobnym problemem jest powołanie do życia Biura Budżetowego Sejmu, które zajmowałoby się oceną projektu budżetu i stanowiłoby realne oparcie dla posłów w pracach nad nim.

Reforma rządowych służb legislacyjnych musi respektować silną pozycję Premiera i podlegającej mu Kancelarii odpowiedzialnej za egzekwowanie spójnej polityki rządu. Bez wątpienia, droga do odrodzenia prawa poprzez osłabienie parlamentu i autonomizację rządowych służb prawniczych wiedzie donikąd.

Udział akademickich środowisk prawniczych w dziele odrodzenia prawa ma wielkie znaczenie. Trzeba jednak dbać o to, by prace prowadzone były na rzecz instytucji konsty-

tucyjnie odpowiedzialnych za przygotowywanie i uchwalanie prawa.

(„Kwartalnik Konserwatywny", nr 7, Zima 2001)

Naprawa sądownictwa

Wielkie tradycje prawne i ustrojowe różnią się odmiennym pojmowaniem roli sądownictwa. Jego wysoka pozycja w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych ma swoje źródło w przyznaniu sądom roli tworzenia prawa. W funkcjonującym w tych krajach systemie *common law*, prawo kształtowane jest przez wiele pokoleń. Historyczne zakorzenienie podnosi i wzmacnia autorytet sądów. Konserwatywny piewca tego systemu H. Drucker stwierdzał, iż „mądrość jednego pokolenia nie mogłaby być większa od mądrości tych wszystkich minionych generacji, które żyły i formowały *common law*". Europa kontynentalna przyjęła odmienny system: uznaje prymat ustawy wśród pozostałych źródeł prawa i oponuje przeciwko prawotwórczej roli sądów. Monteskiusz widział w takiej roli nieuzasadnione roszczenie do sprawowania przez władzę sądowniczą roli władzy ustawodawczej.

Wspólną cechą tych różnych tradycji prawnych jest postrzeganie silnego i niezależnego sądownictwa jako podstawy wolności i rządów prawa. Monteskiusz pisał, że „nie ma wolności bez oddzielenia władzy sądowej od ustawodawczej i wykonawczej" (*O duchu praw*). Podobne sądy formułował Alexis de Tocqueville w sławnym dziele *O demokracji w Ameryce*. Współczesna myśl polityczna i prawna traktuje sądownictwo jako główną zaporę dla arbitralności władzy. Głębokie uzasadnienie tego stanowiska daje encyklika *Centesimus annus*, w której Ojciec Święty stwierdza, że „jest wskazane by każda władza była równoważona przez inne władze i inne zakresy kompetencji, które by ją utrzymywały we właściwych granicach. Na tym właśnie polega zasada

państwa praworządnego, w którym najwyższą władzę ma prawo, a nie samowola ludzi".

Również polska myśl konserwatywna deklarowała wielkie uznanie dla silnej pozycji władzy sądowniczej. Konserwatyści występowali w obronie autonomicznej pozycji prawa i jego ponadpolitycznego charakteru. W latach trzydziestych sprzeciwiali się instrumentalizacji prawa przez rządzący obóz sanacyjny i formułowali postulaty wzmocnienia władzy sądowniczej. To wśród konserwatystów pojawiła się propozycja powołania Trybunału Konstytucyjnego. Niezależne sądownictwo było dla nich nie tylko gwarancją wolności, ale także warunkiem istnienia państwa. Sądy są bowiem ze swej natury najbardziej neutralną i niepartykularną instytucją ustrojową. Tam, gdzie nie ma sądów strzegących prawa wiążącego także władzę, tam przestaje istnieć państwo jako wspólnota polityczna.

Aktualny kryzys władzy sądowniczej jest konsekwencją słabości sądownictwa w państwie komunistycznym. W PRL-owskiej hierarchii władzy pozostawała ona daleko w tyle za służbą bezpieczeństwa, prokuraturą, policją i rzecz jasna za partią komunistyczną. Partia komunistyczna decydowała o nominacjach i awansach sędziów. Kontrolę nad Sądem Najwyższym zapewniał przepis o 5-letniej kadencji tej instytucji. Niezawisłość sędziowska była fikcją w warunkach obowiązywania przepisów o dawaniu przez sędziów rękojmi należytego wykonywania zawodu. Przepis ten ze względu na swoją ogólnikowość i odwołanie do zasad ustrojowych pozwalał na usuwanie niedyspozycyjnych sędziów. Potężnym – i sprzecznym z zasadą, iż sędzia podlega tylko ustawie – środkiem były wytyczne wymiaru sprawiedliwości uchwalane przez Sąd Najwyższy. Autor pracy *Sądownictwo w PRL* Andrzej Rzepliński pisał, iż były one „silnym środkiem oddziaływania na sądy w myśl potrzeb i oczekiwań partii, Ministerstwa Sprawiedliwości, MSW, MON i prokuratury (ale także i innych instytucji władzy wykonawczej, w zakresie

np. stosunków rolnych – Ministerstwa Rolnictwa, a w zakresie stosunków pracy – Ministerstwa Pracy)”[1].

Degradacja sądownictwa była w ogromnym stopniu konsekwencją upadku prawa w państwie socjalistycznym. Prawo utraciło status obiektywnych i trwałych reguł chroniących przestrzeń wolności obywateli, a stało się instrumentem sprawowania władzy. Sens tej zmiany uchwyciła Jadwiga Staniszkis, pisząc w *Ontologii socjalizmu* o państwie prerogatywnym, ponadprawnym, w którym państwo „odrzuca prawną regulację samego siebie”[2].

W niepodległym państwie zniknęła zależność sądownictwa od partii, pozostały jednak słabość instytucji, pozostawiający wiele do życzenia poziom merytoryczny kadry sądowej i anachroniczna infrastruktura sądowa. Po roku 1989 zaniechano takich reform władzy sądowniczej, które usuwałyby wyżej wymienione wady. Wprowadzono natomiast szerokie prawa samorządu sędziowskiego, co w ogromnym stopniu ograniczyło możliwość wpływu rządu na jakość pracy sądów. Trzeba też powiedzieć, że w ostatnich latach w związku z odrodzeniem wolnego rynku zwiększyła się radykalnie ilość spraw rozstrzyganych przez sądy. Uwaga ta dotyczy w szczególności spraw gospodarczych i wieczystoksięgowych, których rozpatrywanie jest najbardziej przewlekłe. Pogłębiło to jeszcze kryzys władzy sądowniczej i ograniczyło praktyczne prawo obywatela do sądu.

Podstawowym problemem jest zatem przywrócenie sądownictwu wysokiego poziomu merytorycznego i moralnego.

W ostatnich latach wprowadzono bardzo silne gwarancje niezawisłości i niepolityczności sędziów. Przepisy nowej konstytucji potwierdzają niezawisłość sędziów wraz z gwarancjami w postaci zakazu odwołania i przeniesienia sędziego bez zgody samego sądu. Jednocześnie doszło do zdomi-

---

[1] A. Rzepliński, *Sądownictwo w PRL*, Londyn 1990, s. 74.

[2] J. Staniszkis, *Ontologia socjalizmu*, Warszawa 1990, s. 72.

nowania korporacji sędziowskiej przez sędziów, których kariery przypadły na okres komunizmu oraz do odejścia z zawodu wielu dobrych prawników. Raport Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości „Quo vadis iustitia" stwierdza „fakt dość powszechnego obecnie zjawiska odpływu sędziów i asesorów do zawodów bardziej konkurencyjnych pod względem finansowym. Dotyczy to w szczególności młodych sędziów, połowa odchodzących z zawodu to ludzie, którzy nie przekroczyli 35 lat". Raport wskazuje też na feminizację zawodu, sięgającą w niektórych okręgach (np. Okręgu Sądu Wojewódzkiego w Warszawie) 80 procent.

Tak więc zachodzi konieczność przyjęcia przez państwo pozytywnej polityki, mającej na celu wzrost rangi zawodu sędziowskiego. W perspektywie kilkunastu lat stanowisko sędziego musi stać się zwieńczeniem kariery prawniczej. Promocja dobrych sędziów wymaga podniesienia kwalifikacji koniecznych do powołania na stanowisko sędziego i wzrostu uposażeń sędziowskich, tak, by odpowiadały one autorytetowi trzeciej władzy i dawały możliwość przyciągnięcia do zawodu najlepiej wykwalifikowanych prawników. Może to jednak pociągać za sobą konieczność ograniczenia uprawnień zgromadzeń ogólnych sądów apelacyjnych i wojewódzkich, które praktycznie przeciwstawiają się jakimkolwiek zmianom w sądownictwie.

Z autorytetem sądownictwa ściśle związana jest kwestia obecności w zawodzie sędziów, którzy w okresie państwa komunistycznego sprzeniewierzyli się zasadzie niezawisłości sędziowskiej. W roku 1989 powszechna była wiara w samooczyszczenie środowiska sędziowskiego. Koncepcja ta poniosła całkowitą klęskę, żaden z sędziów nie odszedł dobrowolnie z zawodu. W roku 1993 Trybunał Konstytucyjny zakwestionował nowelizację ustawy „Prawo o ustroju sądów powszechnych", dającą prezydentowi możliwość odwołania sędziów, którym udowodni się takie czyny. Uzasadnienie wskazywało na sprzeczność nowelizacji z zasadą niezawisłości sędziowskiej. Dlatego też podjęta przez AWS

w 1997 roku inicjatywa ustawodawcza, pozwalająca na wydawanie w tych sprawach sądowych orzeczeń dyscyplinarnych, wydaje się ostatnią możliwością rozwiązania tej kwestii. Chodzi w niej nie tylko o indywidualną odpowiedzialność za zachowania sprzeczne z istotą zawodu sędziego, ale przede wszystkim o odrodzenie autorytetu trzeciej władzy.

Zmiany muszą obejmować również pozycję ustrojową sądownictwa. W PRL sądownictwo traktowane było jako element jednolitej władzy państwowej. Postulaty opozycji przedsierpniowej – Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, Ruchu Młodej Polski, czy KOR wskazywały na konieczność odbudowy niezależności sądownictwa. Siłą rzeczy propozycje te zwracały się w kierunku usamorządowienia sądownictwa. I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" w specjalnej uchwale o niezawisłości sądownictwa mówił o „zmianach na rzecz uzyskania sądownictwa w pełni samorządnego i niezależnego od władzy politycznej i administracji państwowej"[3].

Po upadku komunizmu reakcją na upolitycznienie władzy sądowniczej było przyznanie hegemonistycznej pozycji samorządowi sędziowskiemu. Wolno sądzić, że ówczesna reforma formułowana była nadal z pozycji właściwych opozycji demokratycznej, postulującej demokratyczną kontrolę nad *de facto* obcym państwem. Jeden z autorów tych zmian, profesor Adam Strzembosz przyznał, że kompetencje samorządu i Krajowej Rady Sądownictwa są „szersze niż w zdecydowanej większości krajów Europy Zachodniej". Nowe regulacje do minimum ograniczyły kompetencje Ministra Sprawiedliwości w zakresie nadzoru administracyjnego. Obecnie zgromadzenia sądów apelacyjnych i wojewódzkich mają możliwość blokowania powoływania przez Ministra Sprawiedliwości kandydatów na stanowiska prezesów sądów. Zgromadzenia te zyskały decydujący wpływ na wybór

[3] Uchwała I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność" w sprawie niezawisłości sądownictwa, 7-8 października 1981.

prezesów, a więc osób odpowiedzialnych za tempo pracy sądów.

Niezawisłość sędziów i niezależność sądów powinny pozostać trwałymi elementami nowego państwa. Jednak istotnym elementem reformy usprawniającej sądownictwo powinno być przywrócenie równowagi między uprawnieniami samorządu sędziowskiego a kompetencjami Ministra Sprawiedliwości w zakresie nadzoru administracyjnego, a co za tym idzie powoływania i odwoływania prezesów sądów i zwiększenie możliwości oddziaływania władzy na pozajudykacyjną stronę pracy sądów. Odpowiedzialność, także przed parlamentem, za tę stronę ich pracy ponosi Minister Sprawiedliwość. Wysuwane przez sędziów żądanie odwołania ze stanowiska wiceministra sprawiedliwości Leszka Piotrowskiego (krytykującego środowiska prawnicze w związku z trudnościami przy obsadzeniu składu sądu lustracyjnego) jest również z tego względu uzurpacją.

Trzeba jednak podkreślić, że jakość pracy sądów nie ulegnie zmianie bez materialnego wzmocnienia trzeciej władzy. Jeśli dostępność sądu uznać za jeden z warunków rządów prawa, to z pewnością nie jest on w Polsce spełniony. Długotrwałość postępowań w sprawach cywilnych zamienia prawo do opieki sądowej w fikcję, a nierozstrzygane przez lata głośne sprawy karne obrażają elementarne poczucie sprawiedliwości. Przywoływany tu już raport Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości wskazuje wyraźnie na podważanie bezpieczeństwa obrotu prawnego przez opóźnienia pracy sądów. Najpoważniejsze opóźnienia dotyczą spraw karnych rozstrzyganych w pierwszej instancji przez sądy wojewódzkie (wskaźnik 7,1 miesięcy), spraw cywilnych procesowych w sądach wojewódzkich (9,3 miesiąca) oraz spraw nieprocesowych gospodarczych w sądach rejonowych, które trwają ponad półtora roku. Do tej kategorii spraw należą sprawy wieczystoksięgowe, stanowiące 45 procent wszystkich spraw. Dane te oznaczają, że prawo obywatela do rze-

telnego rozstrzygnięcia sprawy w rozsądnym terminie jest realizowane tylko w ograniczonym zakresie.

W niemałym stopniu jest to rezultat materialnej degradacji sądownictwa, szczupłości kadr, anachronicznej infrastruktury sądowej. Wspomnianym zmianom w sądownictwie towarzyszyć musi wzrost wydatków publicznych na wymiar sprawiedliwości, uznanie tego za jedno z podstawowych zadań polityki państwa. Słabość sądownictwa w PRL i jego obecny kryzys wiąże się z degradacją prawa. Odbudowa rządów prawa nie nastąpi z dnia na dzień. W ogromnym stopniu zależy ona od poziomu kształtującej prawo elity parlamentarnej i urzędniczej. Decydujące znaczenie ma bowiem to, co nazywa się wewnętrzną treścią prawa. Już dziś wskazać można na pozytywny wpływ sądów. Potwierdza to lektura orzeczeń NSA i Trybunału Konstytucyjnego. Decyzje w sprawie ochrony życia, praw podatników, praw własności, praw samorządu gminnego sprzyjały odrodzeniu się prawa w Polsce. Dlatego też wolno mieć nadzieję, że rozszerzanie się kontroli sądowej, traktowane dziś jako jedna z przyczyn spowolnienia pracy sądów, wywierać będzie pozytywny wpływ na interpretację prawa, a pośrednio także na jego tworzenie. Wymaga to jednak podjęcia dzieła odbudowy autorytetu i podniesienia poziomu trzeciej władzy w Polsce.

(„Kwartalnik Konserwatywny", nr 3, Lato 1998)

Trzecia władza ponad państwem

Kryzys wymiaru sprawiedliwości jest jednym z najpoważniejszych objawów słabości III Rzeczypospolitej. Trudno nie zgodzić się ze Stanisławem Iwanickim, gdy w tekście *Model prokuratury, model prawa* („Rzeczpospolita" z 8 lipca 1999 r.) pisze, że deklarowane przez Europejską Konwencję o Ochronie Praw Człowieka „prawo obywatela do rozpatrzenia jego sprawy w rozsądnym terminie przez sąd" staje się w warunkach polskich fikcją.

Wielokrotnie broniłem wyrażanego przez autora poglądu, że zwiększenie nakładów finansowych na sądownictwo jest warunkiem rekonstrukcji sprawnego wymiaru sprawiedliwości. Jednak istota propozycji Stanisława Iwanickiego – koncepcja usamorządowienia prokuratury i dalszego poszerzenia uprawnień instytucji samorządu sędziowskiego – jest pomyłką. Pomysły te, przedstawiane w demokratycznym opakowaniu, oznaczają w istocie pozbawienie parlamentu i rządu jakiegokolwiek wpływu na wymiar sprawiedliwości.

Minister nie jest władcą absolutnym

Głównym przedmiotem krytyki Stanisława Iwanickiego jest „dyktatorska" niemal pozycja ministra sprawiedliwości wobec instytucji wymiaru sprawiedliwości, sądów i prokuratury. Minister sprawiedliwości przedstawiany jest jako władca absolutny. Tymczasem jego pozycja wobec samorządu sędziowskiego jest bardzo słaba. Po upadku komunizmu reakcją na upolitycznienie władzy sądowniczej było przyznanie hegemonistycznej pozycji samorządowi sędziowskiemu. Nowe regulacje do minimum ograniczyły kompe-

tencje ministra sprawiedliwości w zakresie nadzoru administracyjnego, który ma istotne znaczenie dla sprawności sądownictwa. Zgromadzenia samorządu sędziowskiego uzyskały decydujący wpływ na wybór prezesów sądów – osób odpowiedzialnych za jakość funkcjonowania tych instytucji. Stali się oni całkowicie zależni od samorządu sędziowskiego, co utrudnia im oddziaływanie na sprawność pracy sędziów. Niezawisłość sędziów i niezależność sądów pozostaną trwałym elementem III RP. Reforma sądownictwa musi jednak stworzyć równowagę między kompetencjami rządu a wpływami samorządu sędziowskiego, taką, jaka jest w Europie Zachodniej. Zostało to uwzględnione w ministerialnym projekcie nowelizacji ustawy o ustroju sądów powszechnych i właśnie dlatego zasługuje on na życzliwe przyjęcie.

Uchylenie odpowiedzialności

Koncepcje autonomii finansowej sądownictwa i usamorządowienia prokuratury oznaczają w praktyce uchylenie odpowiedzialności parlamentu i rządu za egzekwowanie prawa i stan praworządności. Zawarta w projekcie ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa idea autonomii finansowej całego sądownictwa powszechnego jest nadużyciem ustrojowym. Rada ma konstytucyjny obowiązek stania na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziów, ale nie uzyskała silnego konstytucyjnego umocowania do reprezentowania ich w sferze finansów publicznych. Była wzorowana na francuskiej Najwyższej Radzie Sądownictwa. Jednak we Francji instytucja ta jest rzeczywistym organem władzy państwowej w dziedzinie sądownictwa. Na jej czele stoją prezydent (jako jej przewodniczący) i minister sprawiedliwości (jako jedyny wiceprzewodniczący), a w skład wchodzą obok sędziów osoby spoza środowiska prawniczego. W Polsce Krajowa Rada Sądownictwa jest zdominowana przez sędziów i stała się wyrazicielem interesów korporacji sędziowskiej wobec innych organów państwa. Trudno zgodzić

się, by tylko jej głos decydował o przyszłości sądownictwa w Polsce.

Z tych samych względów nie można się zgodzić z pomysłem usamorządowienia prokuratury. Stanisław Iwanicki stwierdza, że prokuratura powinna zachować całkowitą niezależność i protestuje przeciwko stawianiu prokuratorów „pod pręgierzem" i „wywieraniu na nich presji". To jasne, że prawo o prokuraturze musi respektować obiektywizm i bezstronność jej działań. Trzeba jednak podkreślić, że to minister sprawiedliwości, a nie poszczególni prokuratorzy, jest konstytucyjnie i politycznie odpowiedzialny za działanie prokuratury. Dlatego też nie może pozostawać bez wpływu na jakość pracy i dobór kadr prokuratorskich.

Głos korporacji

Stanisław Iwanicki pomija prawdziwe problemy polskiej prokuratury – niski poziom pracy i znane opinii publicznej skutki korupcji prokuratorów. Nie potrzeba wiele trudu, by uzmysłowić sobie, w jakim stopniu prokuratura stała się elementem krytykowanego przez Stanisława Iwanickiego kapitalizmu politycznego. Sam autor w innym fragmencie tekstu przyznaje, że stanowiska sędziowskie i prokuratorskie powinny uzyskiwać osoby o najwyższych kwalifikacjach merytorycznych i wysokim poziomie moralnym. Czy ten poważny problem da się rozwiązać przez przyznanie prokuratorom szerokich uprawnień samorządowych? Czy ułatwi to sytuacja, w której nominacja na stanowisko prokuratora będzie całkowicie zależeć od wyrażającej interesy zawodowe obecnych prokuratorów Krajowej Rady Prokuratury? Nie sądzę. Wyposażona w nowe silne kompetencje korporacja będzie się bronić przed faktyczną kontrolą i odpowiedzialnością.

Autor zastanawia się, dlaczego w ustawie istnieje jeszcze przepis nakazujący prokuratorowi wykonanie polecenia przełożonego. Odpowiedź jest prosta: prokuratura jest instytucją zorganizowaną hierarchicznie i zobowiązaną do

reprezentowania przed sądami prawa i interesu publicznego. W żadnym wypadku nie można zgodzić się z poglądem, że najważniejsza w pracy prokuratora jest odpowiedzialność przed samym sobą. Roli prokuratorów nie należy mylić z sędziami, którzy mają przymiot niezawisłości, ponieważ tylko do nich należy ostateczna decyzja wydania wyroku. To z tego względu prokuratura nie jest w krajach europejskich instytucją konstytucyjną i w większości z nich stanowi część władzy wykonawczej.

Wynaturzona idea

W dyskusjach nad reformą wymiaru sprawiedliwości padają ciężkie zarzuty. Rządowy projekt ustawy o prokuraturze porównywany jest z praktykami reżimu Łukaszenki. W innym tekście czytamy, że projekt zrównoważenia stosunków między rządem a samorządem sędziowskim wyraża tęsknotę za ręcznym sterowaniem. Z wypowiedzi tych wynika, że mamy do czynienia z wynaturzeniem idei niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Gwarancją niezależności i niezawisłości jest wykluczenie wpływu władzy politycznej na orzeczenia sądów, a nie odizolowanie ich od innych organów władzy państwowej. Gdyby przyjąć tę koncepcję, państwo składałoby się z wianuszka niezależnych instytucji, a jego podstawą stałyby się korporacje zawodowe.

Żadna z władz nie jest w pełni niezależna, rząd odpowiada przed parlamentem, ustawy podlegają sądom konstytucyjnym, wymiar sprawiedliwości powiązany jest z władzą ustawodawczą i wykonawczą. W większości państw europejskich wpływ ministra sprawiedliwości na nominacje sędziowskie oraz administracyjną stronę prac sądów jest znacznie większy niż w Polsce. W Niemczech sędziowie związkowi powoływani są przez prezydenta przy kontrasygnacie rządowej. Francuski minister sprawiedliwości ma znacznie więcej kompetencji w zakresie nominacji sędziowskich i awansów niż polski. Inna jest także rola ustrojowa Najwyższej Rady Sądownictwa. Prokuratorzy podlegają mi-

nistrowi sprawiedliwości i nie korzystają z konstytucyjnej gwarancji nieusuwalności. Czy rozwiązania niemieckie i francuskie oparte są na białoruskich wzorcach?

W polskim życiu politycznym utarła się praktyka budowania karier politycznych przez kokietowanie poszczególnych grup zawodowych. Politycy, którzy idą tą drogą, z góry zakładają, że nie będą rządzić i ponosić odpowiedzialności. Chcą reprezentować poszczególne branże i resorty w świecie polityki. W przypadku wymiaru sprawiedliwości protest przeciwko tej praktyce jest obroną państwa jako wspólnoty odpowiedzialnej za egzekucję prawa i bezpieczeństwo obywateli. Jeśli w dobrej wierze traktuje się reformę wymiaru sprawiedliwości jako zadanie państwowe, to trzeba raz na zawsze debatę nad nią wyrwać z korporacyjnych okowów.

(„Rzeczpospolita", 20.07.1999)

Adwokaci – egoizm bez misji

Moim kolegom adwokatom

W dzieciństwie często dla zabawy zakładałem togi adwokackie moich rodziców. Ze środowiskiem adwokackim łączą mnie tradycje rodzinne i wykształcenie prawnicze. Mój dziadek w latach 30. brał udział w wielu procesach politycznych, m.in. był obrońcą w procesie brzeskim. W czasie wojny został, podobnie jak wielu innych adwokatów, aresztowany za udział w konspiracji i zamordowany w Oświęcimiu. W klasie maturalnej w roku 1982 stanąłem przed sądem wojskowym, będąc oskarżonym o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości mogących budzić niepokój publiczny. Wyrok w zawieszeniu zawdzięczam nieżyjącemu już adwokatowi Jerzemu Tewińskiemu. Wspomnienie o wspaniałej karcie w historii polskiej adwokatury dzielę z wieloma uczestnikami opozycji demokratycznej. Spór o rolę i pozycję adwokatury jest zatem czymś, co przeżywam osobiście jako spór dotyczący bardzo bliskiego mi środowiska.

A gdzie sprawy publiczne

Wydaje się, że problem zasługuje na większą uwagę i większy namysł. Przekaz medialny po gwałtownej wymianie zdań, do jakiej doszło w czasie dyskusji nad Centralnym Biurem Antykorupcyjnym między posłem Kaliszem a posłem Gosiewskim, oddala nas od najistotniejszych pytań dotyczących roli i powinności adwokatury. Odrzucam pogląd, że adwokatura jest w sposób szczególny dotknięta obecnością praktyk korupcyjnych. Czy jednak adwokaci mają prawo mówić o naruszeniu zasad demokratycznych,

o uderzeniu w niezależność sądów i Trybunału Konstytucyjnego? Czy można używać tego argumentu, sugerując, że wszelkie zmiany w położeniu prawnym adwokatów mają antydemokratyczny charakter? Każdy, kto zna i nie waha się nazwać po imieniu prawdziwych problemów wymiaru sprawiedliwości, wie, że reakcja środowiska jedynie te problemy skrywa.

Wypada przypomnieć tradycję polskiej adwokatury nie tylko ze względu na rolę, jaką odegrała w czasach naruszania podstawowych praw i wolności, ale również z uwagi na doświadczenie tej korporacji w II Rzeczypospolitej. Wolnościowa tradycja polskiej adwokatury jest bardzo bogata. Palestra może poszczycić się wspaniałym zastępem obrońców. Pouczająca jest nie tylko wolnościowa funkcja adwokatury, ale również jej wkład w życie publiczne II Rzeczypospolitej. Adwokaci uczestniczyli w życiu politycznym wszystkich liczących się na scenie politycznej obozów – od PPS (Adam Pragier, Herman Lieberman), przez partie chłopskie (Władysław Kiernik, Stefan Korboński), piłsudczyków (Stanisław Car, Wacław Makowski), aż po Narodową Demokrację (marszałek Wojciech Trąpczyński i ostatni przedwojenny prezes Stronnictwa Narodowego Kazimierz Kowalski) – sprawując funkcje ministrów i parlamentarzystów.

Wypada zauważyć, że wybitni przedstawiciele palestry nie definiowali swojej roli jako reprezentantów korporacji wobec państwa, lecz brali udział w kształtowaniu jego polityki i ustawodawstwa. Adwokaci mieli bardzo poważny udział w powołanej w roku 1919 Komisji Kodyfikacyjnej, kierowanej przez adwokata Xawerego Fiericha. I znów przedstawiciele palestry w Komisji Kodyfikacyjnej nie reprezentowali zawodowego punktu widzenia.

Doświadczenie czynnego udziału w życiu publicznym nie powtórzyło się po 1989 roku. Adwokatura, która do III RP weszła ze wspaniałą kartą udziału w procesach politycznych ludzi „Solidarności" i opozycji demokratycznej, po paru latach straciła poważną część tego kapitału. Wpraw-

dzie nieliczni adwokaci nadal pełnili funkcje publiczne, ale zachowania przeważającej części członków środowiska ukształtował nowy ekonomistyczny duch. Proces ten – zrozumiały w warunkach odradzania się gospodarki rynkowej – przyjął jednak tak duży rozmiar, że doszło właściwie do wycofania się z jakiejkolwiek poważnej roli publicznej. I to właśnie osłabiło siłę korporacji, która zawdzięczała swoją pozycję tradycji i cnotom zobowiązującym do zachowań przekraczających horyzont interesów ekonomicznych.

Głucha korporacja

W tej sytuacji stanowisko korporacji bardzo często było całkowicie głuche na argumenty odwołujące się do kategorii interesu publicznego, w tym na argumenty przemawiające za naprawą wymiaru sprawiedliwości. Adwokatura przez długi czas nie zauważała kryzysu wymiaru sprawiedliwości, poprzestając na prezentacji partykularnego punktu widzenia, który całkowicie współbrzmiał z ultraliberalną linią polityki karnej. Dziś również wypowiada się przeciw pomysłom ministra Zbigniewa Ziobro, który proponuje uproszczenie i przyspieszenie procedury karnej (sądy 24-godzinne), odpowiadając na najbardziej elementarne potrzeby uzdrowienia wymiaru sprawiedliwości. Wystarczy tymczasem sięgnąć do klasycznej pracy francuskiego ministra sprawiedliwości Alaina Peyrefitta *Wymiar sprawiedliwości, między ideałem a rzeczywistością*, aby przekonać się, że są to standardowe rozwiązania ustrojowe.

Przed rokiem byliśmy świadkami akcji mecenasa Widackiego reprezentującego Jana Kulczyka, której celem było odroczenie w czasie jego stawiennictwa przed komisją śledczą. Takie zachowanie niemiecka ustawa o komisji śledczej sankcjonuje karą 10 tys. euro, natomiast w Polsce uznano by to za pogwałcenie wolności.

Wezwania do obrony niezależności sądownictwa nie mają silnego oparcia merytorycznego. Próby ograniczenia bardzo silnej pozycji samorządu sędziowskiego mieszczą się

w ramach europejskich modeli ustrojowych. W większości państw europejskich wpływ ministra sprawiedliwości na nominacje sędziowskie oraz administracyjną stronę prac sądów jest znacznie większy niż w Polsce. W Niemczech sędziowie związkowi powoływani są przez prezydenta przy kontrasygnacie rządowej. Francuski minister sprawiedliwości ma znacznie więcej kompetencji w zakresie nominacji sędziowskich i awansów niż polski. Inna jest także rola ustrojowa francuskiej Najwyższej Rady Sądownictwa, którą kierują prezydent i minister sprawiedliwości. Jest ona rzeczywistym organem władzy państwowej w dziedzinie sprawiedliwości i nie ma korporacyjnego charakteru, parlament zaś nie może wybrać do niej osób związanych ze środowiskiem prawniczym.

Wypada także powrócić w spokojnym tonie do kwestii otwarcia korporacji prawniczych. Argumenty wskazujące na konieczność egzekwowania kryterium kompetencji nie mogą być lekceważone. Ale otwarcie zawodów prawniczych nastąpiło po długich latach bardzo zachowawczych praktyk i było przez te praktyki sprowokowane. Ustawa cieszyła się poparciem obecnej opozycji (z wyjątkiem Sojuszu Lewicy Demokratycznej) i wielu środowisk społecznych. Tuż po jej uchwaleniu niektóre Okręgowe Rady Adwokackie podwyższyły wpisowe, by utrudnić dostęp do zawodu. Był to krok kruszący zaufanie społeczne do korporacji.

Moja szczególna odpowiedzialność polityczna dotyczy kultury, a więc sfery bardzo odległej od wymiaru sprawiedliwości. Piszę te słowa ze względu na wagę problemu, solidarność z polityką rządu i poczucie związków z korporacją, która odegrała tak ważną rolę w historii Polski. Wielu moich kolegów z opozycji studenckiej lat 80. zostało adwokatami. Wykonują ten zawód uczciwie i z wielką kompetencją. Moja wspaniała koleżanka z okresu studiów pani mecenas Joanna Agacka jest wiceprezesem Naczelnej Rady Adwokackiej i wiem, że wraz z kolegami działa na rzecz odbudowania najlepszych wzorców etyki zawodowej. Czy wysiłki te przy-

biorą formę czysto negatywnego protestu, który gdyby okazał się skuteczny, spowodowałby wstrzymanie oczekiwanych reform wymiaru sprawiedliwości? Czy też adwokatura będzie zdolna do definiowania swojej roli w kontekście interesu publicznego?

Z naturalnych względów przedstawiciele tego zawodu bronią wolności i praw obywatelskich, ale ich pełna egzekucja możliwa będzie dopiero po gruntownej reformie wymiaru sprawiedliwości.

(„Gazeta Wyborcza", 09.03.2006)

Prawo do kary

Dyskusja o nowym ustawodawstwie karnym przyjętym w czerwcu 1997 roku ogniskowała się wokół zagrożeń karnych za poszczególne przestępstwa. Tymczasem podstawowy

błąd tego kodeksu

polega na odebraniu prawu karnemu jego tradycyjnego, zgodnego z poczuciem sprawiedliwości znaczenia. Kara za przestępstwo przestaje być aktem przywracającym sprawiedliwość, a staje się środkiem resocjalizacyjnym.

Obrońcy kodeksu zapewniają, że można wyciągać z niego dobre i złe rzeczy. Niestety, analiza części ogólnej kodeksu karnego wskazuje na to, że ustawodawstwo zachęca do liberalizacji w wymierzaniu i stosowaniu kar. Do tych samych wniosków prowadzi lektura *Komentarza* do kodeksu, napisanego przez jego twórców Kazimierza Buchałę i Andrzeja Zolla (*Kodeks Karny. Część ogólna. Komentarz*, Zakamycze 1998).

Autorzy regulacji kodeksowych w taki oto sposób prezentują rewolucję w prawie karnym: „Nastąpiło gruntowne przewartościowanie celu karania. W miejsce odwetu, sprawiedliwej odpłaty, karze poczęto przypisywać funkcję ochronną przed popełnieniem nowych przestępstw przez niebezpiecznych sprawców... Sprawcy zasługują na surowszą karę nie dlatego, że na nią swym czynem zasłużyli; ich czyn bezprawny i zawiniony nie stanowi podstawy dla takiej kary, jest raczej

okazją do ukarania,

czyn ten sygnalizuje, że zachodzą symptomy zagrożenia; zatem rozmiar i rodzaj orzekanej kary im powinien odpowiadać, nie zaś zawartości bezprawia i winy".

Rewolucyjne znaczenie ma też szeroka interpretacja zasady humanitaryzmu. W nowym kodeksie idea humanitaryzmu stała się nakazem zaadresowanym do sądów, w myśl którego powinny one baczyć na to, by wymierzanie i stosowanie kar miało na względzie przede wszystkim resocjalizację przestępcy.

Nic zatem dziwnego, że z resocjalizacyjnego punktu widzenia negatywnie oceniane jest dożywocie i długoterminowe kary pozbawienia wolności. Autorzy nie kryją np. negatywnego stosunku do kary dożywotniego pozbawienia wolności, która ze względu na swą naturę nastawiona jest na izolację sprawcy i odstraszanie potencjalnych przestępców. Przypomnę, że karę tę przedstawiano opinii publicznej jako dobry

substytut kary śmierci.

Tymczasem K. Buchała i A. Zoll poddają w wątpliwość jej sens i piszą, że siła odstraszania tej kary jest przeceniana, a jej niekorzystnym skutkiem jest powodowanie „negatywnych zakłóceń osobowości sprawców w wieku lat 20 i zbliżonym".

Autorzy *Komentarza* pokładają nadzieję w tym, że mimo wszystko uda się przy pomocy dożywocia osiągnąć cel resocjalizacyjny: „Gwarancją spełniania tego celu jest konieczność poszanowania godności człowieka, której orzeczenie tej kary go nie pozbawia, a co zapewnia perspektywa warunkowego zwolnienia... Nieudzielenie warunkowego zwolnienia, mimo osiągnięcia przez sprawcę resocjalizacji, koliduje z zasadą humanitaryzmu i godności człowieka".

W przypadku długoterminowych kar pozbawienia wolności twórcy kodeksu piszą, że ich „przedłużanie może być

nawet szkodliwe, bo niweczy wyniki resocjalizacji". W *Komentarzu* czytamy: „Niektórzy przyjmują, że długoterminową karą pozbawienia wolności jest kara przekraczająca 5 lat, powołując się przy tym na zasadę humanitaryzmu, prawa jednostki i ekonomię kary".

Jeśli kara ma być przede wszystkim aktem prewencji indywidualnej w jej resocjalizacyjnym, a nie odstraszającym aspekcie, to nic dziwnego, że nowy kodeks zachęca, by jej wymiar był

niższy niż wina

i ciężar przestępstwa. Tak właśnie brzmi art. 53 kk regulujący zasady i dyrektywy sądowego wymiaru kary. Artykuł ten stanowi, że sąd wymierza karę bacząc, by jej dolegliwość nie przekraczała stopnia winy. Jasne jest zatem, że stopień winy ma w oczach ustawodawcy mniejszą wagę niż cele resocjalizacyjne. Dyrektywa prewencji indywidualnej uzyskała w nowym kodeksie podstawowe znaczenie. „Wynika stąd – piszą autorzy *Komentarza* – że kara może być orzeczona poniżej górnego stopnia winy".

Dalej mamy nawet coś w rodzaju przestrogi przed orzekaniem kar surowych, odpowiadających stopniowi winy, bowiem czytamy w *Komentarzu*, że sąd, który chce orzec karę w górnej granicy winy, musi uważać, czy nie narusza zasady humanitaryzmu, „zwłaszcza, że sąd w trakcie orzekania nie może mieć pewności, że orzeczona kara w jej wykonaniu spełni założone cele".

Komentarz przedstawia resocjalizacyjne rozumienie kary za współczesną normę. Tymczasem wśród aktualnych doktryn karnych obecna jest nadal tendencja klasyczna, która widzi w karze akt

sprawiedliwej odpłaty,

przywracającej naruszony przez przestępstwo porządek. Tak przedstawia sens kary etyka katolicka.

Katechizm Kościoła katolickiego stawia aspekt sprawiedliwościowy przed resocjalizacyjnym: „Pierwszym celem kary jest naprawienie nieporządku wywołanego przez wykroczenie. Gdy kara jest dobrowolnie przyjęta przez winowajcę, ma wartość zadośćuczynienia. Ponadto kara ma na celu ochronę porządku publicznego i bezpieczeństwa osób. Wreszcie kara ma

wartość leczniczą;

powinna w miarę możliwości przyczynić się do poprawy winowajcy".

Zerwanie z tradycyjnym pojmowaniem prawa karnego i kary jest pochodną stanowiska ideologicznego. Rzecznicy nowych rozwiązań zakładają optymistyczną wizję społeczeństwa i możliwość resocjalizowania wszystkich przestępców. Kwestionują natomiast odstraszający cel kary. Zdaniem K. Buchały i A. Zolla prewencja generalna negatywna (odstraszanie potencjalnych przestępców) koliduje z etyką i jest w praktyce nieskuteczna. Odstraszanie ma być nieskuteczne z powodu... niskiej wykrywalności przestępstw. Słabość państwa ma przemawiać za rezygnacją z odstraszającego znaczenia kary, a sytuacja w więziennictwie za ograniczaniem kary pozbawienia wolności. Sprawa jest zatem

postawiona na głowie.

Zamiast wzmocnić siłę państwa i wykrywalność przestępstw, mamy po prostu ograniczać stosowanie kar, które nie mieszczą się w ramach resocjalizacyjnej ideologii, a jeśli już orzekamy karę pozbawienia wolności, to powinniśmy często korzystać z warunkowego zawieszenia i przedterminowego zwolnienia.

Stanowisko to w sposób oczywisty przeczy doświadczeniu społecznemu. W każdym społeczeństwie zawsze istnieje grupa przestępców, których nie można poprawić. Nie

wolno opierać polityki karnej na założeniu, że sprawca morderstwa dokonanego z najwyższym okrucieństwem zostanie zresocjalizowany. Stosowanie wobec tej grupy sprawców złagodzonych kar mija się z celem. Nikt nie może zaprzeczyć, że przestępczość jest też zjawiskiem socjologicznym i stanowi zły owoc rozpadu ładu społecznego. Państwo ma obowiązek wspierania akcji wychowawczej zapobiegającej powstawaniu przestępczości. Jednak alternatywa – wychowywać czy karać – jest fałszywa. Kara bezpodstawnie złagodzona nie wychowuje, skłania do bezkarności, a u pokrzywdzonego wywołuje uzasadnione poczucie krzywdy.

Wielki polski tomista ojciec Jacek Woroniecki pisał w *Katolickiej etyce wychowawczej*, że „pobłażliwość będąca niedomiarem surowości, jest także czymś złym, świadczy bowiem o obojętności na zło w życiu społecznym, które coraz bardziej ulega rozkładowi, gdy zapanuje w nim bezkarność". Podkreślał, że z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej można mówić o

prawie społeczeństwa

do sprawiedliwej kary.

Obóz zwolenników twardej polityki karnej i odbudowy silnego państwa jest dziś w mniejszości. Stać nas na drobne sukcesy i ograniczenie fali pobłażliwości wobec przestępców. Warunkiem poważnej zmiany jest zakwestionowanie ideologicznych fundamentów nowych kodeksów i przywrócenie prawu karnemu tradycyjnej funkcji. Prawo do kary musi stać ponad interesem przestępcy.

Alan Peyrefitte, któremu przyszło kierować francuskim resortem sprawiedliwości w drugiej połowie lat 70., pisał, że „tam gdzie ginie odwaga karania, zwycięża fałszywa litość, która popycha przeciwko ogółowi uczciwych ludzi całą armię złoczyńców". W książce *Wymiar sprawiedliwości. Między ideałem a rzeczywistością* stwierdzał: „Społeczeństwo, które nie wierzy już w znaczenie kar, nie wierzy już w wartość wolności". W Polsce w znaczenie kar muszą uwierzyć ludzie,

którzy ponoszą w najwyższym stopniu odpowiedzialność za wolność i bezpieczeństwo obywateli.

(„Życie”, 08.10.1998)

Bierność wraca

Dwadzieścia lat temu ukończyłem studia prawnicze w atmosferze radykalnej krytyki polityki karnej lat 80., posługującej się represją do walki z opozycją polityczną i zastraszania społeczeństwa. Podobnie jak większość moich koleżanek i kolegów związanych z opozycją i „Solidarnością" byłem zwolennikiem liberalizacji prawa karnego i szybkiej likwidacji państwa policyjnego.

Po odzyskaniu niepodległości ludzie „Solidarności" nie wiedzieli co zrobić, by demokratyczne państwo dysponowało siłą w walce z przestępczością. Środowisko byłej opozycji mimo upadku komunizmu wyrażało nieufność wobec instytucji odpowiadających za twarde funkcje państwa. Wiara, że samorząd sędziowski będzie gwarantem sprawnego sądownictwa była silnym elementem tej wizji. Ten typ myślenia szybko zaowocował bezradnością państwa w walce o bezpieczeństwo obywateli.

Moją intuicję, że demokracja nie musi oznaczać słabości w tej sferze potwierdziła lektura książki Alaina Peyrefitta, francuskiego ministra sprawiedliwości z końca lat 70. (Alain Peyrefitte, *Wymiar sprawiedliwości. Między ideałem a rzeczywistością*, Warszawa 1987). Gaullistowski minister dzielił się z czytelnikami doświadczeniem polityka, który odpowiadał za walkę z przestępczością i dobre funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości w warunkach państwa prawa i dojrzałej demokracji. Program Peyrefitta zakładał zaostrzenie reakcji karnej na ciężkie przestępstwa, krytykę ideologii skutkującej masową liberalizacją kar i poszukiwanie instytucjonalnych warunków umocnienia wymiaru sprawiedliwości w ramach zasad panujących w naszej cywilizacji. W swej książce pisał, że „społeczeństwo, które nie

rozumie znaczenia kary, nie docenia znaczenia wolności". Z pewnością poglądy podobne do idei Peyrefitta spotkałyby się w Polsce z krytyką środowisk, które doprowadziły do uchwalenia kodeksu karnego z roku 1997 i utożsamiają nowoczesną politykę karną z opcją, która zakłada, że resocjalizacja musi w każdej sytuacji wyprzedzać sprawiedliwą reakcję.

W moim najgłębszym przekonaniu Polsce potrzebna jest racjonalna polityka karna w duchu Peyrefitta. Polityka wolna zarówno od nadmiernej surowości, jak i ukształtowanej przez skrajny liberalizm pobłażliwości, która skutkuje praktyczną bezsilnością wobec przestępczości.

Wbrew temu, co mówi minister Ćwiąkalski, rządzący nie muszą wybierać między drakońskim kodeksem z 1969 roku a pełnym liberalizmem w tej sferze. Mogą z powodzeniem i korzyścią dla państwa i obywateli szukać realistycznych rozwiązań bez obawy, że zaostrzenie kar za najcięższe przestępstwa i umocnienie aparatu ścigania doprowadzi automatycznie do naruszenia zasad państwa prawa. Niestety, ani Zbigniew Ziobro ani Zbigniew Ćwiąkalski nie wybrali tej drogi. Pierwszy z nich zmarnował okazję podporządkowując swoje działania doraźnej i nastawionej na marketingowy efekt strategii, obecny minister odrzuca natomiast szukanie rozwiązań innych niż te, które dominowały w polityce karnej lat dziewięćdziesiątych. Zachowuje się tak, jakby w Polsce nie było przestępstw popełnianych przez recydywistów na przepustkach, bezsilności wobec chuligaństwa, kompromitacji prokuratorów odpowiedzialnych za zwolnienie Edwarda Mazura, rażących zaniedbań prokuratury w sprawie afery Rywina czy też opisywanych w oficjalnych raportach Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości gigantycznych opóźnień w postępowaniach sądowych.

W polityce ministra Ćwiąkalskiego istotna jest zatem nie opozycyjność wobec metody przyjętej przez ministra Ziobrę, ale praktyczne przejście do porządku dziennego nad przyczynami kryzysu państwa – słabością w walce z prze-

stępczością i niesprawnością sądownictwa. Przypomnijmy, że analizy wskazujące źródła kryzysu pojawiły się przed powstaniem PiS, a w czasie działania komisji śledczej ds. afery Rywina były formułowane przez polityków i ekspertów z wielu środowisk, także tych identyfikujących się z PO.

Polityka ministra Zbigniewa Ćwiąkalskiego nie próbuje jednak rozwiązać żadnego z rzeczywistych i ważnych problemów wymiaru sprawiedliwości. Oficjalne deklaracje rządu w dziedzinie reformy prawa karnego są bardzo ogólnikowe i sprowadzają się do zapowiedzi prac nad kompleksową reformą. Jeśli przyjrzymy się dokładniej wypowiedziom ministra sprawiedliwości, to nie będziemy mieć wątpliwości, że wszelkie zmiany odbywać się będą w ramach aksjologii i rozwiązań przyjętych w kodeksach karnych uchwalonych w 1997 roku. Minister powtarza dogmat o tym, że podstawowe znaczenie ma szybka reakcja na przestępstwo i nieuchronność kary. Ten argument mógłby być prawdziwy, gdyby nie fakt, że łagodność niektórych regulacji kodeksowych – np. w stosunku do recydywistów – powoduje osłabienie organów sprawiedliwości w działaniu. Tymczasem, ministerstwo idzie dalej i zapowiada np. zniesienie specjalnej odpowiedzialności karnej za występek o charakterze chuligańskim, które dodatkowo osłabi reakcję karną na bardzo dolegliwe dla obywateli przestępstwa. „Tam, gdzie ginie odwaga karania, zwycięża fałszywa litość, która popycha przeciw ogółowi uczciwych ludzi całą armię złoczyńców" – powiada Alain Peyrefitte we wspomnianej książce i doprawdy trudno doszukać się w tym cytacie wezwania do zemsty.

Przyjmijmy, że profesor Zbigniew Ćwiąkalski działa w dobrej wierze i ma rację przyznając zasadnicze znaczenie stosowaniu prawa, a nie jego zmianie. Wszakże pod warunkiem, że przedstawia projekt usprawnienia wymiaru sprawiedliwości i aktywnie mobilizuje prokuraturę do twardego działania. Tymczasem to, co mówi o zadaniach prokuratury obecny minister sprawiedliwości, wskazuje na to, że nie potrafi wyjść poza perspektywę właściwą dla obrońcy. Py-

tanie o to, czy adwokat może pełnić funkcję ministra sprawiedliwości zawiera w sobie nieuzasadnioną dyskwalifikację tego zawodu. Ale z chwilą objęcia funkcji ministra sprawiedliwości polityk staje się adwokatem interesu publicznego.

Wydaje się, że minister Ćwiąkalski świadomie tej roli nie chce podjąć. Projekt wyodrębnienia prokuratury z resortu sprawiedliwości oznacza przecież praktycznie „zalegalizowanie" bezczynności ministra – tym samym bezczynności demokratycznej władzy – w dziedzinie egzekucji praworządności. W reakcji na polityzację prokuratury dojdzie zatem do jej korporatyzacji, bo chodzi o coś więcej niż oddzielenie funkcji ministra od stanowiska prokuratora generalnego. Prokuratura ma znaleźć się poza rządem, a prokurator generalny ma być powołany spośród kandydatów wysuniętych przez Krajową Radę Sądownictwa i Krajową Radę Prokuratury. Tymczasem, to do ministra sprawiedliwości należy aktywny nadzór i kierowanie całością działań prokuratury albo przynajmniej – jak dzieje się to w Niemczech i Szwecji – nadzór nad podległą mu prokuraturą generalną. Dramatyczna sprawa porwania Krzysztofa Olewnika (syna płockiego biznesmena uprowadzonego dla okupu i zamordowanego w wyniku nieprawidłowości działania organów ścigania) jest przykładem patologii, do jakich dochodzi wtedy, gdy prokuratura nie podlega nadzorowi ze strony nieuwikłanej władzy dysponującej silnym mandatem demokratycznym.

Trzeba dodać, że wbrew deklaracjom rządu ulokowanie prokuratury poza władzą wykonawczą nie jest normą europejską, przypomina raczej rozwiązanie z czasów PRL. Przypomnijmy, że przyporządkowanie prokuratury ministrowi sprawiedliwości było jednym z demokratycznych postulatów programu „Solidarności" z 1981 roku. Podobnie normą europejską nie jest tak silna pozycja samorządu sędziowskiego, która eliminuje realny nadzór administracyjny nad sądami ze strony ministra sprawiedliwości. Z deklaracji ministra Ćwiąkalskiego wynika, że nie będzie poszukiwał

rozwiązań usprawniających sądownictwo. Działania takie nie muszą wywoływać ostrego konfliktu z korporacją sędziowską, ale powinny naruszać naiwne przekonanie, że samorząd zawodowy sam rozwiąże te problemy. Bierność w tej dziedzinie oznacza zgodę na niesprawność sądownictwa zauważaną nawet z pozycji przychylnych dla dokonań III Rzeczpospolitej. Warto zastanowić się nad głosem Leszka Balcerowicza, który w niesprawności sądów widzi jedną z przyczyn spowalniających rozwój gospodarczy.

Piszę te słowa z uczuciem zawodu i bez najmniejszej satysfakcji. Pomimo różnic w podejściu do wymiaru sprawiedliwości mam szacunek dla dorobku profesora Ćwiąkalskiego i jego postawy w stanie wojennym. Jednak wygodna strategia, którą wybrał jako minister sprawiedliwości, oznacza brak reakcji na rzeczywiste słabości polskiego wymiaru sprawiedliwości. Oznacza także zwycięstwo optyki korporacyjnej nad dobrem publicznym, które domaga się poważnych zmian. Każdy obserwator polskiej sceny publicznej wie, że sondażowy rachunek pozwala na prowadzenie takiej polityki ze względu na silny społeczny sprzeciw wobec polityki PiS-u. Jednak cena niskiej efektywności wymiaru sprawiedliwości i opóźnień w postępowaniach sądowych zostanie zapłacona przez obywateli. Zapłacimy ją również z tego względu, że niepewność prawa i niesprawność sądownictwa jest jednym z czynników pomniejszających atrakcyjność inwestowania w Polsce. Prawo cywilne już w czasach rzymskich znalazło określenie dla szkody wynikającej z braku możliwości działania. *Lucrum cessans* – zysk utracony, w tym wypadku poniesiony z powodu braku dobrej i odważnej polityki.

(„Gazeta Wyborcza”, 19.05.2008)

Prokuratura poza państwem

Każdy, kto wierzy, że państwo jest wspólnotą służącą dobru wspólnemu, nie mógł przejść obojętnie wobec publicznej konfrontacji wewnątrz kierownictwa prokuratury. W państwie dojrzałym rzecz taka skończyłaby się natychmiastowymi dymisjami i refleksją nad jej modelem ustrojowym. Widać gołym okiem, że w Polsce nawet rzeczy tak skandaliczne, jak wyreżyserowanie samobójstwa przez prokuratora Mikołaja Przybyła w obronie interesów partykularnych prokuratury wojskowej nie spotka się z odpowiednią reakcją. Prezydent i premier unikają odpowiedzialności. Pierwszy z nich bije rekordy wstecznictwa i broni odrębnego statusu prokuratury wojskowej wraz z jej przywilejami. Drugi manipuluje opinią publiczną, markując wolę reform, za którą, jak zwykle, kryje się bezczynność i tolerowanie patologii.

Wszystko wskazuje na to, że zostanie po staremu. Prokurator Krzysztof Parulski zachowa stanowisko, odrębna prokuratura wojskowa, która nie ma racji bytu i jest sprzeczna z cywilizowanymi standardami, nadal będzie istnieć.

A kryzys tej miary powinien spotkać się z poważną reakcją prawną. Ta gorsząca konfrontacja segmentu wojskowego prokuratury z prokuratorem generalnym wpisana jest w logikę złego systemu. Kilka lat temu rząd PO pod hasłami niezależności prokuratury ulokował ją poza państwem i z tą chwilą przestała być ona odpowiedzialna przed instytucjami demokratycznymi.

Z chwilą gdy prokuratura znalazła się poza rządem, a minister sprawiedliwości przestał być prokuratorem generalnym, instytucja ta nie ponosi już odpowiedzialności przed parlamentem i opinią publiczną. Istota polega na tym, że prokurator generalny nie może być odwołany przez mi-

nistra sprawiedliwości za rażące błędy. W takiej sytuacji ani błędy w przypadku śledztw o ściśle państwowym charakterze, takich jak śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej, ani też bezczynność wobec faktów popełnienia kryminalnych przestępstw nie mogą być podstawą do wyciągnięcia konsekwencji personalnych.

Wypada przypomnieć, że żadne z dojrzałych państw europejskich, takich jak Niemcy, Francja czy Wielka Brytania, nie pozwoliło sobie na wydzielenie prokuratury poza państwo. We Francji prokuratorzy powoływani są na mocy decyzji rządu. Odpowiednia sekcja tamtejszej Najwyższej Rady Sądownictwa ma wyłącznie opiniodawcze kompetencje. Podobnie w Niemczech prokurator generalny przy Trybunale Federalnym podlega federalnemu ministrowi sprawiedliwości.

W Polsce powinniśmy zastosować podobny model. Taki był zresztą przemilczany dziś programowy postulat pierwszego zjazdu NSZZ „Solidarność". W 1981 r. „Solidarność" postulowała podporządkowanie prokuratury ministrowi sprawiedliwości.

Warto podkreślić, że „niezależność" prokuratury przypomina model jej funkcjonowania w PRL. Przed 1989 r. – polecam lekturę konstytucji z 1952 r. – była wydzieloną instytucją. Prokuratora generalnego powoływała Rada Państwa i znajdował się on poza strukturą rządu. Realia systemu stawiały prokuratorów ponad administracją obok uprzywilejowanych instytucji PZPR i SB. W skali województw przed 1989 r. pozycja prokuratora wojewódzkiego, podobnie jak szefa SB, też miała wyjątkowy charakter. „Państwo partii" jednak przestało istnieć i powinniśmy bronić jedności i powagi nowego państwa.

Niestety, za sprawą PO prokuratura wróciła do dawnego modelu, z tą różnicą, że po powołaniu Krajowej Rady Prokuratury stała się samorządną korporacją ze wszystkimi tego złymi skutkami. Powrót prokuratury do państwa jest wymogiem dobra wspólnego i rzeczywistej demokracji.

Wypada zauważyć, że minister Jarosław Gowin stara się nie autoryzować polityki Donalda Tuska i Bronisława Komorowskiego. Nie może jednak poprzestawać na komentarzach i stwierdzeniach, że „konflikt w prokuraturze potrwa jeszcze bardzo długo". Minister sprawiedliwości powinien w najbliższych dniach przedstawić projekt ustawy przywracający prokuraturę państwu.

(„Nasz Dziennik", 24.01.2012)

Nowy despotyzm

Wielcy obrońcy wolności i krytycy ustrojów despotycznych, tacy jak Locke i Monteskiusz, nie byli w stanie przewidzieć zagrożeń stwarzanych przez współczesne systemy informatyczne. Ten niezwykle niebezpieczny instrument kontroli obywateli pojawił się na naszych oczach wraz z rozwojem nowoczesnych technologii informatycznych. Dlatego też zgoda na gromadzenie danych indywidualnych przez instytucje władzy publicznej i korporacje powinna być udzielana w wyjątkowych wypadkach. To kwestia prawa osoby ludzkiej do prywatności, będącego podstawą cywilizacji Zachodu. Tymczasem gromadzenie coraz to nowych danych indywidualnych w powszechnych i przymusowych systemach informatycznych przechodzi bez głośnego protestu. Nie tak dawno uchwalono ustawę o systemie informacji w ochronie zdrowia, która spotkała się z krytycznymi opiniami, wypowiedzianymi także przez Głównego Inspektora Ochrony Danych Osobowych.

Jednak ustawa o systemie informacji oświatowej powinna wywołać nasz sprzeciw. Ministerstwo Edukacji Narodowej dąży bowiem do utworzenia nowego systemu informatycznego, w którym gromadzone będą dane indywidualne o każdym dziecku od przedszkola do matury. Dotychczas gromadzone były jedynie dane zbiorcze ułatwiające ocenę stanu edukacji. Danymi indywidualnymi dysponowała szkoła. Teraz planuje się gromadzenie w systemie informatycznym danych indywidualnych, w tym danych wrażliwych, jak rodzaj niepełnosprawności, zagrożenie niedostosowaniem społecznych, a nawet diagnoza psychologiczna.

Nie możemy mieć wątpliwości, że chodzi o dane dotyczące najbardziej delikatnej sfery prywatności. Opinia Pol-

skiego Towarzystwa Psychologicznego nie pozostawia żadnych wątpliwości i nie mogę zrozumieć, dlaczego rząd po jej ogłoszeniu nie zmienił swojego stanowiska w tej sprawie. Ministerstwo Edukacji Narodowej idzie taranem przez Sejm, nie zważając na głosy w obronie prawa do prywatności i praw rodziców. Polskie Towarzystwo Psychologiczne stwierdza, że „wprowadzenie do bazy informacji oświatowych danych tak wrażliwych, jak: rodzaj niepełnosprawności, zagrożenie niedostosowaniem społecznym, objęcie pomocą psychologiczno-pedagogiczną spowoduje naznaczenie dziecka określoną etykietą wartościującą, która w konsekwencji zdeterminuje sposób traktowania go na dalszych szczeblach edukacji". Opinia Towarzystwa wskazuje na niebezpieczeństwo stygmatyzacji dziecka, polegającej na postrzeganiu go wyłącznie przez pryzmat negatywnych orzeczeń wprowadzonych do systemu raz na zawsze. Tej przestrogi przed krzywdą wyrządzaną dziecku nie można przemilczeć.

Warto dodać, że Polskie Towarzystwo Psychologiczne podważa sens samego gromadzenia indywidualnych danych o uczniach i zwraca uwagę na to, że rodzice mogą powstrzymywać się od korzystania z opieki psychologicznej w obawie przed ujawnieniem danych. Tym bardziej, że przewiduje się ich gromadzenie bez zgody rodziców. Warto zwrócić uwagę na ten fragment opinii, w którym PTP przypomina o obowiązku zachowania tajemnicy zawodowej przez psychologów oraz o tym, że prawo do zapoznania się z orzeczeniem mają tylko prawni opiekunowie dziecka.

W jakich przypadkach władza publiczna ma prawo gromadzić dane indywidualne? Wtedy, gdy przemawiają za tym bezwzględne wartości konstytucyjne, wśród nich bezpieczeństwo państwa i ochrona zdrowia obywateli. Pani minister Hall powiada, że ustawa o systemie informacji oświatowej ma służyć usprawnieniu polityki oświatowej. Czy możemy zgodzić się z poglądem, że umieszczenie diagnozy psychologicznej o młodym człowieku jest warunkiem

sprawnej polityki edukacyjnej? Jeśli wyrazimy na to zgodę, będzie można zbierać każdy rodzaj danych wrażliwych ze względu na usprawnienie polityk resortowych. Jeśli pomimo protestów społecznych rząd nie wycofa się z tej ustawy, złożę wniosek do Trybunału Konstytucyjnego z nadzieją, że nadal będzie bronił prawa do prywatności przed nowym despotyzmem.

I jeszcze jeden powód, dla którego warto protestować. Władza powinna pokazywać siłę tam, gdzie pojawia się prawdziwe niebezpieczeństwo i zagrożenie dla wolności. Tymczasem jest często bezradna wobec zorganizowanej przestępczości, ustępuje nieraz wobec barbarzyństwa chuliganów na stadionach, natomiast wobec ludzi uczciwych i bezbronnych demonstruje siłę, nie bacząc na podstawowe wolności i prawa. Nie możemy zgodzić się, by bez zgody rodziców dane wrażliwe o dziecku umieszczane były w systemie informatycznym. To kwestia ochrony dobra dziecka, prawa do prywatności i praw rodziny.

(„Gazeta Wrocławska", 16.04.2011)

Pamięć i przyszłość

Państwowiec osobliwy

„Tezą naszą jest, że polityka polska dopiero *à la longue* będzie mogła stanąć na wysokości zadań, kiedy zostanie przez konstytucję od ingerencji ludu i jego 444 reprezentantów uniezależniona i kiedy zależeć będzie tylko od jednego człowieka, od Naczelnika Państwa. Teza ta jest wyrozumowana nie na jakiejś podstawie antydemokratycznej czy innej; jest ona przede wszystkim spostrzeżeniem historycznym. Historia, i to nie tylko historia Polski, która zresztą w tym wypadku wydaje się być szczególnie wymowną, ale historia w ogóle stwierdza, że pierwszym i naczelnym warunkiem dobrej polityki zagranicznej jest uniezależnienie jej od ślepych sił demagogicznych i stworzenie potężnej i świadomej siły wyłącznie państwowej".

Autor tych słów, Adolf Bocheński (1909-44), wywodził swoją tradycję z politycznego myślenia krakowskich stańczyków, ze szkoły Stanisława Tarnowskiego, Józefa Szujskiego i Michała Bobrzyńskiego. Podobnie jak stańczycy w centrum zainteresowań stawiał problem siły państwa i domagał się wzmocnienia władzy wykonawczej. W pracy *Ustrój a racja stanu*, z której pochodzi ten cytat, pisał, że ustrój polityczny musi być tak skonstruowany, by gwarantował stałość i spójność polskiej polityki zagranicznej. Kraj walczący o utrzymanie niepodległości nie może sobie pozwolić na to, by o polityce zagranicznej i obronie decydowały gry stronnictw sejmowych.

Monarchista z rozsądku

Książka ukazała się dwa lata po zamachu majowym, który położył kres systemowi rządów parlamentarno-gabineto-

wych. Gdy myślimy o ówczesnych sporach, musimy pamiętać, iż nie tylko marszałek Piłsudski i jego zwolennicy opowiadali się wówczas za zmianą Konstytucji marcowej. Kilka miesięcy przed zamachem prof. Roman Rybarski, wybitny przedstawiciel Narodowej Demokracji, pisał na łamach „Myśli Narodowej" o głębokim kryzysie parlamentaryzmu, postulował stworzenie silnego rządu i odbudowę ładu publicznego. W podobnym duchu pisali prawnicy i publicyści związani z endecją i innymi ugrupowaniami uczestniczącymi w przedmajowych rządach parlamentarnych, tacy jak Wacław Komarnicki, Edward Dubanowicz czy Bohdan Wasiutyński.

Młody Bocheński krytykował Konstytucję marcową radykalnie. Uważał, że system polityczny uformowany pod jej rządami uniemożliwiał budowę silnego państwa. Hegemonia Sejmu, proporcjonalna ordynacja wyborcza umacniająca pozycję aparatów partyjnych, słabość rządu składały się na państwo pozbawione skutecznej władzy. Jego zdaniem idei silnego państwa najlepiej odpowiada ustrój monarchiczny. Dodajmy, że w jego pojęciu monarchia to takie rozwiązanie ustrojowe, w którym cała władza wykonawcza podporządkowana była królowi. Za monarchią przemawiały jego zdaniem argumenty pragmatyczne: „We wszystkich dziedzinach życia państwowego, czy to będzie polityka zagraniczna, ekonomiczna, czy rozbudowa floty, dokonanie czegoś naprawdę trwałego wymaga dłuższego czasu. Gdy ustrój nie zapewnia rządowi pozostawania przez kilkuletni co najmniej okres przy sterze, istnieje tylko bardzo nikłe prawdopodobieństwo, by państwo mogło zrobić krok naprzód w hierarchii międzynarodowej... Zagadnienie stałości władzy również wskazuje dobitnie na konieczność rządów człowieka, który by ją posiadał konstytucyjnie zapewnioną na jak najdłuższy okres czasu".

Autor *Ustroju i racji stanu* był zatem monarchistą pragmatycznym. Opowiadał się za monarchią, bo ona mogła zapewnić stałość władzy w najważniejszych dla państwa

dziedzinach. „Tak" dla monarchii nie wypływało z motywów religijnych czy tradycjonalistycznych, jak to miało miejsce w przypadku Mariana Zdziechowskiego, Hieronima Tarnowskiego czy Kazimierza Mariana Morawskiego.

Konstytucja – tak, ordynacja – nie

W latach trzydziestych stanowisko Bocheńskiego ewoluuje w kierunku rozwiązań, które dziś określilibyśmy mianem prezydencko-parlamentarnych. Krytyka „sejmokracji" nie prowadziła go do przyjęcia rozwiązań autorytarnych. Co więcej, gdy obóz rządzący zmierzał do eliminacji opozycji z życia politycznego, gdy starał się podporządkować sobie sądownictwo, uniwersytety i stowarzyszenia społeczne, Bocheński należał do głównych przeciwników tej polityki. Zwalczał ją w imię wolności i... siły państwa. Twierdził bowiem, że autorytaryzm wywołuje kryzysy polityczne, pcha opozycję do działań nielegalnych, przez co osłabia państwo w stopniu nie mniejszym niż ustrój nieograniczonej wolności. W artykule *Dwie konstytucje* pisał: „Konstytucja gwarantująca w bardzo dużym stopniu legalną stałość może z największą łatwością doprowadzić do niestałości nielegalnej".

Propozycje ustrojowe Adolfa Bocheńskiego szły w kierunku przywrócenia równowagi między autorytetem władzy a wolnością polityczną. Sądził, że obszar dyplomacji i armii powinien zostać wyłączony z demokratycznej rywalizacji i w całości powierzony prezydentowi. W pozostałych kwestiach obowiązywać powinny reguły parlamentaryzmu. Jednym słowem, Bocheński domagał się realizacji nie tylko litery, ale również ducha Konstytucji kwietniowej:

„Wyrazem potrzeby siły i wolności oraz należytego między nimi kompromisu jest Konstytucja kwietniowa. Dlatego też stoimy na gruncie tej konstytucji, domagając się jednak szczerego wykonania nie tylko jej litery, ale również i ducha: uczciwego wypełniania nie tylko tych przepisów, które mówią o uprawnieniach władzy wykonawczej, lecz również tych, które mówią o współudziale obywateli w pra-

cy państwowotwórczej. Odsunięcie społeczeństwa od tej pracy, zepchnięcie obywateli do roli biernych, zalęknionych i w głębi duszy nienawidzących autokratyzmu poddanych jest prawie równym nieszczęściem jak rządy liberalno-parlamentarne".

W pierwszej kolejności chodziło o wprowadzenie w życie konkurencyjnej ordynacji wyborczej, dającej możliwość legalnego dochodzenia opozycji do władzy bez naruszania stałej linii polityki państwa w dziedzinie polityki zagranicznej. Uchwalenie ordynacji wyborczej dającej spadkobiercom Józefa Piłsudskiego „władzę na własność", Bocheński traktował jako wynaturzenie Konstytucji kwietniowej, nie zaś jej urzeczywistnienie.

Pułkownicy do koszar

Bocheński uznawał zasługi historyczne i autorytet marszałka Piłsudskiego, kwestionował jednak niejednokrotnie politykę jego najbliższych zwolenników. Współpracował z prosanacyjnym, wydawanym przez Jerzego Giedroycia pismem „Bunt Młodych", przekształconym następnie w „Politykę". Gdy jednak sanacja sięgnęła po brutalne metody walki politycznej i utworzyła obóz w Berezie Kartuskiej, doszło do dwuletniego konfliktu Adolfa Bocheńskiego i Ksawerego Pruszyńskiego z bardziej ugodowym wobec obozu rządzącego Giedroyciem. W roku 1934 Bocheński na znak protestu chciał zgłosić się do Berezy jako dobrowolny więzień. W ostatniej chwili uległ namowom brata Aleksandra i wycofał się z pomysłu. Efektem sporu z Giedroyciem było powołanie do życia dwutygodnika „Problemy", otwarcie krytykującego politykę rządu. Właśnie na łamach tego pisma ukazał się tekst pt. *Rusyfikacja Polski współczesnej*, w którym Bocheński postawił Pułkownikom najcięższy zarzut przenoszenia na grunt polski wschodniej kultury politycznej: „Dziś rusyfikację ustroju wewnętrznego w Polsce robią ludzie, których głównym puklerzem są zasługi poniesione w walce politycznej z Rosją. Ten system, przeciw któremu protestowali-

śmy u Nowosilcowa i u Kunty, nie wywołuje takiego odruchu, gdy robiony jest przez Biernackiego i Klukowskiego. Staczamy się zupełnie w przepaść, u dna której znajduje się zupełny podbój Polski przez kulturę rosyjską".

Zakochany w polskiej tradycji wojskowej Bocheński nie wahał się pisać o „koszaryzacji życia politycznego" spowodowanej coraz większą rolą wojskowych, których mentalność prowadzi do etatyzmu, rządów przymusu i upadku poczucia samoczynnego patriotyzmu. „Reżim pomajowy ma w Polsce do spełnienia wielką misję. Misją tą jest obrona kraju przed barbarzyńskimi prądami zagrażającymi jej na zewnątrz z lewej strony i ze strony prawej. Misją tą jest zamienienie Polski na państwo zachodnioeuropejskie, oparte na swobodnych, zamożnych, z dobrowolnym przywiązaniem odnoszących się do Rzeczypospolitej obywateli. Misji tej reżim pomajowy nie spełni, jeśli opierać się będzie na metodach rządzenia, a zwłaszcza gospodarowania siłami wybrakowanej stupajkowszczyzny wojskowej".

Krytykował też Adolf Bocheński obóz belwederski za kwestionowanie autonomii wyższych uczelni, za ograniczanie praw samorządu terytorialnego i za tendencje etatystyczne w gospodarce. Bronił własności prywatnej i indywidualnej inicjatywy ekonomicznej, przeciwstawiał się popularnym w latach trzydziestych wezwaniom do rozszerzenia udziału państwa w życiu gospodarczym. W jednym z listów do swego kolegi z „Buntu Młodych" Mieczysława Pruszyńskiego stwierdzał:

„Chociażbym miał być zupełnie sam, chociażbym miał zwichnąć całą moją karierę polityczną, będę zawsze głosił te rzeczy, które uważam za zasadnicze i bez których państwo cywilizowane nie może się obejść. Najniebezpieczniejszą cechą młodego pokolenia, i to całego, tak endecji, jak i lewicy, jest wrogie ustosunkowanie się do a) kapitalizmu b) wolności politycznej, czyli do tej czy innej formy parlamentaryzmu. Jest to potężny prąd, który zagraża w ogóle podstawom cywilizacji w Polsce i w Europie. Za nasz obowiązek

uważam stworzenie potężnego ruchu umysłów w przeciwnym kierunku".

Bocheński był dziwnym państwowcem. Podczas gdy myśl państwowa w latach trzydziestych i po wojnie szła w całej Europie w kierunku centralizmu i etatyzmu, twierdził, że silne państwo musi być zdecentralizowane i nie powinno mieć ambicji, żeby sprawować kontrolę nad gospodarką.

Otwarcie na Ukraińców

W wydanych przed dwudziestoma kilkoma laty *Stylach politycznego myślenia* Marcin Król ukazał Adolfa Bocheńskiego niemal wyłącznie jako antagonistę Narodowej Demokracji. Tymczasem spór z endecją miał w niemałym stopniu charakter debaty wewnętrznej, był rywalizacją o rząd dusz młodego pokolenia. Istniał również obszar spraw ważnych i wspólnych dla całej prawicy. Adolf Bocheński bronił Kościoła i tradycyjnego świata wartości przed atakami środowisk lewicowo-liberalnych. Zachowały się jego gwałtowne polemiki z „Wiadomościami Literackimi" i kosmopolitycznym przesłaniem sztuki Antoniego Słonimskiego „Rodzina". Wielokrotnie polemizował z radykalnymi poglądami Tadeusza Boya-Żeleńskiego na obyczajowość.

Spór z publicystyką narodowodemokratyczną odnosił się do rozumienia interesu narodowego i roli państwa. „Różnica zasadnicza między polskim konserwatyzmem a nacjonalizmem, między szkołą Bobrzyńskiego i Mackiewicza a szkołą Dmowskiego leży nie w celu, który u obu jest ten sam, lecz w środkach, które do tego celu, do wielkości Narodu prowadzić mają". Bocheński uważał, że interes narodowy zależy od siły państwa. „W ogóle w walce o byt walczą bezpośrednio nie narody, lecz państwa. Im który naród posiada silniejsze państwo, tym wyższe zajmuje stanowisko w hierarchii narodów i tem łatwiej potrafi się obronić". Z tego właśnie względu Bocheński przeciwstawiał się endeckiej koncepcji polityki wobec mniejszości ukraińskiej.

Uważał, że dążenie do jej zasymilowania prowadzi do walk wewnętrznych, kryzysu państwa, a co za tym idzie – do osłabienia pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Dla Bocheńskiego ważny był nie fakt istnienia mniejszości narodowych, lecz to, jaką postawę zajmują wobec państwa, lojalną czy rewolucyjną, pozytywną czy negatywną. W polemice ze Stanisławem Grabskim pisał, że „między interesem narodu a jego etnograficznym rozprzestrzenianiem się nie ma stałego związku i wręcz odwrotnie – jest najczęściej zupełna sprzeczność". Proponował prowadzenie wobec Ukraińców polityki liberalnej, zmierzającej do pozyskania ich dla państwowości polskiej. Uważał za konieczne rozszerzenie ich swobód kulturalnych, uznanie języka ukraińskiego za drugi język urzędowy i wyrażenie zgody na otwarcie uniwersytetu ukraińskiego. Opowiadał się też za reformą ordynacji wyborczej do samorządu lokalnego, która zapewniłaby równą reprezentację Polaków i Ukraińców. Liczył, że dzięki temu dojdzie do współpracy obu narodów na obszarach mieszanych.

Bocheński wierzył w możliwość zgodnego życia Polaków i mniejszości narodowych pod dachem Rzeczypospolitej. Jego program mniejszościowy nie rościł sobie pretensji do rozwiązania problemu stosunków polsko-ukraińskich raz na zawsze. Wysunięty przez piłsudczyka Tadeusza Hołówkę i działacza PPS Mieczysława Niedziałkowskiego pomysł przyznania mniejszości ukraińskiej autonomii terytorialnej uznawał za przedwczesny. Był rzecznikiem poglądu, że liberalna polityka mniejszościowa ma sens, jeśli towarzyszyć jej będzie tępienie szowinizmu i popieranie „wszelkimi godziwymi środkami naturalnych dążeń narodu polskiego do rozwoju własnych instytucji".

Z Niemcami, przeciw Rosji

Drugim obszarem sporu ze szkołą Romana Dmowskiego była polityka zagraniczna. Kariera dyplomatyczna Bocheńskiego trwała bardzo krótko, w roku 1936 był urzędnikiem w posel-

stwie polskim w Pradze. Ze stanowiskiem musiał się pożegnać, gdy publicznie skrytykował postępowanie władz polskich wobec Wincentego Witosa, który w Czechosłowacji schronił się przed prześladowaniem.

Poglądy na kwestie zagraniczne Adolf Bocheński wyłożył w opublikowanej w 1937 roku pracy zatytułowanej *Między Niemcami a Rosją*. Od wydawcy – Jerzego Giedroycia – zażądał, by książka ukazała się bez jakiejkolwiek dotacji ze strony MSZ. Praca jeszcze dziś może służyć jako podręcznikowy przykład erudycyjnej rozprawy politycznej. Była wykładem oryginalnej we wnioskach, zdecydowanie antysowieckiej koncepcji. Jej istotę stanowiło przekonanie, że największym zagrożeniem interesów państwa polskiego jest sojusz Rosji z Niemcami. Sojusz ten może zostać zawiązany niezależnie od ideologicznych różnic. „Opierać politykę polską na nadziejach, że Rzesza Niemiecka będzie wbrew swemu interesowi narodowemu prowadzić politykę pochodzącą wyłącznie z niechęci do komunizmu w Rosji, tzn. chcieć budować zamki na lodzie, względnie kręcić bicze z piasku". Bocheński uważał więc, że naczelnym obowiązkiem polityki polskiej jest odsuwanie tego niebezpieczeństwa poprzez podtrzymywanie antagonizmu niemiecko-rosyjskiego. W tym celu wspierać trzeba bardziej agresywnego i zaczepnego uczestnika sporu – Niemcy. W dalszej perspektywie Polska powinna osłabić potęgę jednego ze swych wielkich rywali. Bocheński przekonywał, że w dobie nacjonalizmów słabszy jest wielonarodowy moloch – Związek Radziecki. Uważał, że osłabienie Rosji Sowieckiej poprzez wytworzenie na jej zachodnich granicach kilku państw narodowych zażegna niebezpieczeństwo koalicji niemiecko-rosyjskiej.

Polska miała być państwem rewizjonistycznym, to znaczy stawiającym na zmianę układu wytworzonego po I wojnie światowej. „Musimy zrozumieć, że tylko radykalna zmiana konfiguracji terytorialnej Europy Wschodniej może nas w przyszłości uchronić przed koalicją niemiecko-

rosyjską". Bocheński formułował swe koncepcje w okresie relatywnego ocieplenia stosunków polsko-niemieckich po 1934 roku i w tym czasie bagatelizował możliwość skierowania ekspansji Niemiec przeciwko Polsce. Nie dostrzegał też niebezpieczeństwa związanego z przemarszem wojsk niemieckich w ramach wspólnej akcji przeciw ZSRR. W momencie gdy Niemcy wysunęły roszczenia rewindykacyjne, jednoznacznie wypowiadał się przeciwko polityce ustępstw, stojąc na stanowisku, że na „wszelką próbę pomniejszenia terytorium możemy odpowiedzieć tylko zbrojnie".

Historia zaprzeczyła logicznym wywodom Bocheńskiego. Jednak wartościowa, co więcej – aktualna jest proponowana przez niego metoda myślenia o polityce zagranicznej. Adolf Bocheński uważał, że wyłączną dyrektywą polityki polskiej powinna być racja stanu, a dokładnie – potęga państwa mierzona stosunkiem sił na arenie międzynarodowej. Celu tego nie wolno poświęcać na ołtarzu ideologicznych planów i historycznych sympatii. Zarzut ideologizacji polityki polskiej odnosił przede wszystkim do profrancuskiego nastawienia endecji. W najbardziej pasjonujących fragmentach *Między Niemcami a Rosją* kulturowy frankofil, jakim był Bocheński, dowodził istnienia „nieuchronnej" sprzeczności między interesami Rzeczypospolitej a polityką Francji, która poszukuje najsilniejszego partnera pozwalającego zrównoważyć wzrost potęgi Niemiec. Polska w takiej optyce musiała przegrać z Rosją.

Bocheński uważał, że polityką zagraniczną rządzi zasada dynamizmu. Nie wolno więc apriorycznie wskazywać dobrych i złych sąsiadów Polski. Uważał, że błędem szkoły Dmowskiego było zapoznanie elementarnej zasady dynamizmu stosunków międzynarodowych i wypowiadanie poglądu o wiecznie dobrych i złych sąsiadach Polski.

Gdy koncepcja się nie sprawdziła...

Z chwilą wybuchu wojny Adolf Bocheński uznał, że jego proniemieckie koncepcje geopolityczne poniosły klęskę.

Wybrał służbę wojskową, propozycje pracy w dyplomacji i prasie konsekwentnie odrzucał. W *Autobiografii na cztery ręce* Jerzy Giedroyc napisał: „Dla Adzia sprawą zasadniczą była zgodność słów i czynów. Gdy jego koncepcja współpracy z Niemcami przegrała, poszedł do wojska i dał dowody wielkiej odwagi. Był zbyt religijny, by popełnić samobójstwo, ale szukał śmierci". Rzeczywiście, zasłynął jako żołnierz szaleńczej odwagi, kochany i szanowany przez podwładnych. W roku 1939 ze względu na zły stan zdrowia nie został zmobilizowany, właściwie wkupił się do pułku ułanów. Jego brat Józef, uczestnik kampanii roku 1920, nie dawał mu żadnych szans w wojsku ze względu na słabe zdrowie i indywidualizm. Tymczasem Adolf przedarł się do Francji, walczył w Norwegii, kampanii francuskiej, by później stać się jednym z najsłynniejszych żołnierzy Brygady Karpackiej. Wokół jego czynów wojskowych i stosunku do podwładnych urosła legenda. Zginął, rozbrajając minę pod Ankoną 18 lipca 1944 roku.

Co stałoby się z Adolfem Bocheńskim po zakończeniu wojny? Spora grupa współpracowników „Polityki" wybrała współpracę z nowym reżimem. Brat Adolfa Aleksander inspirował powołanie PAX-u i tuż po wojnie ogłosił *Dzieje głupoty w Polsce*, ostrą krytykę tradycji powstańczo-niepodległościowej. Zdaniem ludzi tak różnych jak Jerzy Giedroyc i Józef Mackiewicz to on „wymyślił" powojenną rolę Bolesława Piaseckiego. Ksawery Pruszyński, Jan Meysztowicz, Józef Winiewicz służyli w PRL-owskiej dyplomacji. Powody tak szerokiego udziału ludzi tego środowiska w oficjalnym życiu politycznym PRL wymagają osobnej refleksji.

Cała droga życiowa Adolfa Bocheńskiego zwracała go w przeciwnym kierunku i wykluczała aktywność w państwie pozbawionym niepodległości. Chodzi nie tylko o wzgląd moralny, ale również o czynnik czysto intelektualny. Wszystkie jego koncepcje polityczne wiązały się z istnieniem niepodległego państwa polskiego, musiałby zatem szukać sposobów odzyskania niepodległości jako warunku

prowadzenia polityki polskiej. Benedykt Heydenkorn, jeden ze współpracowników „Polityki", uważał, że Bocheński powróciłby do idei odbudowy stosunków polsko-niemieckich. Nieliczne teksty, które publikował w czasie wojny na łamach „Orła Białego", wskazują na trwałość jego zapatrywań w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich. Powojenna linia „Kultury" jest w niemałym stopniu kontynuacją publicystyki Adolfa Bocheńskiego.

Trudno sobie wyobrazić myśl polityczną Bocheńskiego w warunkach braku suwerennego państwa, gdy trzeba było pogodzić się z ewolucyjnym i długofalowym odzyskiwaniem niepodległości. W tym miejscu dotykamy słabej strony jego koncepcji politycznych. Pewien anachroniczny rys myśli politycznej autora *Między Niemcami a Rosją* bierze się z XIX-wiecznego widzenia polityki. Podobnie jak wielu innych przedstawicieli kierunku konserwatywnego redukował rację stanu do militarno-dyplomatycznego położenia państwa. W przeciwieństwie do ludzi swojego pokolenia, Stefana Kisielewskiego czy Wojciecha Wasiutyńskiego, zapoznawał kulturowe i cywilizacyjne czynniki rozwoju narodowego, które w XX wieku odegrały rolę kluczową. W roku 1945 cała metodologia myśli Adolfa Bocheńskiego musiałaby ulec rewizji.

Jednak błędy Bocheńskiego nie mogą przyćmić zalet jego myśli: chłodnej analizy ustrojowej, poszukiwania równowagi między umocnieniem państwa a wolnością, świetnej argumentacji w myśleniu o sprawach międzynarodowych, słowem – tych wartości, które pozwoliły Catowi-Mackiewiczowi widzieć w nim pierwsze pióro młodej publicystyki.

(„Gazeta Wyborcza", 30.11.2002)

Dziedzictwo Ruchu Młodej Polski

W sierpniu minęła dwudziesta rocznica powstania Ruchu Młodej Polski, pierwszego prawicowego ugrupowania opozycji demokratycznej. Członkowie RMP uczestniczyli w strajku w Stoczni Gdańskiej i brali udział w tworzeniu „Solidarności". Później jako grupa „Polityki Polskiej" stanowili jedno z najbardziej twórczych środowisk politycznych. Kres istnienia politycznego RMP przypadł na okres odzyskania niepodległości. Do dziś jednak istotne pozostają jego dorobek ideowo-polityczny i dziedzictwo.

Osoba, naród, niepodległość

Podstawową zasługą Ruchu Młodej Polski było odtworzenie ciągłości polskiej myśli politycznej i przedstawienie, pod koniec lat siedemdziesiątych, propozycji ideowo-programowej wychodzącej poza horyzont „demokratycznego socjalizmu". RMP jako jedyne spośród ugrupowań opozycyjnych prezentowało wyrazisty profil ideowy i przedstawiało „personalistyczno-narodową" wizję życia publicznego. Na łamach młodopolskiego „Bratniaka" przywódca Ruchu Aleksander Hall bronił dorobku znienawidzonej przez lewicę Narodowej Demokracji i upominał się o myślenie w kategoriach interesu narodowego.

Ogłoszona w sierpniu 1979 roku *Deklaracja ideowa RMP* uznawała dobro osoby ludzkiej za najwyższy cel każdej struktury społecznej i państwowej: „Człowiek, osoba ludzka, jej dobro i rozwój, to podstawowa wartość, najwyższy cel, któremu winna służyć każda struktura społeczna i każda forma organizacji politycznej społeczeństwa. Struktury te powinny być kształtowane w taki sposób, aby stwarzały

każdemu człowiekowi pełne warunki samorealizacji. Kładziemy akcent na słowa *każdemu człowiekowi*, bo tylko przyjęcie całkowitej powszechności tej zasady nadaje jej rzeczywisty sens. Podważanie zasady powszechności otwiera możliwość uzależnienia człowieka od struktur społecznych i politycznych, wobec których staje się on obiektem manipulacji, a nie podmiotem. Tylko oparcie życia społecznego na zasadzie podmiotowości każdego człowieka umożliwia budowanie sprawiedliwego świata".

Deklaracja stwierdzała jednak, że prawa i wolności osoby ludzkiej powinny być widziane w związku z powinnościami wobec drugiego człowieka, narodu, państwa i całej rodziny ludzkiej: „Rozwój społeczny jednostki może dokonać się jedynie pod warunkiem trwałego zakorzenienia w naturalnych strukturach społecznych takich jak rodzina, naród, państwo". Dokument przywoływał etykę chrześcijańską jako podstawowe źródło inspiracji ideowej i podkreślał wielką rolę Kościoła jako obrońcy tożsamości narodowej i strażnika ładu społecznego.

Najbardziej znaczącym i wyróżniającym środowisko elementem ideowym było przyznanie szczególnego znaczenia wspólnocie narodowej: „Jedną z podstawowych wspólnot, w której realizuje się jednostka ludzka jest naród. Naród to duchowa, moralna, kulturalna wspólnota pokoleń przeszłych, teraźniejszych i przyszłych złączonych więzami świadomości, mowy ojczystej, przebytej drogi historycznej, tradycji, realizowanego modelu życia zbiorowego oraz tworzonej kultury, będącej najpełniejszym wyrazem samowiedzy narodowej". Dla Ruchu Młodej Polski naród nie stanowił wartości absolutnej, widziany był jako wspólnota, która jest „wielką propozycją samorealizacji", rozwijającą, a nie krępującą wolność osoby ludzkiej.

Ruch traktował odzyskanie niepodległości jako zasadniczy cel polityki polskiej i widział w nim spełnienie prawa narodu do wolności i wyrażenia własnej tożsamości kulturowej. „Niepodległość jest stanem niezbędnym do normal-

nego życia narodowego, nie tylko dlatego, że naród chce i ma prawo decydować o własnym losie. Niepodległe państwo jest ze swej natury wcieleniem historycznej idei Ojczyzny, tj. zespołu powszechnie akceptowanych wartości z tym pojęciem związanych, tradycji narodowej, kultury, typu cywilizacyjnego, modelu stosunków państwo-obywatel". Deklaracja wykraczała poza prostą polityczną racjonalizację niepodległości podając argumentację etyczną, mówiącą o prawach i obowiązkach narodu. Naród ma prawo do niepodległego państwa, ponieważ ma prawo do urzeczywistniania w strukturach państwowych własnych wartości i tym samym wypełniania swoich zobowiązań wobec rodziny ludzkiej. Koncepcja ta zwracała się zarówno przeciwko bagatelizowaniu przez lewicę problemu niepodległości, jak i przeciw orientacji KPN-owskiej, stawiającej niepodległość jako cel zadań bezpośrednich: „Jesteśmy przekonani, że formułowanie wielkich romantycznych celów nie może oznaczać rezygnacji z doboru realistycznych środków w dążeniu do ich realizacji. Inaczej może grozić zastąpieniem działań na rzecz niepodległości frazesem patriotycznym, z którego niewiele wynika (...) Uważamy, że poczucie odpowiedzialności za nasz kraj, ranga reprezentowanej przez nas sprawy, wymagają szczególnej dojrzałości. Zdajemy sobie sprawę, że odzyskanie niepodległości zależy zarówno od podejmowanych przez Polaków działań jak i od układów międzynarodowych".

Z czasem RMP wypracował koncepcję polityki polskiej zakładającą systematyczne działanie opozycji na rzecz poszerzenia wewnętrznej suwerenności narodu i wymuszenia zmian przybliżających odzyskanie niepodległości. Przez cały okres swego istnienia prowadził pracę nad kształtowaniem myśli politycznej i ożywioną działalność formacyjną. Owocem aktywności edukacyjnej Ruchu było uformowanie się licznego środowiska ideowego.

Propozycje ustrojowe

Deklaracje RMP przeciwstawiały się dominującym w opozycji demokratycznej ideom lewicowym. Przypomnijmy, że opozycja polityczna lat siedemdziesiątych upominała się o prawa człowieka i obywatela, piętnowała totalitarny charakter komunizmu, jednak gdy przychodziło do przedstawienia pozytywnych koncepcji ideowo-programowych, nie umiała przekroczyć horyzontu „socjalizmu z ludzką twarzą".

Uwaga ta w najwyższym stopniu dotyczy środowiska KSS KOR. W tym czasie program środowiska KOR-u odchodził od wyznawanego w latach sześćdziesiątych rewizjonistycznego przekonania o możliwości wewnętrznej, „odgórnej" reformy systemu komunistycznego. Najsilniejsza grupa opozycyjna nie zdołała jednak wznieść się ponad perspektywę demokratyzacji instytucji PRL-u. W dokumentach programowych i publicystyce Adama Michnika i Jacka Kuronia nie sposób doszukać się propozycji, która zrywałaby z ustrojem państwa socjalistycznego. Nie znajdziemy w tych tekstach ani alternatywnej wizji ustroju politycznego, ani propozycji przywrócenia samorządu terytorialnego, ani nawet próby zakwestionowania socjalistycznego modelu gospodarki.

Akceptowano centralistyczny model władzy państwowej, widząc w samorządzie forum aktywności społecznej, nie zaś nową instytucję ustrojową. W głośnym tekście *Myśli o programie działania na temat form i metod pracy opozycji* Jacek Kuroń zakładał, że demokracja powinna współistnieć z systemem zcentralizowanej własności publicznej: „Wprowadzenie w naszym kraju systemu demokracji parlamentarnej postawi przed społeczeństwem polskim – złożony i w tej skali całkowicie nowy – problem społecznego władania formalnie społeczną gospodarką. Wprawdzie wszyscy poważni polscy ekonomiści postulują zasadniczą decentralizację zarządzania gospodarką narodową, niemniej nawet najdalej idące projekty pozostawiają zasadnicze decyzje w ręku centrali. Czy zatem centralą mają być państwowe władze wykonawcze? Nie ulega wątpliwości, że im większy wpływ

społeczeństwa na władze państwowe, tym bardziej społeczna jest państwowa własność".

Drugi z twórców koncepcji KOR-owskich, Adam Michnik pokładał wiarę w inspirującej mocy eurokomunizmu. W dyskusji z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim stwierdzał, że to właśnie refleksje eurokomunistów pomogą w przyszłości rozwiązać problem, „czym ma być fabryka, jak ma funkcjonować samorząd, jak zreorganizować uniwersytet".

RMP szedł pod prąd tych koncepcji i wysuwał ofensywne propozycje ustrojowe. Z czasem okazało się, że to one znalazły się pośród najbardziej wartościowych rozwiązań instytucjonalnych III Rzeczypospolitej.

Publicystyka wydawanej w latach osiemdziesiątych „Polityki Polskiej" odrzucała przekonanie o możliwości reformy gospodarki socjalistycznej i kładła nacisk na odrodzenie własności prywatnej. „Państwo powinno, w naszym przekonaniu, stwarzać gwarancję wolności gospodarczej i niezbywalnego prawa własności. Jesteśmy zwolennikami gospodarki wolnorynkowej, w dążeniach etatystycznych dostrzegamy zgubny wpływ utopii kolektywistycznych", stwierdzała opublikowana w roku 1984 deklaracja programowa *Między Polską naszych marzeń a Polską naszych możliwości*. Dokument ten wychodził poza ogólnikowe stwierdzenia o demokratycznym państwie i przedstawiał wizję ustroju prezydencko-parlamentarnego. Na łamach „Polityki Polskiej" pojawiał się, co było wówczas wyjątkowe, postulat rekonstrukcji samorządu terytorialnego i „odchudzenia" państwa. W tekście *Ku czemu winna zmierzać „Solidarność"* Jacek Bartyzel pisał, że rzeczywista zmiana struktury władzy powinna nastąpić w wyniku decentralizacji państwa, nie zaś w ramach systemu rad narodowych: „Przez decentralizację rozumiemy nie mniejszy lub większy wzrost znaczenia roli rad narodowych, lecz powołanie prawdziwego samorządu terytorialnego, gospodarczego i kulturalnego, któremu przekazane mają być wszystkie prerogatywy z zakresu organizacji życia społecznego i gospodarczego regio-

nu przy pozostawieniu administracji rządowej jedynie funkcji kontrolnej i obowiązku zabezpieczenia porządku publicznego". Mitowi społeczeństwa samorządnego rozwijającego się poza państwem publicystyka RMP przeciwstawiała koncepcję odzyskania państwa i podporządkowania jego instytucji dobru wspólnemu, czy inaczej mówiąc przekształcenia państwa partii w państwo narodu.

RMP wyróżniał się samodzielnością na tle ugrupowań opozycji demokratycznej. W okresie przed Sierpniem 1980 większość środowisk opozycyjnych prowadziła działalność w formule obrony praw człowieka i obywatela. RMP natomiast, uczestnicząc we wspólnych akcjach opozycji w tej dziedzinie, nie wahał się jawnie stawiać celów w kategoriach politycznych. Praca nad jasną i precyzyjną formułą ideowo-programową mogła wtedy wydawać się pozbawiona realnego znaczenia. Przeciętny działacz „Solidarności" kontentował się ogólnymi hasłami i argumentami umacniającymi sprzeciw wobec komunizmu. Dla wielu inteligentów żyjących na pograniczu opozycji i świata oficjalnego poprzeczka ideowa postawiona przez RMP znajdowała się zbyt wysoko, tym bardziej, że RMP kwestionował dominujące w środowiskach intelektualnych nastawienie lewicowe.

Niezależność jest jednak warunkiem prawdziwej działalności politycznej i przesłanie ideowe Ruchu z czasem zdobywało coraz to szersze poparcie. W latach osiemdziesiątych, gdy wśród środowisk związanych z „Solidarnością" wzrosła potrzeba identyfikacji ideowej i głębszej refleksji programowej, RMP stał się jednym z podstawowych ośrodków krystalizacji programowej polskiej opozycji.

Strategia polityczna

Polityczna samodzielność RMP wyrażała się w działaniu pod własnym szyldem i na własny rachunek, w niechowaniu się za szyldem działalności związkowej. RMP zachował postawę lojalną wobec „Solidarności" i jej przewodniczącego Lecha Wałęsy, wielu działaczy Ruchu uczestniczyło w pracach

związku, zawsze jednak prowadząc działalność polityczną również w odrębnych formach organizacyjnych. Tymczasem podstawowe siły opozycyjne funkcjonowały jako element „Solidarności". Środowisko KSS KOR po stanie wojennym niemal w całości weszło do „Solidarności". RMP natomiast występował na rzecz oddzielenia instytucji związkowych od działań politycznych. W znakomitym tekście o chrześcijańskiej wizji związków zawodowych Marek Jurek wskazywał na pozapolityczny charakter ich zadań. W roku 1986 oficjalny dokument RMP *Uwagi o sytuacji politycznej w kraju* stwierdzał, że „żaden nurt polityczny i ideowy nie powinien przypisywać sobie prawa do *solidarnościowej* reprezentacji. Nikomu ten monopol nie przysługuje".

Z perspektywy czasu okazało się, że korzyści polityczne odniosły te środowiska polityczne, które potrafiły powiązać swoje interesy polityczne z działaniem „Solidarności". Stało się to jednak za cenę utrwalenia anachronicznego modelu opozycji oraz słabości programowej i organizacyjnej opozycyjnych ugrupowań politycznych. Ta właśnie okoliczność wpłynęła ujemnie na słabość partii politycznych w III RP i zadecydowała o politycznej roli związków zawodowych w wolnej Rzeczypospolitej.

Z tej samej perspektywy broni się też sformułowana przez RMP ewolucyjna strategia polityczna dochodzenia do niepodległości. Proces ten miał mieć charakter wieloetapowy, zależny od presji społeczeństwa, przekształceń w ZSRR i Europie Wschodniej. W latach 1980-81 Ruch przeciwstawiał się pomysłom radykałów, którzy naiwnie wierzyli, że przyspieszona konfrontacja z władzą przyniesie natychmiastowe odzyskanie wolności. Po wprowadzeniu stanu wojennego RMP odrzucał myślenie w kategoriach „wszystko albo nic" i koncepcję strajku generalnego jako metody wymuszenia nowych porozumień. W roku 1982 lider RMP polemizował z Jackiem Kuroniem, który w *Tezach o wyjściu z sytuacji bez wyjścia* namawiał do zlikwidowania okupacji w zbiorowym wystąpieniu przeciwko ośrodkom władzy: „Realizacja

koncepcji Jacka Kuronia w tym właśnie czasie przy tak daleko idącym zaangażowaniu ZSRR w popieranie pogrudniowej polityki Jaruzelskiego mogłaby mieć tylko jeden rezultat. Zafundowalibyśmy sobie jeszcze jedno nieudane powstanie narodowe ze wszystkimi konsekwencjami klęski".

Krytyka radykalizmu wynikała z realistycznej diagnozy społecznej. „Polityka Polska" kwestionowała popularny wśród opozycji pogląd o poparciu niemal całego społeczeństwa dla działającej nielegalnie „Solidarności" i powszechności podziału społeczeństwo-władza. RMP rozpoznawał nowe zjawiska społeczne i wskazywał na wagę bagatelizowanych przez opozycję kwestii, takich jak rozwój nowej przedsiębiorczości, odradzanie się lokalności, czy pojawienie się znaczących kwestii regionalnych (choćby dewastacja środowiska naturalnego na Górnym Śląsku).

Sprawdziła się również koncepcja polityki zagranicznej Ruchu. Program RMP kwestionował pogląd, że warunkiem odzyskania niepodległości jest rozpad Związku Sowieckiego. Publicystyka „Bratniaka", a potem „Polityki Polskiej" zwalczała koncepcje prometejskie, każące Polsce aktywnie wspierać aspiracje niepodległościowe narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego: „powinniśmy wyrzec się uczestnictwa w planach rozbicia Rosji na państwa narodowe. Uznajemy prawo każdego narodu do niepodległego bytu, ale każdy naród sam musi wypracować swą wolność. Nie jesteśmy «narodowymi egoistami», ale istnieje «*ordo caritatis*», które nakazuje w pierwszym rzędzie realizować dobro własnej wspólnoty (...) zaangażowanie się polityki polskiej w rozbijanie Rosji nie zostawiłoby nam ani jednej szansy na polsko-rosyjskie porozumienie, choćby na Kremlu zasiadać miał najbardziej antykomunistyczny Rosjanin". Linia RMP zwrócona była przeciwko „niepodległościowym radykałom", zwolennikom konfrontacji ze Związkiem Sowieckim, która mogła przynieść nieodwracalne szkody i pozbawić nas szans na odzyskanie niepodległości. W tym samym dokumencie czytamy: „Szansę dla Polski stanowi przezwycięże-

nie Jałty. Polityka polska nie może jednak w obecnej dobie sama podjąć tej próby. Nie możemy, ani nie chcemy być «antyjałtańską» kolumną szturmową, bo niezależnie od wątpliwych wyników tego szturmu, Polska musiałaby zapłacić koszt tej operacji".

W połowie lat osiemdziesiątych koncepcja młodopolska nabrała realnych kształtów. Podjęta przez Michaiła Gorbaczowa *pierestrojka* poszerzała pole wewnętrznej suwerenności i była jednym z czynników otwierających drogę do niepodległości. Rzeczywistość potwierdziła tezę, że polska droga do niepodległości musi uwzględniać sprzyjające okoliczności geopolityczne.

Trzeba w tym miejscu wyraźnie podkreślić, że RMP miał jednoznacznie okcydentalistyczny charakter. W założycielskim dokumencie RMP czytamy: „Zerwanie duchowej więzi z jednoczącą się dziś powoli, ale nieustannie Europą – rzecz jasna Europą Ojczyzn – oznaczałoby również nasze samobójstwo duchowe". W publicystyce „Bratniaka" i „Polityki Polskiej" Europa widziana była jako własny krąg kulturowy, respektujący prawa osoby ludzkiej, własność prywatną, rządy sprawiedliwego prawa i potrafiący pogodzić wolność jednostki z autorytetem państwa.

Można więc powiedzieć, że w europejskim wymiarze program RMP miał zdecydowanie gaullistowski profil: wspólnoty europejskie widziane były jako obszar ścisłej współpracy państw narodowych, opartej na wartościach cywilizacji chrześcijańskiej. Na rok przed strajkiem w Stoczni Gdańskiej Aleksander Hall pisał: „Proces budowania jedności europejskiej musi odbywać się przy pełnym poszanowaniu identyczności i suwerenności narodowej, musi być procesem systematycznego zbliżania się i współpracy narodów, w oparciu nie tylko o doraźne cele polityczne i ekonomiczne, ale również i przede wszystkim te same wartości i idee. Niezbędnym jego warunkiem są prawa każdego narodu do życia w niepodległym suwerennym państwie. Oczywiście

ten cel stoi przed wszystkimi narodami Europy Środkowowschodniej, w tym również i narodem polskim".

Te koncepcje RMP były szczególnie ostro krytykowane przez lewicę solidarnościową, która oskarżała środowisko Ruchu o prorosyjskość i ugodowość. Z perspektywy lat młodopolska strategia okazała się jednak słuszna. Polska odzyskała niepodległość bez rewolucji, na dwa lata przed upadkiem Związku Sowieckiego. To prawda, że porozumienia „okrągłego stołu" zostały wykorzystane przez lewicę opozycyjną, która dotychczas odnosiła się wrogo do kompromisu z władzą. To prawda, że „okrągły stół" nie zainicjował budowy nowego państwa w pełni wolnego od wad PRL-u. Są to jednak zagadnienia należące już do rozrachunków III Rzeczypospolitej.

Zmarnowana szansa

RMP mógł w wolnej Polsce zainicjować proces budowy silnego stronnictwa prawicowego, jednak okres odzyskiwania niepodległości zbiegł się z silnym kryzysem wewnątrz samego Ruchu. Zabrakło woli wspólnego działania i niezbędnej determinacji. Trzeba powiedzieć też o słabościach programowych, które ujawniły się najostrzej w momencie, gdy po upadku komunizmu dawna opozycja stanęła przed zadaniem prowadzenia polityki państwowej. Teoretycznie RMP był najlepiej przygotowany do tego dzieła, wyrastał bowiem poza obszarem zabobonów demokratycznego socjalizmu. Na łamach „Polityki Polskiej" na długo przed „okrągłym stołem" pojawiły się teksty i omówienia rzeczników demokratycznego kapitalizmu. Postulaty odbudowy samorządu terytorialnego i odrodzenia własności prywatnej zgłaszane na marginesie opozycyjnej myśli politycznej okazały się wartościowymi składnikami ustroju niepodległej Rzeczypospolitej.

Jednak RMP – podobnie jak cała opozycja – nie był przygotowany do rządzenia. Nie miał programu ekonomicznego alternatywnego względem projektów reformowania gospodarki socjalistycznej. Nie dysponował także

wnikliwą analizą stanu instytucji państwowych, wymiaru sprawiedliwości, policji, wojska. Dochodziła do tego słabość polityczna i organizacyjna Ruchu. RMP był zaprojektowany jako ugrupowanie mające odegrać kluczową rolę w formowaniu się polskiej prawicy, jego przywódcy nie mieli jednak politycznej woli odegrania roli opisywanej w wystąpieniach programowych i publicystyce „Polityki Polskiej".

W dokumentach Ruchu przywoływany był wzór Ligi Narodowej jako formacji, która dysponowała wielką siecią instytucji społecznych. Tymczasem dorobek instytucjonalny środowiska był bardzo niewielki, RMP pozostał ugrupowaniem elitarnym, niezdolnym do zorganizowania wokół siebie odradzającej się prawicy.

Dziś pozostaje więc dziedzictwo Ruchu, który przywrócił myślenie w kategoriach interesu narodowego i stanowił przykład twórczej, ideowej prawicy. Być może najcenniejszym i nadal pożytecznym składnikiem spuścizny Ruchu jest metoda kształtowania środowiska politycznego, oparta na systematycznej pracy formacyjnej. Po roku 1989 prawica zaniechała działań z zakresu edukacji politycznej, co fatalnie wpłynęło na jej jakość. Gołym okiem widać również, że proste, techniczne koncepcje naprawy naszego obozu poniosły klęskę. Klęskę poniosła także idea przemiany pokoleniowej jako panaceum na słabość prawicy. W myśl poglądów głoszonych przez Ligę Republikańską i środowisko „pampersów" młodzi mieli okazać się bardziej ideowi i kompetentni niż starzy politycy. Utworzony przez dwudziestolatków RMP nigdy nie głosił prostych recept wzrostu politycznego i nie uprawiał polityki młodzieżowej, szedł za to drogą samodzielnego kształtowania programu i szeroko zakrojonej pracy edukacyjnej. Powrót do RMP-owskiego modelu pracy formacyjnej, której celem będzie wykreowanie ideowych elit prawicowych na wysokim poziomie kompetencji, jest warunkiem odrodzenia polityki polskiej.

(„Kwartalnik Konserwatywny", nr 6, Zima 2000)

Francuskie fascynacje

Aleksandrowi Hallowi z wdzięcznością za to,
że wzbudził w nas zainteresowanie francuską myślą polityczną

Czy polski konserwatysta może odczuwać sympatię do V Republiki, z jej jednoznacznym przywiązaniem do dziedzictwa Rewolucji Francuskiej, modelem socjalnym i laickością, która nie pozwala na obecność wartości chrześcijańskich w życiu publicznym? Przecież niepodległa Polska po roku 1989 dokonała innego wyboru ideowego, stawiając na syntezę chrześcijaństwa i wolności. Wydaje się, że niewiele może pomóc opinia, że Francja jest monarchią republikańską albo – jak pisał wybitny liberalny myśliciel Raymond Aron – „monarchią utrzymującą teorię parlamentarną". Wygłoszone w czerwcu tego roku przemówienie Nicolasa Sarkozy'ego – pierwsze od roku 1873 przemówienie Prezydenta Republiki do Kongresu, czyli połączonych izb francuskiego parlamentu – w opinii wielu mogło usprawiedliwiać tą opinię. Dotąd konstytucja nie pozwalała na fizyczną obecność prezydenta, jego przemówienia odczytywano parlamentarzystom. Teraz Kongres zebrał się w Wersalu, a całość miała wspaniałą oprawę. Deputowani i senatorowie mogli nawet zobaczyć znakomitą wystawę poświęconą strojom dworskim w XVII i XVIII wieku. W opinii krytyków wersalskie wystąpienie prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego to dowód, że ma on aspiracje do sprawowania władzy na miarę Burbonów. Ktoś nawet przywołał w tym kontekście Ludwika XIV. Zarzut, że obecny prezydent Francji skoncentrował zbyt dużą władzę w swoim ręku, należy do standardu opozycyjnych wystąpień.

A jednak Francja jest republiką ze względu na wartości i polityczną praktykę. I to jest nią na podstawie świadomego wyboru de Gaulle'a. Monarchistyczne skojarzenia nie są bezpodstawne, ale mogą co najwyżej dotyczyć stylu sprawowania władzy, nie jej treści i politycznej praktyki. De Gaulle mówił i pisał o sobie w trzeciej osobie liczby pojedynczej, co wielu irytowało. Dawał temu wyraz Kisiel w *Dziennikach*, wyrażając się niezwykle krytycznie o antyamerykańskiej polityce prezydenta Francji. Jednakże projekt ustrojowy de Gaulle'a miał zdecydowanie republikański charakter. V Republika powstała... jako republika. De Gaulle zachował całą warstwę ideową z zasadami republiki niepodzielnej, demokratycznej, społecznej i laickiej. Laickość jest wciąż żywą zasadą ustrojową, sprzeciw wobec noszenia przez muzułmanki burek znalazł się w tekście wersalskiego przemówienia i był bardzo gorąco oklaskiwany. Konstytucja z 1958 r. manifestowała przywiązanie do Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z roku 1789 i mocno społecznej preambuły do konstytucji z roku 1946. Każdy, kto przeczyta tekst tej preambuły, z mocnymi gwarancjami socjalnymi i socjalną odpowiedzialnością państwa, zrozumie, dlaczego we Francji nie istnieje liberalizm w anglosaskim znaczeniu. „Z wyjątkiem garstki polityków i kilku ekonomistów nasz kraj nie zna liberałów, którzy żywiliby takie zaufanie do wolności, aby uczynić z niej motor wszelkiej działalności i reguły gry politycznej" – pisał René Rémond w klasycznym dziele poświęconym francuskiej prawicy.

Generał de Gaulle był człowiekiem o konserwatywno-społecznej wrażliwości. W opinii Claude'a Mauriaca czerpiąc z dwóch odłamów francuskiego katolicyzmu – reprezentowanych przez L'Action Française i Sillon – połączył katolików republikańskich i tych, którzy pozostali wierni tradycjonalizmowi. Pamiętajmy, że ten ostatni nurt odegrał dużą rolę w historii Francji pierwszej połowy XX wieku. L'Action Française miała wspaniałą kartę w okresie heroicznego wysiłku Francuzów w czasie I wojny światowej i potężne

wpływy w elitach intelektualnych Francji. Dopiero Vichy skompromitowało tradycję Maurrasa. V Republika nie była jednak bardziej otwarta na tradycję monarchistyczną niż jej poprzedniczki. Wręcz przeciwnie, powojenny porządek ustrojowy miał w sensie aksjologicznym jednoznacznie republikański charakter. Grunt został przygotowany przez akty prawne i deklaracje Wolnej Francji, opracowane z dużym udziałem René Cassina, prawnika o lewicowo-republikańskiej wrażliwości. René Cassin kierował po wojnie Radą Stanu i wziął czynny udział w opracowaniu projektu Konstytucji V Republiki.

De Gaulle prowadził politykę narodowej jedności, na co wielokrotnie zwracał uwagę Aleksander Hall. Ale jego decyzje konstytucyjne oznaczały wyłączenie monarchizmu i tradycjonalizmu poza zakres ustrojowego konsensusu. Żadna z istotnych dla tej tradycji wartości nie ma konstytucyjnego wyrazu. Konstytucja pośrednio – poprzez orzeczenia Rady Konstytucyjnej – chroni jedynie dwa ważne dla ludzi o tradycyjnej wrażliwości postulaty: silne ustawodawstwo prorodzinne i wsparcie finansowe dla katolickich szkół prywatnych, które powstały jako alternatywa dla laickiego szkolnictwa publicznego. A zatem, kontynuatorzy Maurrasa, głównego ideologa francuskiego monarchizmu, mają powody do ostrej krytyki de Gaulle'a i V Republiki. Monarchiści są antysystemową opozycją, podobnie jak... komuniści, którzy widzieli i widzą w V Republice „rządy wielkiego kapitału". Nawiasem mówiąc, komuniści byli jedyną frakcją, która zbojkotowała posiedzenie Kongresu, podczas którego prezydent Nicolas Sarkozy wygłosił wspomniane przemówienie.

Dziś republika ma nieco łagodniejszy profil, jest bardziej wierna liberalnemu dziedzictwu roku 1789 niż tradycji jakobińskiej i rządom Robesprierre'a. Widać to nawet w specjalnym dodatku „Le Monde" poświęconym dziedzictwu Rewolucji. Współczesna Francja jest bardziej związana z Unią Europejską, porzuciła sceptycyzm wobec Europy właściwy gaullistom starej daty i ma chyba większą niż dotąd zdol-

ność do reform rynkowych. Nikt nie może jednak wątpić w siłę tradycji republikańskich, także w tym sensie, że Francja jest bardziej wspólnotą wartości niż typowym państwem narodowym, jak na przykład Niemcy. To dlatego ma moc integrowania ludzi urodzonych z dala od francuskiej kultury. Czy można sobie wyobrazić Niemkę tureckiego pochodzenia, która byłaby ministrem sprawiedliwości w rządzie federalnym, tak jak była nią Rachida Dati?

Praktyka polityczna dostarcza kolejnych argumentów przeciw tezie o Francji jako republikańskiej monarchii. To prawda, że władza prezydenta Francji jest większa niż prezydenta USA, szczególnie w okresie, gdy popiera go większość parlamentarna. Dziś Nicolas Sarkozy dysponuje potężnym zapleczem parlamentarnym, UMP liczy 313 z 577 deputowanych. Władza prezydenta nie jest ograniczona poprzez silną kontrolę parlamentarną. Przypomnijmy także, że V Republika zniosła monopol ustawy na stanowienie prawa, zwiększając rolę rządowych ordonansów i dekretów. Ale równocześnie francuski system polityczny daje największą w Europie preferencję dla referendum. Referendum to instytucja spoza logiki monarchistycznej, najbardziej od niej odległa. Georges Pompidou, jako premier Francji, w słynnej polemice parlamentarnej z Paulem Reynaudem słusznie wskazywał na to, że referendum jest składnikiem dziedzictwa Rewolucji Francuskiej w radykalnej wersji. Referendum to prawo ludu, prawo wyborców do odrzucenia poglądów elit. We Francji suwerenność narodu nie została bezpowrotnie przetransferowana do elit partyjnych, choć ich przygotowanie do polityki zasługuje na wysoką ocenę. Wielu polityków wywodzi się z rodzin o długich tradycjach zaangażowania politycznego i może wylegitymować się dobrym wykształceniem. École Nationale d'Administration wciąż może budzić zazdrość ze względu na poziom i efekty wykształcenia.

Ktoś może spytać, dlaczego Francja zafundowała sobie instytucję wysokiego ryzyka i cały czas ją umacnia (prze-

prowadzona w roku 2008 nowelizacja konstytucji dała również opozycji prawo do inicjowania referendum ustawodawczego). Wydaje się, że powodem jest potrzeba silnej legitymacji systemu. Francja od roku 1940 nie mogła uporać się z problemem prawowitości władzy. De Gaulle zbuntował się wtedy przeciwko państwu legalnemu, a w roku 1958 niektórzy stawiali mu zarzut dojścia do władzy w warunkach zamachu stanu i podważali prawowitość jego decyzji. Referendum jest zatem czymś bolesnym dla elit, ale daje legitymację V Republice, rozwiązując problem prawowitości państwa. Daje także możliwość rozstrzygania „z podniesioną przyłbicą" wielu zapalnych problemów. W tej formie Francuzi zadecydowali o niezależności Algierii, rozszerzeniu Wspólnoty Europejskiej na początku lat 70., Traktacie z Maastricht i negatywnie o konstytucji dla Europy.

Co może zatem pociągać w V Republice polskiego konserwatystę, chcącego silnej obecności inspiracji chrześcijańskiej w życiu publicznym i cieszącego się z tego, że Polska nie doświadczyła laicyzacji na wzór francuski? Odpowiedź jest prosta: silne państwo i dobra konstytucja. V Republika z silną władzą prezydenta, osłabieniem pozycji partii politycznych i wszechwładzy parlamentu jest ustrojem, który dał Francji możliwość odgrywania roli mocarstwowej, czy jakbyśmy powiedzieli językiem bardziej poprawnym, „możliwość zajęcia wyróżnionej pozycji w Europie". To udany projekt budowy państwa, dzięki któremu można panować nad swoim losem, to ustrój z przywództwem państwowym i z władzą, która nie ucieka od odpowiedzialności. Nawet w okresie *cohabitation* system polityczny Francji działa lepiej niż polski, realna władza przesuwa się wtedy w stronę premiera.

W latach 80. Ruch Młodej Polski, widząc potrzebę projektowania ustroju niepodległej Polski jako syntezy siły państwa i wolności, odwoływał się do gaullistowskich koncepcji ustrojowych. W dokumencie *Między Polską naszych pragnień a Polską naszych możliwości* z roku 1984 znalazły się

francuskie motywy: potrzeba przywództwa państwowego, nadrzędna i harmonizująca rola prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych i, rzecz jasna, zakwestionowanie dogmatu supremacji parlamentu, który był wyznawany przez niemal całą opozycję demokratyczną.

Wśród Francuzów V Republika jest przedmiotem szerokiej zgody. Od czasu prezydentury Mitterranda ma czynne poparcie socjalistów, którzy jeszcze w latach 60. zwalczali ją, określając konstytucję z 1958 roku jako „permanentny zamach stanu". Pierwszy rozdział *Pamiętników nadziei* de Gaulle'a nosi tytuł *Instytucje,* bo dobra konstytucja była przedmiotem jego największych ambicji. W Polsce zawsze brakowało troski o formę i jakość państwowych instytucji. De Gaulle zrobił przez kilka miesięcy roku 1958 to, czego niepodległa Polska nie potrafiła zrobić przez dwadzieścia lat od upadku komunizmu – zbudować dobrego ustroju i trwałych instytucji. Nasz ustrój jest produktem przypadku i ścierania się partykularnych interesów i nie daje podstawy silnej władzy państwowej. V Republika musi zatem budzić respekt bez względu na jej ideologiczny koloryt i może dalej inspirować.

(„Bratniak" 2009, nr 31, nr spec. na 30-lecie Ruchu Młodej Polski)

Kościół, liberałowie i polski kapitalizm

W latach osiemdziesiątych przedstawiciele opozycji chętnie sięgali do społecznego nauczania Kościoła, znajdując w nim zasady, które pomagały przeciwstawić się totalizmowi. Encykliki były bronią przeciwko systemowi nierespektującemu praw człowieka, politycznych praw obywatelskich i praw związkowych. Dlatego na dokumenty kościelne powoływały się środowiska polityczne od RMP na prawicy po PPS na lewicy.

Po upadku komunizmu zainteresowanie nauczaniem społecznym Kościoła wyraźnie spadło. Jedną z przyczyn tego faktu było zdecydowanie jednostronne postrzeganie i interpretowanie encyklik papieskich jako uzasadnienia dla postaw roszczeniowych i etatystycznych. Z jednej strony pogłębiła się zatem nieufność wielu środowisk katolickich wobec zachodzących w Polsce przemian, a z drugiej narodził się mit, propagowany przez środowiska lewicowe i liberalne, głoszący, że proces cywilizacyjnego i ekonomicznego rozwoju kraju może dokonać się tylko pod warunkiem akceptacji przez większość społeczeństwa liberalnego światopoglądu.

Umocnienie się tych dwóch stanowisk owocować może takim uporządkowaniem sceny politycznej, w którym zwolennicy respektowania w życiu publicznym moralnych wskazań chrześcijaństwa będą przeciwni szybkiemu tempu reform, tendencja proreformatorska zaś będzie otwarcie występować przeciw wartościom chrześcijańskim. Sukces pierwszego obozu powstrzymywałby zatem rozwój Polski i zwiększał dystans dzielący nas od krajów wysoko rozwiniętych, sukces drugiego spychałby w pułapkę rozwoju instytucji rynkowych bez naturalnego i właściwego otoczenia,

jakie stworzyć mogą tylko normy etyczne. Fundamentem zamożności krajów Europy Zachodniej nie jest bowiem kapitalizm barbarzyński, lecz funkcjonujący w otoczeniu cnót, takich jak pracowitość, uczciwość czy lojalność. Cnót tych polskie społeczeństwo nie posiada w nadmiarze i nie spłyną one na nas wraz z akceptacją światopoglądu liberalnego, atrakcyjnego przede wszystkim w jego warstwie negatywnej.

Liberałowie w Polsce niesłusznie widzą w katolicyzmie czynnik uniemożliwiający prokapitalistyczne przemiany. Zarzut wysunięty na przykład przez Janusza Lewandowskiego, że praktyka polskiej reformy zderza się z funkcjonowaniem tysięcy polskich parafii, bowiem kapitalizm wymaga odrodzenia się wartości innych „niż te, które umacniane są przez księdza proboszcza", wydaje się szczególnie niesprawiedliwy. Kościół nie propaguje wzorców kolektywistycznych, za to głoszone są w polskich kościołach cnoty właściwe etyce społecznej katolicyzmu i zarazem potrzebne gospodarce rynkowej, takie jak pracowitość, oszczędność, czy odpowiedzialność za rodzinę. Żadne badania socjologiczne nie potwierdzają tezy o antyreformatorskich wpływach Kościoła, natomiast sondaże CBOS wskazują, że osoby regularnie praktykujące są w większym stopniu pozytywnie nastawione do zmian, jakie nastąpiły po 1989 roku. Trzeba też podkreślić, że w czasach komunizmu to właśnie Kościół bronił własności prywatnej. Katolickie postulaty konstytucyjne z roku 1947 domagały się wyraźnej ochrony prawa własności i „prywatnej inicjatywy gospodarczej", stwierdzając, że „Konstytucja powinna poręczać prywatną własność obywateli, własność ruchomą i nieruchomą, własność ziemi i warsztatów pracy. Zbyt ciężkie świadczenia nie powinny przekreślać własności". W obronie własności występowali również ci przedstawiciele katolickiej nauki społecznej, którzy jeszcze przed II Wojną Światową opowiadali się za głębokimi reformami społecznymi (np. ks. Jan Piwowarczyk). Warto pamiętać, że działo się to w sytuacji, w której zdecydowana większość środowisk opozycyjnych nie tylko

z powodów taktycznych akceptowała socjalistyczne rozwiązania ustrojowe.

Liberałowie nie chcą też zrozumieć faktu, że sukcesy ekonomiczne stały się dziełem tych narodów, które potrafiły dostosować kształt instytucji kapitalistycznych do rodzimej specyfiki. Nie można bowiem stawiać znaku równości między liberalnymi projektami a odradzaniem się wolnej ekonomii, co więcej może się zdarzyć, że właśnie ona padnie ofiarą liberalnego konstruktywizmu.

Krytyce stanowiska liberalnego towarzyszyć powinna jednak zmiana recepcji nauki Kościoła odnoszącej się do życia gospodarczego. Będzie ona sprzyjać większemu oddziaływaniu *Magisterium* Kościoła na koncepcje ustrojowe i ekonomiczne, bowiem istnieje niebezpieczna tendencja do interpretowania katolickich wskazań społecznych w kategoriach socjaldemokratycznych. Jej zwolennicy widzą w encyklikach społecznych przede wszystkim postulaty o socjalnym i pracowniczym charakterze, nie dostrzegając, że są obwarowane zastrzeżeniami dotyczącymi poszanowania dobra wspólnego, obowiązków wobec pracodawcy, oblicza związków zawodowych i surowych zasad ograniczających prawo do strajku. Etyczne wartościowanie sfery gospodarczej nie powinno prowadzić do kwestionowania zasad wolnej ekonomii. Nie mają więc racji tacy publicyści jak Andrzej Micewski czy Janusz Zabłocki, którzy uważają, że z katolickiej nauki społecznej wynika opcja lewicowa.

Kościół poddawał krytyce etyczny wymiar kapitalizmu, absolutyzujący indywidualizm i konsumpcjonizm, nie potępiał jednak kapitalistycznych instytucji własności, wolnego rynku, zysku, banków. Encyklika „Centesimus annus" stwierdza, że kapitalizm w znaczeniu „zasadniczej i pozytywnej roli przedsiębiorstwa, rynku, własności prywatnej i wynikającej z niej odpowiedzialności za środki produkcji, oraz wolnej inicjatywy w dziedzinie gospodarczej" (CA 42) jest właściwą drogą rozwoju gospodarczego.

Kościół traktuje własność prywatną jako prawo naturalne człowieka, które pozwala lepiej i pilniej pracować, będąc podstawą samodzielności rodziny oraz wolności indywidualnej i społecznej. Dokumenty II Synodu Plenarnego stwierdzają, że likwidacja własności w komunizmie doprowadziła do postaw, w których człowiek „przestawał uważać się za własność samego siebie, lecz oddawał się na własność władzy państwowej".

Można sądzić, że niektóre pozytywne zalecenia katolickiej nauki społecznej mogą być realizowane wyłącznie w warunkach istnienia instytucji kapitalistycznych. Przykładem może tu być obowiązek sumiennego płacenia podatków, który jest podkopywany przez marnotrawiący fundusze publiczne etatyzm. Przypadek współczesnej Polski pokazuje również, że problem sprawiedliwej płacy i obowiązków pracodawcy może być rozwiązany wyłącznie w warunkach systemu opartego na własności prywatnej i wyraźnie określonym pracodawcy.

W polskim życiu publicznym znaczącą rolę odgrywają związki zawodowe. Program „Solidarności" z roku 1981 odwoływał się wprost do encykliki „Laborem exercens", a również i dziś jej działacze powołują się na wartości płynące z etyki chrześcijańskiej. Nauka społeczna Kościoła poręcza prawo pracowników do zrzeszania się w związki zawodowe i dostrzega ich pozytywną rolę w życiu społecznym, ale równocześnie stawia im warunek poszanowania dobra wspólnego, co kłóci się z dążeniem do osiągnięcia uprzywilejowanej pozycji w państwie. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę warunki, jakie stawiają encykliki społeczne osobom podejmującym akcje strajkowe, takie jak: sprawiedliwa przyczyna, godziwość celu i wymóg uprzedniego wyczerpania mniej drastycznych form protestu, to wówczas spostrzeżemy, że nauczanie społeczne Kościoła uzależnia pozytywną rolę związków zawodowych od poszanowania dobra przedsiębiorstwa i kraju.

Przytoczone wyżej argumenty wskazują na to, iż sprowadzanie nauki społecznej Kościoła do rangi postulatów socjalnych jest błędem. Sprawiedliwość w rozumieniu katolickim to raczej upowszechnienie własności prywatnej, przejście od społeczeństwa „proletariuszy" do „społeczeństwa właścicieli", aniżeli rozbudowa socjalnych funkcji państwa. Przypomnijmy, że encyklika „Centesimus annus" uznając zobowiązania państwa w kwestiach społecznych, krytykuje nadużycia państwa dobrobytu, „które interweniuje bezpośrednio i pozbawia społeczeństwo odpowiedzialności, powoduje utratę ludzkich energii i przesadny wzrost publicznych struktur, w których przy ogromnych kosztach dominuje logika raczej biurokratyczna, aniżeli troska o to, by służyć korzystającym z nich ludziom" (CA 48).

Nie można, zwłaszcza w czasie przemian ustrojowych, wskazywać wyłącznie na te fragmenty nauczania społecznego, które odnoszą się do zabezpieczeń społecznych, a katolickiej nauki społecznej sprowadzać do funkcji określania granic wolnego rynku. Polsce potrzebna jest „ofensywna" interpretacja nauczania społecznego, dzięki której można będzie określać podstawy ładu społeczno-gospodarczego. Nauczanie społeczne powinno być obecne w dyskusjach o upowszechnieniu własności prywatnej, kształcie podatków, prawach rodziny w odniesieniu do własności, obciążeń podatkowych, wychowania dzieci i wpływu na szkołę. Działo się to będzie z pożytkiem dla reform, albowiem skorzystanie z szansy rozwoju, przed którą stoi Polska, zależy od tego, czy program głębokich zmian ustrojowych i cywilizacyjnych będzie silnie zakorzeniony w świecie etyki chrześcijańskiej.

(„Biuletyn Grupy Windsor", Warszawa 1998)

Wierność i wolność

Wydana w roku 2002 przez Kongregację Nauki Wiary Stolicy Apostolskiej Nota doktrynalna przypominając zasady, jakimi katolicy powinni kierować się w życiu publicznym i społecznym, zachęca do debaty nad etycznymi aspektami przezwyciężenia kryzysu polityki. Kryzys ten przybiera w Polsce postać odmienną niż w krajach Europy Zachodniej, a zatem trudno rozważać tekst Noty bez uwzględnienia problemów, jakie stoją przed katolikami zaangażowanymi w polskie życie publiczne.

Kluczowe znaczenie ma zasada jedności życia, która domaga się poddania etyce nie tylko sfery prywatnej, ale również wymiaru zawodowego, społecznego i publicznego ludzkiej aktywności. Krytyka relatywistycznej koncepcji pluralizmu formułowana jest przede wszystkim w odniesieniu do doświadczenia Europy Zachodniej, w której koncepcja ta uzyskała szerokie wpływy. Relatywizm kulturowy współczesnej demokracji kwestionuje prawa fundamentalne i daje państwu możliwość podejmowania decyzji nieliczących się z zasadami etyki naturalnej. Nota precyzyjnie opisuje uzurpacje relatywizmu etycznego, który odmawia katolikom prawa do promocji odpowiadającej wierze koncepcji osoby ludzkiej. „Tym samym... owi prawodawcy idą na ustępstwa wobec przejściowych orientacji kulturowych lub moralnych tak jakby wszystkie możliwe koncepcje życia miały równą wartość. Jednocześnie w imię fałszywie pojmowanej tolerancji żąda się od znacznej części obywateli – wśród nich także od katolików – aby zrezygnowali z wnoszenia do życia społeczno politycznego swoich krajów tego, co zgodnie z koncepcją osoby ludzkiej i oceną wspólnego dobra uznają po ludzku za prawdziwe i słuszne...” Słowa te

w ogromnym stopniu odnoszą się do praktyki politycznej państw Europy Zachodniej, które na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat uformowały się jako demokracje etycznego pluralizmu. Najbardziej dramatycznym momentem tego procesu było uchwalenie ustawodawstwa proaborcyjnego w większości państw europejskich i destrukcja ładu społecznego opartego na rodzinie.

W tych krajach katolicy stoją przed zadaniem odbudowania polityki, która wyrośnie poza bieżący pragmatyzm i będzie miała odwagę upomnieć się o podstawowe prawa osoby ludzkiej. Przed tym zadaniem staną także polscy politycy, którzy w roku 2004 zasiądą w ławach Parlamentu Europejskiego. Jestem przekonany, że stanowisko reprezentantów polskiej prawicy w kwestii ochrony życia oraz praw i roli rodziny przebije mury negatywnej poprawności i zachęci innych do mówienia własnym głosem. Termin „odbudowanie polityki" jest jak najbardziej na miejscu, albowiem ekspansja demokracji bez wartości odbyła się w sytuacji bierności chrześcijańsko-demokratycznych ugrupowań, które partycypację we władzy ceniły wyżej niż obronę chrześcijańskiej koncepcji osoby ludzkiej.

Lektura dokumentów programowych największej partii centroprawicowej w Parlamencie Europejskim – EPP dowodzi, że mamy do czynienia właściwie z porzuceniem zadania, które nauczanie Kościoła definiuje jako absolutnie podstawowe. Doskonałą analizę przypadku utraty chrześcijańskiego charakteru przez włoską chrześcijańską demokrację dał Rocco Buttiglione w książce *Chrześcijanie a demokracja*. Pisze on o pojęciu chrześcijańskiej demokracji oznaczającym takie zaangażowanie polityczne katolików, które „ma na celu związanie demokracji z obiektywnym, zakorzenionym w naturze człowieka i objawionym w Chrystusie porządkiem moralnym, tak, aby demokracja mogła uniknąć stoczenia się przez korupcję w tyranię". Niestety, w świecie zachodnim tak zdefiniowana misja katolików w życiu politycznym została wyparta przez partie chrześcijańsko-demo-

kratyczne, które prowadziły ich do całkowitego zaakceptowania relatywistycznej demokracji.

Kryzysu społeczno-politycznego w Polsce nie da się opisać przy pomocy pojęcia etycznego pluralizmu. Siły polityczne, które dążyły do usunięcia prawa do życia i praw rodziny z polskiego ustawodawstwa, miały i mają nadal najsilniejszą protekcję medialną i siłę organizacyjną zbudowaną jeszcze w czasach PRL-u. Jednakże ta destrukcyjna tendencja spotkała się z na tyle silnym oporem polityki występującej w obronie wartości oraz spontanicznej presji społecznej, że plan dechrystianizacji polskiego prawa nie został urzeczywistniony. Pełna błędów i obciążona ogromną ilością kompromisów polska konstytucja strzeże prawa do życia, godności małżeństwa i prawa rodziny. Jej zapisy uniemożliwiają przeprowadzenie działań, których urzeczywistnienie tak precyzyjnie opisuje Nota. Dziś stanowi nawet pewien argument w sporze o obecność wartości chrześcijańskich w traktacie konstytucyjnym UE. Mam świadomość tego, że spór o moralny kształt polskiego prawa i respekt dla wartości podstawowych nie wygaśnie. Jednakże katolicy działający w sferze publicznej mają za zadanie obronę i promocję praw wywalczonych na początku III RP i pozostają w sytuacji całkowicie różnej od współwyznawców podejmujących aktywność w krajach, w których stanowisko katolickie znajduje się na marginesie politycznego systemu. A zatem w warunkach polskich typowa konserwatywna krytyka pełnego relatywizowania się demokracji parlamentarnej nie identyfikuje istoty kryzysu polskiej polityki.

Ta odmienność sytuacji nie powinna prowadzić do płytkiego optymizmu i samozadowolenia. Kryzys moralny w Polsce ma znacznie szerszy wymiar i jego przezwyciężenie wymaga ogromnego wysiłku wychowawczego, którego nie da się ująć w ramy czysto polityczne. Równie istotne jest to, że kryzys polityki przybrał postać nie mniej groźną niż destrukcja aksjologicznych podstaw demokracji. Właściwie, mamy do czynienia z rozpadem państwa jako instytucji

służącej dobru wspólnemu, a skala egoizmów grupowych uniemożliwia realizację celów całej wspólnoty politycznej. Dlatego też, odmowa uczestnictwa w życiu politycznym i brak zaufania do państwa są znacznie silniejsze niż w Hiszpanii, Niemczech czy Francji. W tej sytuacji szczególnie istotne są te treści Noty, które ukazują sens politycznego zaangażowania katolików, definiują zakres wolności w sferze politycznej i określają warunki zaangażowania politycznego. Wśród wielu okoliczności na niewielką aktywność polityczną Polaków wpływa niemal manichejskie przekonanie o moralnej destrukcji, jaką niesie ze sobą każda polityka. Bardzo nieliczna grupa obywateli pokłada wiarę w możliwość uprawiania polityki w duchu służby publicznej i szacunku dla kompetencji. Pogląd o moralnej wadliwości polityki jako takiej obecny jest także w środowiskach katolickich. Korupcja i niski poziom polityki polskiej przynosi kolejne dowody utwierdzające to przekonanie. Z drugiej strony każdy, kto rzeczywiście chce pozytywnej przemiany polityki w Polsce, musi się temu przeciwstawić. Nota wzmacnia zachętę do publicznego zaangażowania katolików i dodaje nowe argumenty przemawiające za nim. Nie ma w niej obecnego w niektórych środowiskach prawicowych pesymizmu, który posuwa się do kwestionowania możliwości stwarzania dobra w ramach porządku demokratycznego. Mowa jest natomiast o porzuceniu kompleksu niższości katolików i o diasporze kulturowej katolików jako złym rezultacie braku aktywności publicznej. W tekście Noty czytamy: „Owoc duchowego, moralnego i intelektualnego dziedzictwa katolicyzmu musi być dzisiaj przedstawiany przy użyciu współczesnych terminów kulturowych. Tej naglącej powinności nie można odkładać na potem bez ryzyka kulturowej diaspory katolików. Zresztą osiągnięty przez nich poziom kultury oraz dojrzałość politycznego doświadczenia, jakie w różnych krajach zdołali rozwinąć, zwłaszcza w ciągu dziesięcioleci po drugiej wojnie światowej, nie powinna wpędzać katolików w jakiś kompleks niższości w zestawieniu z innymi

propozycjami, które w świetle najnowszej historii okazały się kruche lub wręcz katastrofalne".

Niezwłocznie po tej zachęcie pada ważna przestroga przed przecenianiem działalności politycznej. Tekst Noty zwraca uwagę, że przemiany struktur dokonane w wyniku decyzji rządu i parlamentu, bez oparcia w kulturze, wierze i moralności mają kruche podstawy. To przestroga przed drogą na skróty, polityzacją katolicyzmu i lekceważeniem tego, co najistotniejsze – trwałych postaw wynikających z autentycznej wiary. A zarazem, dowartościowanie tych dziedzin, które mieszczą się poza polityką zawodową – pracy wychowawczej, akcji charytatywnej oraz inicjatyw kulturalnych. Wezwanie do polityki nie prowadzi do jedności organizacyjnej katolików, do tworzenia jednej partii politycznej. Nota przypomina czynniki przemawiające za możliwością działania i popierania różnych partii politycznych pod warunkiem ich wierności podstawowym zasadom moralnym: „Jeśli chodzi o płaszczyznę konkretnej działalności politycznej, trzeba przypomnieć czynniki uzasadniające istnienie wielości partii, w łonie których katolicy – zwłaszcza poprzez przedstawicielstwo parlamentarne – mogą wykonywać przysługujące im prawo i obowiązek kształtowania życia publicznego w swoim kraju. Do tych czynników zalicza się zależność niektórych wyborów w sprawach doczesnych od konkretnych okoliczności; fakt, że często są dopuszczalne z moralnego punktu widzenia różne strategie dla urzeczywistnienia lub zagwarantowania tej samej podstawowej wartości".

Czy chodzi tu tylko o aktualną także w warunkach polskich krytykę monopolu partii na reprezentowanie stanowiska katolickiego? Więcej znaczenia przyznałbym pozytywnym walorom syntezy wierności w kwestiach zasadniczych i wolności w sprawach doczesnych. Wolność w sprawach doczesnych wymaga zdolności do budowania dobra wspólnego bez angażowania autorytetu Kościoła i instrumentalizowania religii. Wymaga kompetencji, wysokich kwalifikacji

i systematyczności. Od zdobycia i rozwinięcia tej zdolności zależy w ogromnym stopniu odrodzenie polityki polskiej. Bowiem oczekiwanie na kompetentną politykę jest nie mniejsze niż nadzieja na uczciwość i zwycięstwo zasad.

(„Gość Niedzielny – Azymut", marzec 2003)

Tolerancja to za mało

Gniezno i Gdańsk są w tym roku szczególnie ważnymi punktami na mapie wydarzeń politycznych, kulturalnych i – co najważniejsze – duchowych naszego kraju. Spotkania prezydentów, premierów, ważne wydarzenia kulturalne i uroczystości kościelne tworzą klimat do tego, żeby poddać debacie to, co jest polskim wkładem w polityczne i kulturowe dziedzictwo Europy, wkładem polskiego dziedzictwa narodowego w dziedzictwo europejskie. Nadszedł właściwy moment, by pokusić się o postawienie ważnych pytań odnoszących się do polskiej samoświadomości i do tego, co chcielibyśmy promować za granicą jako nasz duchowy wkład w integrację europejską.

Symboliczna data 2000 roku to dobry czas, by publicznie podyskutować o tym, jakie wartości winny stać u podstaw procesu integracji europejskiej, która na naszych oczach ma szansę objąć Polskę i inne kraje regionu. Nie sądzę, by rozumne było redukowanie wspólnoty państw europejskich jedynie do wymiaru stosunków ekonomicznych czy politycznych. Chodzi mi o kulturowy wymiar integracji, nie sposób bowiem w rozważaniach o niej abstrahować od wspólnych korzeni kulturowych, dzięki którym powstał kod porozumiewania się europejskich narodów. Można te korzenie lapidarnie określić wedle nazw pradawnych duchowych stolic Europy: Aten, Rzymu i Jerozolimy.

Oświęcim, Kołyma, Kosowo

Proces budowy europejskiej wspólnoty wspierać się powinien na budowaniu wspólnoty w sferze kultury, bo tylko w ten sposób nadamy tworzonej przez nas Europie trwałe

podstawy i tylko pod tym warunkiem będziemy w stanie wspólnie – jak stwierdził Ojciec Święty w przemówieniu do prezydentów siedmiu państw naszego regionu, wygłoszonym w 1997 roku u grobu św. Wojciecha – umocnić swoją jedność, dochować wierności tym, którzy położyli podwaliny pod europejską kulturę. Bez zakorzenienia w kulturze wspólnota taka okaże się jedynie bytem efemerycznym.

My, Europejczycy, jesteśmy dumni z naszego dziedzictwa. Trudne do przecenienia są dokonania w sferze filozofii i prawa, w dziedzinie ochrony praw człowieka i zagwarantowania wolności. Nie sposób nie docenić osiągnięć technicznych i gospodarczych. Jednocześnie jednak mamy świadomość, że cywilizacja przeszła w tym stuleciu trudną próbę i nie bez racji została oskarżona o nieudolność w rozwiązywaniu swoich problemów i konfliktów.

Bez żadnej przesady można mijające stulecie nazwać epoką totalitaryzmów. Był to w znacznej mierze czas podziałów dokonywanych w imię wymogów abstrakcyjnych ideologii oraz najokrutniejszych eksperymentów, które dotknęły narody Europy Środkowej i Wschodniej. Pozwolę sobie przywołać następne trzy nazwy, które także wytyczają współczesne rozumienie tego, czym jest Europa: Oświęcim, Kołyma, Kosowo. Nazwy te to symbole bezradności wobec zagrożenia totalitaryzmem i przemocą na naszym kontynencie.

Intelektualna debata o spuściźnie i wyzwaniach nadchodzącej epoki musi zatem nieuchronnie oscylować wokół tych kilku nazw, z których jedne symbolizują najwspanialsze osiągnięcia naszej cywilizacji, a inne jej najstraszliwsze upadki. Sądzę, że dyskusja o kluczowych wartościach musi dotykać również pojęć „narodu" i „religii", jako tych, które znalazły się na liście podejrzanych o spowodowanie nieszczęść naszej epoki, oraz pojęcia „tolerancji", które w dzisiejszej kulturze staje się główną odpowiedzią na zagrożenie przemocą i nienawiścią.

Rola „Solidarności”

Gniezno jest kolebką polskiego narodu i państwa, a zarazem miejscem, gdzie tysiąc lat temu odbyło się spotkanie cesarza Ottona III z Bolesławem Chrobrym. Dwaj władcy znaleźli się wówczas u grobu świętego Wojciecha, Czecha, poddanego polskiego – człowieka, który głosił swoje przekonania, wyrzekając się przemocy, i oddał za nie życie, a jednocześnie – w najlepszym tego słowa znaczeniu obywatela Europy. Gniezno wymownie świadczy o tym, jak dawne powinowactwa łączą narody naszej części Europy i jak dawne są jej związki z Zachodem. Przypomina ono o równoprawnej obecności Polski we wspólnocie narodów europejskich. Zjazd gnieźnieński był wyrazem woli budowy systemu pokojowego współżycia krajów i narodów.

Tysiąc lat, które nastąpiły po spotkaniu gnieźnieńskim, obfitowało w wiele trudnych kart w historii Polaków i Niemców oraz wiele trudnych chwil w historii całej Europy. A jednak idea współpracy i partnerstwa przetrwała.

Polskim wkładem w tworzenie współczesnego oblicza Europy jest „Solidarność” – szeroki obywatelski ruch sprzeciwu wobec kłamstwa i przemocy, który narodził się dwadzieścia lat temu w Gdańsku. Nie do przecenienia jest jego rola w doprowadzeniu do upadku komunizmu i obalenia muru przecinającego Europę na dwie części.

Obywatelski ruch „Solidarności” w *Posłaniu do narodów Europy Środkowej i Wschodniej* uznał za ważne upominać się o los innych narodów pozbawionych przez system komunistyczny podstaw suwerenności. „Solidarność” dała impuls do przezwyciężania podziałów między naszymi krajami. Na tej podstawie dokonało się ożywienie współpracy między autentycznymi przedstawicielami ich życia intelektualnego, którzy narażając się na represje, mówili prawdę w imieniu swoich narodów, a nie zniewolonych państw.

Rozmaitość i zgoda zarazem

Nie sposób sprowadzić do kilku haseł wszystkich doświadczeń, które Polska wniesie do europejskiej wspólnoty kulturowej – na przykład dziedzictwa unii polsko-litewskiej, tradycji polskiego parlamentaryzmu, tradycji tolerancji religijnej czy romantycznej myśli o narodzie. Sądzę jednak, że w polskich doświadczeniach, inaczej niż w doświadczeniach niektórych narodów zachodnioeuropejskich, jawi się pragnienie wolności i zobowiązań wobec wspólnoty oraz doświadczenie obecności religii w życiu społecznym.

Europejska współpraca winna się opierać właśnie na wzajemnej solidarności w stosunkach międzynarodowych. Podstawą politycznej wizji cesarza Ottona III i Bolesława Chrobrego był równoprawny udział wszystkich członków europejskiej rodziny. Używając dzisiejszych określeń, można by nawet powiedzieć, że wizją tą było pragnienie budowy Europy uniwersalnej, opierającej się nie tylko na tolerancji, ale nade wszystko na współpracy i solidarności. Taka właśnie solidarna Europa, żyjąca w pokoju i harmonii, ale i we wzajemnym szacunku dla własnych tożsamości, pozostaje do dzisiaj naszym celem. Za wielkim polskim wieszczem romantycznym Zygmuntem Krasińskim możemy więc powtórzyć: „Czym nuty są w akordzie, tym narody w człowieczeństwie: rozmaitością i zgodą zarazem. Bez nich niepodobna pomyślić ludzkości, bo byłaby to jedność bez rozmaitości”.

(„Rzeczpospolita”, 29.04.2000)

Odzyskać pamięć

Polacy podobno mają skłonność do megalomanii, mesjanizmu, idealizują swoją historię i nie dostrzegają własnych wad. Takie w każdym razie wyobrażenie o Polakach zadomowiło się w polskich sferach intelektualnych w ostatnim stuleciu. Trzeba jednak przyznać, że już w dwudziestoleciu międzywojennym najtęższe pióra odbrązawiały Mickiewicza, Słowackiego i – bodaj najbardziej skutecznie – Krasińskiego.

W czasach bojów „szyderców" z pułkownikiem Załuskim wypadało drwić z ułanów, tradycji romantycznej i powstańczej. Z uporem godnym lepszej sprawy kolejne pokolenia reżyserów dowodzą swojej niezależności, wystawiając „Króla Ubu", którego akcja dzieje się „w Polsce, czyli nigdzie". Dzisiaj w modzie jest głośne łomotanie we własne piersi za antysemityzm, Jedwabne, plan Wisła, „wypędzenie".

Piszemy to wszystko z ironią, ale niezbyt zjadliwą. Choć narodowy rytuał bicia się w piersi już się zbanalizował, nie zmienia to faktu, że umiejętność dostrzegania własnych błędów i słabości jest przejawem dojrzałości. Demaskowanie ma jednak sens tak długo, jak długo funkcjonują mity. Można rewidować wyobrażenia o przeszłości tylko wówczas, gdy te wyobrażenia w ogóle istnieją. Perswazja moralna jest skuteczna wtedy, kiedy potrafimy nie tylko spokojnie mówić o wadach, ale i proponować pozytywne wzorce. W innym wypadku całe to odbrązawianie staje się mimowolnym narzędziem cynizmu.

Źródła polskiego samokrytycyzmu

Krytyczny stosunek do własnej przeszłości ma w Polsce silne zakorzenienie w tradycji intelektualnej, do której

przedstawicieli należeli stańczycy i – może to kogoś dzisiaj dziwi – Roman Dmowski, we wczesnym okresie swej działalności formułujący ostrą krytykę narodowych wad: bierności, braku konsekwencji i odpowiedzialności. Współczesna krytyka nie tyle wyrasta z troski o poprawę narodowej kondycji, ile jest trochę rezultatem mody na „hermeneutykę podejrzeń", a może w jeszcze większym stopniu jest to kompleks niższości polskiej inteligencji, który przejawia się w ciągłym przeglądaniu się w lustrze cudzych opinii. Kompleks ten jest jednym z głównych rysów głębokiego kryzysu patriotyzmu i zaniżenia polskich aspiracji. Chcemy być już jak najszybciej tacy sami, równi i akceptowani przez Tych z Zachodu. „Pokochajcie nas, zrobimy wszystko, bylebyśmy byli tacy jak Wy". Chcemy za wszelką cenę być Europejczykami, często zapominając, że bycie Europejczykiem oznacza bycie Francuzem, Niemcem, Anglikiem czy Hiszpanem.

W okresie komunizmu, pomimo cenzury, toczyliśmy poważne spory na temat sensu rozmaitych postaw patriotycznych, których ślady można znaleźć w książkach takich autorów jak: Andrzej Kijowski, Bohdan Cywiński, Tomasz Łubieński, Marcin Król, Wojciech Karpiński i Stefan Kisielewski. Gorące zainteresowanie budziła wystawa „Polaków portret własny" prof. Marka Rostworowskiego. Polacy spierali się o powstanie warszawskie, żywo reagowali na historyczne odniesienia w wypowiedziach Prymasa Tysiąclecia i Jana Pawła II. Po 1989 roku nasze zainteresowanie historią stało się uboższe. Wielu ludziom wydawało się, że przeszłość jest istotna tylko dla narodów zniewolonych, nieszczęśliwych i nie jest już potrzebna. Jest w tym również zasługa politycznej operacji odcinania przeszłości, którą z różnych powodów byli zainteresowani zarówno postkomuniści, jak i część dawnej opozycji ze środowiskiem „Gazety Wyborczej" na czele.

W Polsce świadomość wagi przeszłości pada wreszcie ofiarą prymitywnego ekonomizmu. Symptomatyczny był drobny fakt, jakim było usunięcie przez Andrzeja Celińskie-

go „dziedzictwa narodowego" z nazwy ministerstwa, które konstytucyjnie odpowiada za pielęgnowanie tradycji państwowej. (Decyzja ta motywowana była negatywnymi konotacjami ideologicznymi tego pojęcia. Sic!) I nie był to pusty gest, bo za tą decyzją poszło m.in. zlikwidowanie kierowanego przez Tomasza Mertę Instytutu Dziedzictwa Narodowego, który pomimo krótkiego istnienia zdążył wyróżnić się świetnymi inicjatywami, i 56-proc. redukcja wydatków na ochronę zabytków w pierwszym roku rządów SLD.

Potrzeba polityki historycznej

Dzisiaj ta atmosfera jednak znów się zmienia. Coraz powszechniej widoczne są wady III Rzeczypospolitej, coraz gwałtowniej poszukujemy wartości, które mogłyby pomóc ją zasadniczo zreformować albo stanowić podwaliny nowej IV Rzeczypospolitej. Coraz jaśniejsze jest przekonanie, że do stworzenia sprawnie działającego państwa nie wystarczy uruchomienie mechanizmów rynkowych. Staje się jasne, że państwo nie może poprzestać wyłącznie na pełnieniu funkcji ekonomicznych, działając jak spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Wobec słabości współczesnych autorytetów i wobec kryzysu zaufania do politycznych rozwiązań, warto odwołać się do szerszej perspektywy, która pozwala widzieć więcej i lepiej, pozwala dostrzec sens tam, gdzie bieżące spory go zamazują.

Kampania na rzecz stworzenia Centrum przeciwko Wypędzeniom w Berlinie pokazuje, jak nadal ważna jest pamięć historyczna i jak wielkie szkody przynosi nasza bezczynność w tej kwestii. Debata o centrum uzmysławia realne znaczenie historii w polityce europejskiej i konieczność podjęcia inicjatyw prezentujących zasługi historyczne Polski w nowoczesnych i komunikatywnych formach.

Niestety, uwaga większości uczestników dyskusji koncentruje się wokół pomysłów „umiędzynarodowienia" Centrum przeciwko Wypędzeniom, co oznacza być może przekierowanie tego pomysłu na bardziej rozumne tory. Cały

czas jednak musimy tłumaczyć się, że nie jesteśmy „wielbłądem". W minimalnym stopniu daje to możliwość wyjścia z obecnego konfliktu i pozytywnego prowadzenia tego, co kiedyś publicyści Warszawskiego Klubu Krytyki Politycznej nazwali „polityką historyczną".

Światowy wymiar polskiej historii

Tymczasem sens historii Polski układa się w przesłanie – wokół którego można budować pozytywny konsens obywatelski – stanowiące ciekawy wkład w dziedzictwo naszego kontynentu. Spróbujmy przywołać kilka ważniejszych obrazów z naszej historii: kraj pokojowego współżycia narodów (Unia Lubelska, o której niedawno wspomniał Jan Paweł II) i jednej z najstarszych w Europie tradycji parlamentarnych; „państwo bez stosów"; Konstytucja 3 maja; udział Polaków w wojnie o niepodległość USA i w niepodległościowych zrywach innych narodów; odparcie ataku bolszewickiego w roku 1920; kraj, który pierwszy stawił opór Hitlerowi, Armia Krajowa i powstanie warszawskie; zrywy antykomunistyczne z lat 1956-1976; polski Kościół, który wydał wybitnych ludzi – kardynałów Stefana Wyszyńskiego i Karola Wojtyłę; „Solidarność" – największy wolnościowy ruch w historii dwudziestowiecznej Europy, który w ogromnym stopniu zadecydował o wyzwoleniu narodów spod komunizmu i – o czym pozwalamy zapomnieć – zjednoczeniu Niemiec. Oto zaledwie niektóre wątki naszej historii, które mają znaczenie nie tylko wyłącznie lokalne. W tych wszystkich momentach i wielu innych, których nie sposób tu wymienić, historia Polski – można powiedzieć bez megalomanii – stawała się własnością całego świata. Słowa amerykańskiego historyka i publicysty George'a Weigla, że wszyscy oddani sprawie wolności mają dług wdzięczności wobec Polski, nie miały kurtuazyjnego charakteru.

To wszystko wiemy, gdzieś jest to zapisane, kiedyś to czytaliśmy, ale kiedy usiłujemy przekazać młodszemu pokoleniu naszą wizję historii albo wytłumaczyć coś cudzoziem-

cowi, natrafiamy na barierę. Tą barierą jest brak materiałów, instytucji, miejsc, które byłyby do tego przygotowane. Odnosimy wrażenie, że Polacy – wbrew mitowi o szczególnym wyczuleniu na historię – stali się jednym z najbardziej obojętnie odnoszących się do własnego dorobku narodów. Jeśli tak nie jest, to proszę nam wskazać miejsce, gdzie można zaprowadzić córkę, syna albo owego cudzoziemca, by wytłumaczyć im cokolwiek z tego, co działo się w naszym kraju w XX wieku. Warszawa jest pod tym względem miastem pustym. Nie potrzebujemy miejsc, by sami siebie czcić i udowadniać, że jesteśmy pępkiem świata, ale po prostu, by jakoś się przedstawić. Nie mamy Luwru, wieży Eiffla, Colosseum, Pałacu Westminsterskiego, ale istnieje ciekawa historia, którą można i należy dobrze opowiedzieć, pokazać i opisać.

Jak ożywić historię

Czy zatem jest możliwe ożywienie historii? Czy nie jest ona dla współczesnego człowieka czymś nudnym i niepożądanym? Czy możliwe jest coś więcej niż tylko zamknięcie jej na kartach podręczników, przedstawienie w brązie czy marmurze, oddanie we władanie monotonnego cyklu oficjalnych rocznic i ceremonii? Na całym świecie znajdują się znakomite przykłady, w jaki sposób prezentuje się historię, tak by była ona ciekawa, emocjonująca, pasjonująca. Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, Muzeum Republiki Federalnej Niemiec w Bonn czy Dom Terroru w Budapeszcie to tylko niektóre z placówek, które pokazują historię w sposób ciekawy, nowoczesny i skutecznie upowszechniają wiedzę.

Naszym sojusznikiem są dziś rozmaite osiągnięcia techniczne – filmy, płyty, Internet, technika komputerowa. Żeby przekonać się, że historia może być żywa i interesująca, można wybrać się do nieodległego Budapesztu, by obejrzeć Dom Terroru. Mamy wreszcie i polskie przymiarki do zagospodarowania tej przestrzeni – warto wymienić wystawę, która powstała w Gdańsku w dziesięciolecie „Solidarno-

ści", oraz wystawę „Socland", która budzi zainteresowanie mediów i publiczności. Po wielu latach niemożności i niespełnionych obietnic mamy szansę doczekać się w stolicy Muzeum Powstania Warszawskiego.

Muzeum Wolności

Jest dla nas jasne, że upowszechnienie wiedzy historycznej stanowi ważny element edukacji obywatelskiej. Bez aktywnej działalności w tej dziedzinie będziemy skazani jedynie na tłumaczenie się z niepopełnionych win, na rolę przedmiotu historycznej polityki innych państw. Potrzebna nam nie tylko bierna wiedza, ale i aktywność, „polityka historyczna", a przede wszystkim ponadśrodowiskowy sojusz, który pomoże przełamać groźną bezwolność.

Do najważniejszych elementów takiej aktywnej polityki historycznej powinna należeć poprawa jakości edukacji historycznej w szkołach, wzmocnienie istniejących – publicznych i niezależnych – instytucji i programów, które odgrywają ważną rolę w dokumentowaniu i popularyzowaniu historii (np. IPN, Karta, Centrum „Solidarności"), zobowiązanie do podjęcia tej tematyki przez instytucje odpowiedzialne za promocję Polski (zwłaszcza instytuty polskie za granicą, Instytut Adama Mickiewicza). Konieczne jest wreszcie powołanie nowoczesnej placówki o charakterze muzealnym i badawczym, aktywnie wychodzącej naprzeciw potrzebom współczesnej wrażliwości estetycznej i emocjonalnej. Taka instytucja poświęcona historii Polski mogłaby nosić nazwę Muzeum Wolności.

Kazimierz Michał Ujazdowski, Robert Kostro
(„Rzeczpospolita", Polacy i historia, 27.09.2003)

Polityka historyczna i jej wrogowie

W ostatnich tygodniach na łamach najpoczytniejszych dzienników opublikowano kilka tekstów krytycznie odnoszących się do wszelkich przedsięwzięć określanych najczęściej wspólną nazwą „polityki historycznej". Prócz długiej litanii zarzutów pod adresem tych, którzy teoretyczne postulaty starają się przemienić w praktyczne działania, można było w nich znaleźć także rytualnie powtarzane zaklęcia o niezbędności dyskusji i prowadzenia poważnego dialogu. Kłopot z żarliwymi entuzjastami dialogu jest jednak, niestety, ten, że zdumiewająco często okazują się oni zaprzysięgłymi monologistami, którzy zamiast słuchać argumentów swoich adwersarzy, wolą powtarzać w kółko stereotypowe opinie, jakie przywykli uważać za oczywiste. Wydaje się, że tak właśnie ma się rzecz z dialogiem na temat polityki historycznej. Zarzuty, jakie stawia się jej twórcom i zwolennikom, są w zdecydowanej większości niesprawiedliwe, ich fundamentem są zaś uprzedzenia i irracjonalne lęki, a nie poważna analiza krytykowanego projektu.

Grzech pierwszy: koniunkturalizm

Zgodnie z tym stereotypowym poglądem zwolennicy polityki historycznej są nade wszystko koniunkturalistami. Miłość do historii rozkwitła w nich wyłącznie z pragnienia krótkoterminowej politycznej korzyści. Polityka historyczna nie jest więc ostatecznie niczym więcej jak tylko sprytną sztuczką, dzięki której można zyskać wyborcze poparcie, trafiając w ludzkie oczekiwania i emocje. „Robotnicy ostatniej godziny" są nieodłączną częścią demokratycznego krajobrazu i nie ma żadnego powodu, by sądzić, że w przypad-

ku polityki historycznej rzecz ma się inaczej. Jednakże budowanie na tej podstawie uogólniającej opinii, jakoby wszyscy upominający się o politykę historyczną działali z koniunkturalnych pobudek, wydaje się nazbyt pochopne. Warto przecież pamiętać i o tych, którzy w latach 90. odmawiali traktowania państwa jako spółki z ograniczoną odpowiedzialnością i za poważny błąd uważali redukowanie jego zobowiązań do sfery ekonomiczno-socjalnej. Autorzy tego tekstu należeli do tej szczupłej – powiedzmy to od razu – grupy polityków i publicystów, którzy upominali się o poważne traktowanie pamięci historycznej i patriotyzmu także wtedy, gdy zamiast politycznych profitów mogli liczyć najwyżej na opinię anachronicznych dziwaków. Wystarczy przypomnieć choćby kontrowersje i spory, jakie towarzyszyły akcji plakatowej i wystawie „Bohaterowie naszej wolności", zorganizowanej w 2001 roku przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, by zrozumieć, że to nie tyle zwolennicy polityki historycznej zmienili poglądy, ile zmieniła się polityczna koniunktura.

Grzech drugi: reaktywność

Koniunkturalizm w opinii niektórych krytyków łączy się z reaktywnością. Wedle tego poglądu polityka historyczna pojawiła się w menu polskiej polityki wyłącznie jako reakcja na niemieckie i rosyjskie poczynania. I z tym jednak trudno w pełni się zgodzić – polityka historyczna nie jest w istocie rzeczy niczym więcej, jak wyrażeniem przekonania o tym, że państwo nie może lekceważyć historii, że musi rozumieć, iż przeszłość nie jest zupełnie martwa, że nie przestała wywierać istotnego wpływu na nasze życie. Mówiąc o polityce historycznej, wskazujemy więc na odpowiedzialność państwa za stworzenie możliwości prowadzenia rzetelnych badań historycznych, za podtrzymywanie zainteresowania historią i za stałe toczenie batalii przeciw erozji pamięci zbiorowej. Sądzimy, że konsensus proceduralny, choć niewątpliwie ma dla demokracji znaczenie podstawowe, okazu-

je się pod wieloma względami niewystarczający. Dobre funkcjonowanie demokratycznego państwa wymaga czegoś więcej – wspólnoty obywateli konstytuującej się nie tylko wokół zespołu wspólnych wartości, lecz także symboli i historycznych przeżyć. Oczywiście oprócz tego aspektu wewnętrznego polityki historycznej, istotnego przede wszystkim dla tożsamości wspólnoty, ogromne znaczenie ma także jej aspekt zewnętrzny. W żadnym razie jednak nie jest tak, że jedynym sensem polityki historycznej jest pragnienie skutecznej rywalizacji z wizjami historycznymi innych państw.

Grzech trzeci: etnocentryzm

Nasi adwersarze wydają się lepiej od nas wiedzieć, jaka będzie rzeczywista treść polityki historycznej. W jej centrum znajdzie się podobno idea etnicznie pojmowanego narodu (oto dlaczego do nazwy Ministerstwa Kultury wróciły słowa „i Dziedzictwa Narodowego"), co nie tylko doprowadzi do automatycznego wykluczenia mniejszości, ale okaże się także bezprzykładnym zamachem na różnorodność świata, ignorującym historię lokalną i niweczącym wszelkie próby podtrzymywania regionalnego patriotyzmu. Mało tego – w naszej opowieści nie będzie rzekomo żadnego miejsca na krytycyzm, bo cały porządek mówienia zostanie podporządkowany kreacji martyrologiczno-bohaterskiego mitu. Cel tych dążeń jest zdaniem krytyków całkiem oczywisty: z pomocą mitu niewinnej i bohaterskiej ofiary chcemy przeprowadzić zbiorową terapię narodową, utwierdzając megalomańskie skłonności Polaków i egzorcyzmując wszelkie zalążki poczucia winy za dokonane w przeszłości nieprawości. Jednym słowem, cały ten projekt jest zupełnie anachroniczny, a w dodatku jeszcze potencjalnie groźny, bo próbuje przywrócić bezrefleksyjny obraz Polski anielskiej.

W jednym wypada się z krytykami zgodzić: gdyby istotnie taki miał być sens polityki historycznej, zasługiwałby na potępienie. Tyle że, szczerze mówiąc, trudno nam się

w tej karykaturze rozpoznać. Przywrócenie nazwy „Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego" nie jest świadectwem nacjonalistycznych skłonności, lecz jedynie próbą pokazania, że rola państwa w sferze kultury nie powinna być ograniczana do wspierania kultury wysokoartystycznej.

„Naród – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej"

Trudno też doprawdy odgadnąć, dlaczego nasi krytycy sądzą, że ignorujemy formułę utrwaloną w naszej konstytucji: „Naród – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej". Ostrze naszego projektu w żadnym razie nie kieruje się przeciwko „innym", bo uważamy, że budowanie tożsamości i pamięci historycznej na podstawie antagonizmu i kreacji wizerunku wroga wiedzie jedynie na manowce. Z drugiej jednak strony, z pewnością nie zaliczamy się do tych, którzy sądzą, że już samo mówienie o narodzie czy polskości jest ryzykowne, że może przebudzić upiory podłości lub bezkrytycznego idealizmu. Polskość pozostaje dla nas inspiracją i zobowiązaniem, a nie ograniczeniem i zagrożeniem. Wątpliwe też wydaje się nam, by rzeczywiście istniało trwałe, niemożliwe do przezwyciężenia napięcie między makronarracją narodową i mikronarracjami regionalnymi i mniejszościowymi. Oryginalność i niezwykłość idiomu polskiego wynikała przecież w znacznej mierze właśnie ze zdolności do twórczej asymilacji i przetworzenia różnorodnych elementów, tradycji i stylów życia. Walka z erozją wspólnotowej pamięci nie może więc być żadną miarą walką z różnorodnością.

Czy istotnie naszym celem jest kreowanie martyrologiczno-bohaterskiego mitu i kompletne odrzucenie historii krytycznej? Krótka odpowiedź brzmi: z pewnością nie. Ale zapewne warto pokusić się także o jej dłuższą wersję. Na początku należałoby podkreślić – co zdaje się jakoś naszym krytykom w niepokojący sposób umykać – że akurat w polskiej historii martyrologia była częściej rzeczywistością niż mitem. Poległym i zamordowanym winni jesteśmy pamięć i szacunek, nie znaczy to jednak, że chcielibyśmy budować

opowieść o przeszłości wyłącznie wokół wątków martyrologicznych. Straszliwe świadectwo cierpień może uczynić wstrząsające wrażenie, pod warunkiem wszakże, że nie odwołujemy się doń bezustannie. Nawiązanie rozmowy z młodym pokoleniem w ironicznych czasach, w jakich żyjemy, nie jest możliwe z pomocą niestrawnego dydaktyzmu, hagiografii czy nieumiarkowanie dawkowanego patosu.

Nie zapominając o krzywdach i cierpieniach, warto więc w opowieści o polskiej przeszłości zaakcentować to, co było optymistyczne i porywające, warto uwypuklić polski model dobrego życia, pokazać wartość naszej obyczajowości (będącą częściej przedmiotem kpin niż rozważnego namysłu), unaocznić fascynującą siłę polskiej kultury. Przesłanie takiej opowieści z natury rzeczy musi być przesłaniem pozytywnym. Jednakże wizja pozytywna nie może być wizją fałszywą. Nie idzie więc o to, by uchylać się od mówienia o rzeczach niegodnych czy kontrowersyjnych, ale o to, by zachować właściwy porządek mówienia, to znaczy taki, w którym afirmacja poprzedza (ale nie wyklucza!) krytyczny osąd.

Nie przeciwstawiajmy sobie historii bohaterskiej i krytycznej, bo potrzebujemy ich obu, ale nie sądźmy też (co zdają się robić nasi adwersarze), że historia krytyczna jest jedynym prawomocnym sposobem przedstawiania naszych dziejów. Co zabawne, ci, którzy sądzą, że naszym marzeniem jest opowiadać dzieje Polski na klęczkach, sami po cichutku przemykają do małej kapliczki, gdzie padają plackiem przed prorokami historii krytycznej. A jaki głośny krzyk podnoszą na najdrobniejszą uszczypliwość pod adresem – powiedzmy – Michała Bobrzyńskiego! Widać i dla nich istnieje grzech niewybaczalny i obrazoburczy: być krytycznym wobec tradycji krytycznej... Dyskusję na temat tego, czy o polskiej historii można mówić wyłącznie dobrze, czy wyłącznie źle, uważamy za umiarkowanie pożyteczną. Kompleks niższości i kompleks wyższości są w końcu siebie warte. Są problemy poważniejsze, choćby zastanowienie się nad tym, czy istotnie jest rzeczą właściwą prezentować pol-

ską historię wyłącznie jako ciąg walk i niepodległościowych zrywów. Wydaje nam się, że szczególnie teraz ważne jest, by opowieść o Polakach umiejących walczyć o wolność zrównoważyć inną narracją – o umiejętności roztropnego zabudowywania przestrzeni wolności, o zdolności do tworzenia i działania w czasach pokoju.

Anachroniczna terapia narodowa? Ani anachroniczna, ani terapia. Proponujemy, by patrzeć na politykę historyczną jako na przedsięwzięcie edukacyjne, a nie terapeutyczne. W tym sensie, choć dotyczy przeszłości, zwraca się ku przyszłości. Idzie o zbudowanie takiego modelu patriotyzmu, który będzie odpowiadał na współczesne wyzwania. Musi to być patriotyzm, który nie zapominając o swoich insurekcyjnych korzeniach, będzie wskazywał, jak należy działać w warunkach zdefiniowanych przez istnienie niepodległego państwa leżącego w szybko jednoczącej się Europie. Patriotyzm, który wzmocni swój związek z obywatelskością, przejawiając się nie tylko w szlachetnych deklaracjach, lecz także w gotowości do służby publicznej, do realnego – i odważnego – zaangażowania w życie naszej demokratycznej wspólnoty. Z pewnością taki cel może zostać osiągnięty tylko wtedy, gdy potrafimy znaleźć nowoczesne sposoby budowania historycznej narracji, gdy potrafimy powiedzieć to, co uważamy za szczególnie istotne, w języku zrozumiałym nie tylko dla nas, ale i dla młodego pokolenia. Chcielibyśmy, by Muzeum Historii Polski, nad którego powołaniem obecnie pracujemy, stało się takim ważnym dla młodych miejscem.

Spór zwolenników polityki historycznej z jej przeciwnikami nie może zostać rozstrzygnięty w publicystycznej dyskusji. Wierzymy jednak, że powołanie Muzeum Historii Polski stanie się momentem rzeczywistej weryfikacji zarówno naszych poglądów, jak i zasadności lęków naszych adwersarzy.

Kazimierz Michał Ujazdowski, Tomasz Merta, Robert Kostro
(„Gazeta Wyborcza", 06.04.2006)

Fałszywa droga do pojednania

Wrocław znów stał się adresatem pomysłu ryzykownego z punktu widzenia zachowania pamięci historycznej i tylko z pozoru służącego odbudowie stosunków polsko-niemieckich. Chodzi o odświeżoną niedawno przez Bronisława Geremka i Władysława Frasyniuka ideę utworzenia tam Centrum Pojednania Polsko-Niemieckiego (wcześniej z pomysłem tym wystąpili na łamach „Gazety Wyborczej" Adam Michnik i Adam Krzemiński). W zamyśle obu polityków PD centrum we Wrocławiu miałoby być alternatywą dla berlińskiego Centrum przeciwko Wypędzeniom.

W Niemczech te projekty nie zostały jednak potraktowane jako alternatywne. Angela Merkel, liderka CDU i kandydatka na kanclerza, poparła berliński projekt, a Erika Steinbach pochwaliła projekt centrum wrocławskiego jako miejsca pojednania i „uzgodnienia" stanowisk. Obserwatorów niemieckiej polityki deklaracje te nie zaskakują, nas powinny zaś skłaniać do przemyślenia postępowania w zakresie polityki historycznej.

Ryzyko fałszu

Autorzy projektu Centrum Pojednania Polsko-Niemieckiego nie wspominają o tym, co ma stanowić podstawę nowego aktu pojednania. Przemilczają też niewygodną prawdę o niekorzystnych zmianach, jakie zaszły w świadomości niemieckiego społeczeństwa i jego elit politycznych, które w coraz mniejszym stopniu mają poczucie odpowiedzialności za wywołanie II wojny światowej.

Ten negatywny proces wykracza daleko poza środowiska skupione wokół Związku Wypędzonych. Budowa wro-

cławskiego centrum bez poważnej dyskusji oznacza ryzyko tłumaczenia się z niepopełnionych win. Świadczą o tym wymownie wypowiedzi polityków SPD, którzy uznają za konieczne wprowadzenie problemu współodpowiedzialności Polaków za przesiedlenia do nowej formuły polsko-niemieckiego pojednania. W odróżnieniu od historycznego listu biskupów polskich sprzed czterdziestu lat i znaczących gestów w dialogu polsko-niemieckim po 1989 roku, to nowe pojednanie niesie ze sobą ryzyko fałszu i przypisania Polsce częściowej odpowiedzialności za przesiedlenia, które – jako konsekwencja wywołania II wojny światowej – przeprowadzone były bez udziału państwa polskiego na mocy decyzji mocarstw alianckich.

W istocie propozycja ta stwarza ryzyko nie mniejsze niż utworzenie berlińskiego centrum. Polega ono w tym przypadku na udziale Polski w procesie, który musi przynieść skutek w postaci relatywizacji niemieckiej odpowiedzialności za zbrodnie II wojny światowej. Politycy niemieccy, bez względu na dzielące ich różnice, wskazują na Wrocław, bo placówka ulokowana w tym mieście z natury rzeczy wyeksponuje problem przesiedleń. Trudniej będzie także we Wrocławiu o przedstawienie ogromu zbrodni dokonanych na polskiej ludności cywilnej w Polsce centralnej, na Pomorzu i Wielkopolsce, które znacznie przewyższały swym rozmiarem cierpienia przesiedlonych.

Trzeba pamiętać, że nawet w optyce SPD-owskich krytyków projektów Eriki Steinbach nie ma miejsca na zbrodnie Wehrmachtu dokonane przed rokiem 1941. Głośna swego czasu wystawa poświęcona zbrodniom Wehrmachtu pomijała milczeniem pierwsze dwa lata wojny.

Defensywna polityka historyczna

Przypomnieć także wypada, że na arenie międzynarodowej podjęto już inicjatywę, która miała zapobiec utworzeniu Centrum przeciwko Wypędzeniom w Berlinie. Mam na myśli „Sieć przeciwko wypędzeniom", powołaną z udziałem

ministrów kultury Polski, Niemiec, Węgier, Słowacji i Austrii. Projekt ten nie powstrzymał CDU przed poparciem utworzenia centrum w Berlinie. To niepowodzenie winno stanowić dla nas ostrzeżenie przed skutkami selektywnego traktowania prawdy historycznej. Czesi nie bez racji zrezygnowali z udziału w tym przedsięwzięciu.

W ramach inicjatywy ministrów kultury kwestie zbrodni niemieckich na polskiej ludności cywilnej znajdują się poza zakresem podstawowego zainteresowania, bo nie mieszczą się w koncepcji, w której przesiedlenia traktowane są jako najważniejszy po Holokauście przypadek zbrodni przeciwko ludności cywilnej. To samo niebezpieczeństwo grozi projektowi Centrum Pojednania we Wrocławiu, tym bardziej, że jego autorzy nie zechcieli poddać analizie współczesnych niemieckich pomysłów w tej sferze, przyjmując błędnie, że problem po stronie Niemiec tkwi wyłącznie w stanowisku Eriki Steinbach.

Polska polityka historyczna musi oderwać się od poszukiwania ciągłych odpowiedzi na niemieckie poczynania w dziedzinie pamięci o losach przesiedlonych. W przeciwnym razie pozostanie wtórna i reaktywna. Podstawowym zadaniem władz publicznych jest prezentacja w nowoczesnych formach polskiego dorobku historycznego. Niedobrze by się stało, gdybyśmy mieli uznać, że utworzenie Instytutu Pamięci Narodowej i zbudowanie Muzeum Powstania Warszawskiego zaspokaja wszystkie polskie potrzeby w tym zakresie. Byłoby również źle, gdyby nasze działania miały charakter defensywny, ograniczony do momentów, w których wrażliwość Polaków deptana jest przez innych.

W dziedzinie polityki historycznej potrzebna jest systematyczność i wytrwałość. Powinniśmy zaprojektować działania, które w dalszej perspektywie umożliwią prezentację polskiego wkładu w historię Europy. Potrzebne jest wzmocnienie publicznych, niezależnych instytucji oraz programów, które odgrywają kluczową rolę w dokumentowaniu i popularyzowaniu historii. Zatrważający przykład pol-

skich zaniedbań stanowi fakt opublikowania po wojnie nie więcej niż trzystu świadectw osób cywilnych, będących świadkami zbrodni popełnionych w czasie powstania warszawskiego. Zdecydowana większość ukazała się przed 1989 rokiem.

Nie krzywdzić Wrocławia

Należy wprowadzić nowe formy wsparcia stypendialnego dla zagranicznych naukowców i studentów interesujących się historią i kulturą Polski. Przypomnieć trzeba ideę powołania nowoczesnej placówki o charakterze muzealnym, edukacyjnym i badawczym, która przedstawiałaby w atrakcyjnej multimedialnej formie kluczowe elementy polskiego doświadczenia historycznego, począwszy od dorobku Rzeczypospolitej Obojga Narodów, aż po udane zmagania polskiej wolności z nazizmem i komunizmem. W opublikowanym na łamach „Rzeczpospolitej" tekście *Odzyskać pamięć* („Rzeczpospolita" z 27 września 2003) proponowałem razem z Robertem Kostro nazwę Muzeum Wolności w przekonaniu, że idea ta stanowi najważniejszy wkład Polski w dziedzictwo Europy.

Pomysł umiejscowienia Centrum Pojednania Polsko-Niemieckiego we Wrocławiu przyniesie szkodę miastu, którego rola w historii Polski nie powinna być sprowadzona do upamiętniania losu przesiedlonej ludności niemieckiej. Powojenny Wrocław był jednym z najprężniejszych ośrodków życia kulturalnego, a w latach 80. najżywotniejszym po Trójmieście miejscem solidarnościowego oporu. Nasz wysiłek powinien być skoncentrowany na wsparciu dla podjętych już przez władze Wrocławia i Dolnego Śląska inicjatyw utworzenia Centrum Solidarności i Walki z Totalitaryzmem oraz powołania Muzeum Ziem Zachodnich, prezentującego wielki wysiłek cywilizacyjny Polaków przybyłych w ogromnej części z polskich Kresów Wschodnich.

Nikt w stolicy Dolnego Śląska nie myśli o realizacji tych przedsięwzięć w duchu konfrontacji z Niemcami. Wręcz

przeciwnie, szacunek dla wielowątkowej spuścizny kulturalnej Wrocławia jest znaną w świecie cechą społeczności tego miasta. Znakomitą okazją do budowy dobrego klimatu w relacjach polsko-niemieckich będzie planowane przez władze Wrocławia na koniec listopada odsłonięcie pomnika kardynała Bolesława Kominka, twórcy historycznego listu biskupów polskich do biskupów niemieckich. Natomiast Centrum Pojednania Polsko-Niemieckiego we Wrocławiu, wbrew intencjom Bronisława Geremka i Władysława Frasyniuka, raczej wyostrzy, niż złagodzi różnice w spojrzeniu na historię stosunków polsko-niemieckich, skazując tym samym Wrocław na życie w cieniu „złej historii".

(„Rzeczpospolita", 17.08.2005)

Pamięć i przyszłość

W *Polityce i sztuce* Stefan Kisielewski widział polską szansę w syntezie romantyzmu z właściwą pozytywizmowi troską o systematyczność i trwałą formę instytucjonalną. Uwagę tę odnieść można z powodzeniem do każdej dziedziny polskiego życia publicznego. Zbyt często marzenia i wielkie aspiracje nie znajdują urzeczywistnienia z powodu braku stałości w naszych poczynaniach.

Bywa, że zapominamy o ważnych dokonaniach i ważnych momentach polskiego doświadczenia historycznego, gubiąc tym samym okazję do zaprezentowania wartości istotnych w dziejach Europy. Przypominamy sobie o nich poniewczasie, gdy racje innych biorą górę nad naszymi, nie zawsze w zgodzie z poszanowaniem prawdy historycznej i sprawiedliwości. Choć w ostatnich latach udało nam się nadrobić wiele zaległości w tej sferze – czego dowodem jest Muzeum Powstania Warszawskiego oraz powstające Muzeum Historii Polski i Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku – to wciąż na liście zaniedbań pozostaje kilka ważnych pozycji. Z pewnością figuruje na niej ukazanie wartości historycznych i kulturowych, dzięki którym polskie ziemie zachodnie są ważnym miejscem nie tylko dla naszego kraju, lecz i dla całej Europy.

Jedną z najważniejszych konsekwencji II wojny światowej okazała się zmiana granic państwa polskiego. Wskutek niemieckiej i sowieckiej okupacji, a następnie jałtańskiej decyzji trójki wielkich mocarstw nastąpiło przymusowe przesiedlenie pozbawionej własnych małych ojczyzn ludności dawnych Kresów Wschodnich na tereny przyłączone do Polski w 1945 roku. Czy możemy sobie pozwolić na zapomnienie o nadzwyczajnym fenomenie kulturowego i cywili-

zacyjnego trudu Polaków, zaistniałym na ziemiach zachodnich po okresie zniszczeń wojennych?

A przecież mamy tu do czynienia z procesem, którego znaczenie wykracza poza historię narodową. Nowi mieszkańcy tych ziem przez ponad pół wieku tworzyli ich historię, podejmując w tym czasie wielki wysiłek cywilizacyjny. Jego efektem stał się nie tylko dorobek materialny, lecz i duchowy. Wielkie znaczenie miał Kościół, który w ogromnym stopniu przyczynił się do definitywnego zintegrowania tych ziem w ramach polskiego organizmu państwowego. Trzeba także wymienić dzieła kultury i nauki, które stały się ważną częścią polskiego dziedzictwa narodowego. Uniwersytet Wrocławski i Politechnika Wrocławska kontynuowały znakomite tradycje nauki lwowskiej, a jednocześnie stolica Dolnego Śląska stała się po wojnie ośrodkiem awangardowym w dziedzinie teatru (Jerzy Grotowski, Henryk Tomaszewski), plastyki i ważnym miejscem kultury muzycznej (Wratislavia Cantans).

Dokonania mieszkańców Wrocławia, Szczecina i innych miast „ściany zachodniej" świadczą o ich ogromnym dorobku oraz sile polskiego ducha. Trzeba to podkreślić, gdyż pozytywne zdolności cywilizacyjne osiedlających się tam Polaków poddawano w wątpliwość. Tymczasem w Szczecinie znakomicie wykwalifikowana polska inteligencja techniczna nie tylko odbudowała ze zniszczeń port i stocznię, ale stworzyła siłę polskiej żeglugi morskiej. Mamy zatem prawo być dumni z polskich osiągnięć na ziemiach zachodnich, tym bardziej, że towarzyszy im szacunek dla wielokulturowego dziedzictwa tych obszarów.

Prezentacja dorobku cywilizacyjnego „nowych Kresów" powinna być z samego założenia afirmatywna. Punktem odniesienia może być tu wizja historii Wrocławia, zawarta w książce Normana Daviesa *Mikrokosmos*. Szacunek dla wielowątkowej spuścizny kulturalnej stolicy Dolnego Śląska jest znaną w świecie cechą społeczności tego miasta. Niemcy odwiedzający Wrocław są często zaskoczeni nie

tylko dynamiką gospodarczą miasta, ale również towarzyszącą jej siłą pozytywnego patriotyzmu, współistniejącego z szacunkiem dla spuścizny kulturowej czeskiej, austriackiej i niemieckiej.

Wielowiekowa obecność różnych narodowości i różnych kultur stanowi istotną cechę ziem zachodnich. Podobnie jak w przypadku dawnych Kresów Wschodnich, mozaika ta to prawdziwy skarb tych terenów. Dodatkowym, lecz jakże istotnym wkładem byłych mieszkańców Lwowa, Wilna i innych miast należących do Polski przed rokiem 1945, okazało się dziedzictwo kulturowe, które wraz z nimi przywędrowało na zachód. Ossolineum, pozostające depozytariuszem wielkich zbiorów polskiej literatury romantycznej, jest najwspanialszym kulturowym wyrazem obecności tego dziedzictwa na zachodzie Polski.

Wypada także zwrócić szczególną uwagę na rolę ziem zachodnich w dziejach polskiej wolności. Szczecin to miejsce dramatycznych wydarzeń Grudnia 1970 oraz porozumień Sierpnia 1980. Z kolei Wrocław był najsilniejszym ośrodkiem solidarnościowego oporu w latach 80., animowano w nim współpracę niezależnych środowisk z Polski i Czech. Podkreślmy, że „Solidarność", pomimo świadomości zbrodni popełnionych na Polakach w II wojnie światowej, miała istotny udział w budowaniu zrozumienia dla idei pojednania z Niemcami i zrozumienia dla zjednoczenia Niemiec. Polska opozycja demokratyczna odrzucała linię propagandową władz komunistycznych, przedstawiającą naszego zachodniego sąsiada jako historycznego wroga i ciągłe zagrożenie dla pokoju.

W tym miejscu nie możemy nie wspomnieć o kardynale Bolesławie Kominku. Skromny pomnik metropolity wrocławskiego stojący u wejścia na Ostrów Tumski przypomina o wielkim akcie historycznym, który zdarzył się na tych ziemiach 15 lat przed powstaniem „Solidarności". Chodzi o „Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich" –

prekursorski akt jedności europejskiej i polsko-niemieckiego pojednania.

Warto wracać do dokumentu, w którym manifestowano wolę i przekonanie o urzeczywistnieniu pojednania bez łatwych i szkodliwych operacji dokonywanych kosztem prawdy historycznej. Dokument nazywał okupację niemiecką okresem totalnego i całkowitego zniszczenia, a zarazem apelował o pojednanie. Czytamy w nim: „Jeśli po obu stronach znajdzie się dobra wola – a w to nie trzeba chyba wątpić – to poważny dialog musi się udać i z czasem wydać dobre owoce, mimo wszystko, mimo «gorącego żelaza»".

Polski sukces na ziemiach zachodnich powinien być jedną z naszych wizytówek w świecie. Podjęta przeze mnie decyzja o powołaniu we Wrocławiu Ośrodka „Pamięć i Przyszłość" oznacza stworzenie instytucjonalnych warunków dla prezentacji powstałego po wojnie polskiego dorobku cywilizacyjnego i kulturowego na tych terenach, w formie wystaw narracyjnych, działań edukacyjnych i systematycznych prac dokumentacyjnych. W ten sposób wypełniona zostanie luka, jaką widać na tle innych regionów kraju, w których działają państwowe instytucje o podobnym profilu, związanym ze specyfiką lokalnego doświadczenia historycznego. Dokonania krakowskiego Międzynarodowego Centrum Kultury dowodzą sukcesu takich przedsięwzięć.

Przed dwoma laty w dyskusji na ten temat formułowano postulat stworzenia Muzeum Ziem Zachodnich. Ośrodek „Pamięć i przyszłość" wypełni tę funkcję w poszerzonej, wielowymiarowej i współczesnej formule. Chodzi bowiem o pokazanie trwałości i wartości polskiego dorobku historycznego i jego wciąż aktualnego znaczenia. W ten sposób będziemy mogli pokazywać ścisły związek naszej historii z historią Starego Kontynentu. Może to być nasz istotny wkład w realizację idei solidarnej Europy.

(„Rzeczpospolita", Plus-Minus, 10.03.2007)

I Sienkiewicz, i Gombrowicz

Zaprezentowana przez Ministra Edukacji Narodowej propozycja zmian na liście lektur szkolnych wywołała gorące dyskusje. Pomysły Romana Giertycha i jego współpracowników mają ideologiczny i partykularny charakter. Z przebiegu dyskusji w mediach można wysnuć wniosek, że mamy do czynienia ze sporem między zwolennikami Henryka Sienkiewicza i Witolda Gombrowicza.

Tak oczywiście nie jest, również i z tego powodu, że w historii literatury polskiej dychotomia Sienkiewicz – Gombrowicz nie występuje. Twórczość obu pisarzy pozostaje istotnym i nieusuwalnym fragmentem naszej kultury, która stanowi niepodlegającą podziałom ideologicznym całość. Znamienne jest, że negatywne reakcje na propozycje MEN sprowadzają się zwykle do nieobecności w kanonie lektur twórcy *Ferdydurke*, pomijają zaś brak innych, ważnych autorów.

Brakuje nie tylko Gombrowicza

Na liście lektur obowiązkowych próżno szukać dzieł wybitnych pisarzy emigracyjnych: Józefa Mackiewicza, Andrzeja Bobkowskiego czy Jerzego Stempowskiego. Można odnieść wrażenie, że kultura emigracyjna wciąż traktowana jest jak w czasach PRL, jako ciało obce. Szczególnie trudno zrozumieć, dlaczego zabrakło miejsca dla wyrazistego antykomunisty i zarazem konserwatysty Mackiewicza, którego epickie utwory w mistrzowski sposób prezentują dramatyczne losy Polaków i innych narodów środkowowschodniej Europy w XX stuleciu. Na szczęście pod wpływem głosów krytyki w kanonie znalazł się *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudziń-

skiego. Wśród obowiązkowych pozycji nie może bowiem zabraknąć utworów, które w przejmujący sposób prezentują polskie doświadczenie historyczne, w tym doświadczenie totalitaryzmu komunistycznego.

Wśród propozycji lektur MEN pojawiają się *Listy Nikodema* Jana Dobraczyńskiego. Książka ta jest przykładem pisarstwa katolickiego, podejmującego kwestię cierpienia w kontekście nieuleczalnej choroby córki autora. Jednak znacznie szerszy horyzont problematyki duchowej – obejmującej nie tylko cierpienie, lecz i dokonywanie trudnych wyborów moralnych, także w obliczu represyjnej polityki władzy – znajdujemy choćby w zbiorze nowel Hanny Malewskiej *Sir Tomasz More odmawia*. Przy okazji warto podkreślić, że Malewska, w odróżnieniu od Dobraczyńskiego, nie zgodziła się na współpracę z reżimem PRL.

MEN do kanonu lektur dodało również wspomnienia *Będziecie moimi świadkami* arcybiskupa Kazimierza Majdańskiego. Rzecz jasna, świadectwo godnego przejścia przez koszmar obozu w Dachau zasłużonego dla Polski kapłana stanowi dla młodzieży niezwykle istotny wzór wychowawczy. Można jednak zapytać, dlaczego na liście nie ma chyba bardziej znaczącej pozycji, jaką są *Zapiski więzienne* kardynała Stefana Wyszyńskiego?

Kiedy zatem przyjrzymy się liście lektur, zaproponowanej przez Ministra Edukacji, możemy odnieść wrażenie, iż odzwierciedla ona wizję literatury z perspektywy specyficznie pojmowanego patriotyzmu. Patriotyzmu zamkniętego, z naleciałościami nacjonalistycznymi, w duchu PAX-owskim – dobrze funkcjonującego w warunkach PRL i koncesjonowanego przez ówczesny reżim. Taka wizja patriotyzmu obca była Romanowi Dmowskiemu, twórcy narodowej demokracji, który niejednokrotnie wskazywał na wady i niedoskonałości polskiego charakteru narodowego. Odwołujący się do dziedzictwa endecji Roman Giertych próbuje usunąć wątki krytyczne z polskiego kanonu literackiego.

Wyłania się z tego wulgarna interpretacja ideologii narodowej, przedstawiającej Niemcy jako zdecydowanie większego niż Rosja wroga Polski, oraz negatywny stosunek do Zachodu – źródła wrogiego chrześcijaństwu liberalizmu. Kanonicznym pisarzem okazuje się Dobraczyński, ale już nie Mackiewicz. Pod tym względem lista lektur MEN pokrywa się też z lewicową wizją polskiej kultury, w której nie ma miejsca na pisarzy bezkompromisowo demaskujących nie tylko przemoc komunizmu, ale i zwodniczy fałsz, jaki legł u podstaw tej ideologii.

Spór o kształt patriotyzmu

W Polsce kształt patriotyzmu stanowi w tej chwili przedmiot sporu ideowego. Z jednej strony mamy postawę otwartą i ofensywną, z drugiej zaś – zamkniętą i karmiącą się obawami. Ta druga interpretacja patriotyzmu unieruchamia ludzi w lęku wobec świata i zmian, które w nim zachodzą. Patriotyzm ofensywny i optymistyczny oznacza natomiast otwartość na świat, przy jednoczesnym silnym przywiązaniu do naszej tradycji i historii. Pomimo trudów emigracji i obserwowania z oddali zniewolenia Polski, zwolennikami takiego modelu polskości byli Mackiewicz, Bobkowski i Stempowski.

Lekcje języka polskiego są w jakimś stopniu lekcjami wychowania patriotycznego. Ale wychowanie to nie może polegać na dekretowaniu przez polityków postaw, które duchem pozostają bliskie szkolnym akademiom rocznicowym z czasów PRL. Taki patriotyzm młodzież będzie odrzucać.

Polityka rządu powinna tworzyć całość. W sferze tak istotnej i delikatnej, jak edukacja, nie może być zdominowana przez niewielką partię koalicyjną, która nie zawsze ma poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne. Dobra polityka konserwatywna, która troszczy się o poziom edukacji i kształt polskiego patriotyzmu, nie może uderzać w żywą tkankę polskiej kultury oraz odgórnie ograniczać pluralizm

opinii i wrażliwości. Działania LPR i ministra Giertycha w tej sprawie osłabiają potencjał polskiej centroprawicy.

Kanon lektur szkolnych powinien być ukształtowany przy uwzględnieniu kilku zasad: hierarchii dokonań literackich, szacunku dla integralności całej polskiej literatury oraz troski o znajomość literatury europejskiej. Literatura, pomimo znaczącego wzajemnego oddziaływania na inne sfery życia, tworzy zarazem przestrzeń autonomiczną. Musi być więc wolna od bieżących rozgrywek politycznych i swarów ideologicznych. Stefan Kisielewski, mając konserwatywne poglądy, przepadał jednocześnie za książkami socjalisty i masona Andrzeja Struga. Przyznaję rację Kisielowi. Budowanie modelu kultury na podstawie ideologicznych schematów niezwykle zubaża nasze życie umysłowe.

(„Gazeta Polska", 11.07.2007)

Miejsce kultury w polskiej polityce zagranicznej

Zagadnienie roli kultury w prowadzeniu polityki zagranicznej państwa stało się – między innymi za sprawą redakcji „Plusa Minusa" – przedmiotem debaty publicznej. Ale nie tylko debaty. Podpisanie przed kilkoma miesiącami listu intencyjnego ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz ministra spraw zagranicznych, powołanie Instytutu im. Adama Mickiewicza i wzmocnienie pionu dyplomacji kulturalnej w MSZ stworzyło w tej dziedzinie nowe fakty.

Szczególnie powstanie Instytutu im. Adama Mickiewicza traktuję jako jedno z najważniejszych wyzwań, które stoją przed kierowanym przeze mnie resortem. Nie sposób też nie zauważyć olbrzymiego zdynamizowania działań MSZ w tym kierunku. Zmiany instytucjonalne jednak nie wystarczą. Niezbędne jest szybkie przyjęcie stosownego programu celów i środków polskiej dyplomacji kulturalnej oraz zagwarantowanie na jej realizację odpowiednich funduszy.

Jednym z istotnych osiągnięć rządu Jerzego Buzka w kształtowaniu zasad polityki zagranicznej III Rzeczypospolitej będzie zapewne stworzenie fundamentów polskiej dyplomacji kulturalnej, częściowo tylko trafnie zwanej „trzecim filarem" polityki zagranicznej. Często bowiem trudno jest oprzeć się wrażeniu, że to właśnie kontakty kulturalne jako pierwsze torują miejsce innym formom współpracy. Często również tam, gdzie ścisła współpraca polityczna jest trudna bądź niemożliwa, kontakty kulturalne są podstawowym narzędziem kształtowania stosunków międzynarodowych.

Kultura a polityka

„Dyplomacja kulturalna" to stosunkowo nowe pojęcie w słowniku polskiej polityki. Jednak nie mamy tutaj do czy-

nienia z niezapisaną tablicą. Można zaryzykować stwierdzenie, że swego rodzaju polityka kulturalna Polski była jedynym sposobem prowadzenia polityki polskiej przez długie lata zaborów oraz w znacznym stopniu w latach PRL. Życie duchowe i intelektualne stanowiło ten obszar, w którym toczyło się suwerenne życie narodu i jego komunikacja z innymi narodami. Dlatego nazwisko Adama Mickiewicza jako poety, który wywarł olbrzymi wpływ na literatury naszej części Europy, oraz między innymi wykładowcy Collège de France, jest jak najbardziej na miejscu, jako patrona instytutu promującego polską kulturę. Warto tu również przypomnieć znaczenie ośrodków emigracji powojennej – szczególnie w Wielkiej Brytanii i Francji, które odegrały bezprecedensową rolę w prowadzeniu najważniejszych interesów i spraw narodu przez 45 lat komunizmu.

Co mamy do zaoferowania

Nie ma skutecznej dyplomacji kulturalnej bez określenia ogólnych kierunków polityki zagranicznej Polski. Chciałbym bronić tezy fundamentalnej dla naszej dyskusji, że dyplomacja kulturalna nie może być jedynie prostą prezentacją osiągnięć polskiej kultury – tworzeniem wystaw, organizowaniem spotkań z pisarzami czy koncertów. Dyplomacja kulturalna jest realizacją celów polityki zagranicznej państwa za pomocą osiągnięć polskiej kultury i polskiego dorobku intelektualnego. Powinna ona więc w pewnej mierze obejmować również promocję dorobku politycznego i gospodarczego Polski.

W tak rozumianej promocji mamy do zaoferowania wiele bardzo atrakcyjnych towarów. Pozwolę sobie wskazać tylko trzy przykłady. Dorobek I Rzeczypospolitej jako państwa republikańskiego, opartego na unii wolnych narodów, państwa broniącego chrześcijańskich fundamentów Europy – a zarazem zasad tolerancji religijnej, które może być ciekawym punktem odniesienia w dzisiejszych debatach nt. integracji europejskiej. Dorobek „Solidarności" – przede

wszystkim jej szczególny wkład w uwolnienie Europy od komunizmu, który w świadomości międzynarodowej został przyćmiony przez spektakularne wydarzenia związane z upadkiem muru berlińskiego. Wreszcie dorobek ostatniego dziesięciolecia, a zwłaszcza osiągnięcia reform rządów Tadeusza Mazowieckiego i Jerzego Buzka.

Priorytety

Wypada w tym miejscu skonfrontować priorytety polityki zagranicznej Polski z realnymi działaniami, jakie prowadzi polska dyplomacja kulturalna.

1. Integracja europejska. Sądzę, że najważniejszym priorytetem polityki zagranicznej Polski po wejściu do NATO jest dzisiaj polityka europejska. Podstawowe zadanie dyplomacji kulturalnej stanowi rozbrajanie obaw i stereotypów, które mogą obciążać naszą współpracę i negatywnie wpływać na możliwości politycznego oddziaływania w Unii Europejskiej. Zadaniem, które stoi przed nami, jest pokazanie Polski jako kraju twórczego, który posiada długą tradycję kulturalną i polityczną i który dokonał w ciągu ostatniej dekady olbrzymiego skoku cywilizacyjnego.

Chciałbym wspomnieć w tym miejscu o realizowanym we współpracy MKiDN z MSZ udziale w Europaliach – wielkim festiwalu kultury w Brukseli, w przyszłym roku. Nie sposób tu pominąć Frankfurtu 2000. Jestem przekonany, że wbrew wielu słusznym, i tym niezasłużonym, krytykom, bilans tej imprezy wypadnie pozytywnie, chociażby w postaci dorobku translatorskiego Funduszu Literatury, którego działalność zamierzam utrzymać również w przyszłości, w ramach zadań Instytutu Mickiewicza. Ważnym problemem, którego rozstrzygnięcie może wpłynąć na poziom polskiej obecności w Niemczech, jest przyszłość Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Sądzę, że Fundacja powinna być dofinansowana przez oba rządy również po wyczerpaniu środków z niemieckiego kredytu. Myślę, że jej profil

powinien w większym stopniu uwzględniać inicjatywy, zmierzające do promocji Polski w Niemczech.

2. Polityka wschodnia. Tu najciekawszym towarem eksportowym są polskie doświadczenia z wolnością: zarówno doświadczenia obrony polskiej kultury i społeczeństwa przed totalitaryzmem, jak i doświadczenia odbudowy suwerennego państwa. Bez sprawnej dyplomacji kulturalnej niemożliwa jest realizacja naszej „wschodniej specjalizacji" w ramach NATO i UE. Przy ograniczonych zasobach innych środków, budowa silnych relacji polsko-ukraińskich jest jednym z instrumentów wzmacniania współpracy na innych płaszczyznach. Sądzę, że niezwykłą wagę mają dla nas również dobre kontakty z Rosjanami. Na Białorusi dyplomacja kulturalna może pełnić pewne zastępcze funkcje wobec niemal nieistniejących relacji politycznych.

Pierwszym celem jest tu zabezpieczenie dotychczasowych osiągnięć i „stanu posiadania". Paradoksalnie, w wielu przypadkach nastąpił swego rodzaju regres nawet w stosunku do sytuacji w latach 60. i 70., kiedy kontakty z Polską były często na obszarze ZSRR jedyną formą komunikacji z Zachodem! Oczywiste obniżenie się konkurencyjności języka polskiego wobec ekspansji anglosaskiej kultury masowej, to – obok zaprzestania tradycyjnej promocji na Wschodzie polskiej prasy, książki i filmu – podstawowy powód tej sytuacji. Dodatkowo niepokojąca jest nieobecność Polski na licznych uczelniach wyższych na Wschodzie.

W stosunkach z Ukrainą wielkie znaczenie mają projekty, które dotyczą wątków kultury łączących nasze narody. Cieszę się, że prowadzony w ubiegłym roku pod patronatem premiera Jerzego Buzka program „Roku Słowackiego" stał się okazją do kilku ważnych wydarzeń o skali międzynarodowej, wciągających do współpracy stronę ukraińską. Mam nadzieję, że w ciągu kilku miesięcy w dworku krzemienieckim powstanie muzeum – miejsce spotkań pisarzy polskich i ukraińskich.

3. Polityka regionalna. Współpraca z państwami Grupy Wyszehradzkiej jest przykładem wymiany doświadczeń pomiędzy państwami o podobnym poziomie rozwoju i możliwościach. Zarówno ze względu na podobieństwo kultury, dziejów, położenia, jak i interesów politycznych, współpraca ta może przynieść ważny efekt zarówno w postaci wzmocnienia istniejących już powiązań, jak i wspólnych inicjatyw promocyjnych wobec partnerów trzecich, zwłaszcza w Unii Europejskiej i USA. Wspólne występowanie na arenie międzynarodowej stwarza nam możliwości wzmocnienia naszego głosu. Ważną rolę w promowaniu tej współpracy winien odegrać powołany przez premierów przed miesiącem Fundusz Wyszehradzki.

4. USA. Sądzę, że najtrudniejszym wyzwaniem są dla nas ciągle Stany Zjednoczone. Warto wspomnieć, że również w tym tak niełatwym dla nas kraju-kontynencie daje się promować polską kulturę. Przykład wystawy „Polska – kraj skrzydlatych jeźdźców" jest tu najlepszym dowodem. Mam nadzieję, że krokiem w dobrym kierunku jest założenie długo oczekiwanego Instytutu Polskiego w Nowym Jorku.

Wyzwania

Lista spraw, które wymagają podjęcia w szybkim tempie, jest wciąż długa: niskie budżety instytutów polskich, brak zasad certyfikacji języka polskiego, brak programu promocji polskiej kultury w Rosji, poza Moskwą i Petersburgiem, w tym w pozaeuropejskiej części Rosji, rozszerzenie działania Instytutu Polskiego w Kijowie, przyjęcie programów rozwoju obecności kultury polskiej w tak wrażliwych miejscach jak Wilno i Lwów, kompleksowy program pomocy zasłużonym dla kultury polskiej instytucjom emigracyjnym i w ogóle wciągnięcie Polonii i Polaków za granicą do współpracy w promocji Polski. To tylko niektóre ze stojących przed nami wyzwań.

Obecnie pomiędzy MKiDN a MSZ trwają ostateczne uzgodnienia dokumentu rządowego „Priorytety zagranicz-

nej polityki kulturalnej Polski". Sądzę, że zbuduje on właściwe ramy dla działań promocyjnych. Nie ukrywam jednak, że realizacja wielu z tych zadań uzależniona jest od możliwości finansowych rządu.

Niewątpliwie jednak olbrzymi skok organizacyjny i finansowy został dokonany – nie tylko w ramach programów już wymienionych. Mówiąc o szeroko rozumianej promocji Polski, warto doliczyć do tego jeszcze pieniądze wydane m.in. na obecność w Hanowerze, jak i planowane przez rząd w ciągu najbliższych lat ok. 80 mln zł na promocję w krajach Unii Europejskiej.

Organizacje pozarządowe

Polityka zagraniczna jest w zasadzie domeną rządu. Ale polityka zagraniczna w zakresie promocji polskiej kultury nie jest i nie powinna być prowadzona wyłącznie przez rząd i jego agendy. Dlatego agendy rządowe, w tym Instytut Adama Mickiewicza, powinny być otwarte na współpracę z organizacjami pozarządowymi. Chcemy tworzyć możliwości włączania prywatnego mecenatu do konkretnych polskich projektów promocyjnych. Chociażby zaangażowanie polskich organizacji pozarządowych na Białorusi pokazuje, jak wielkie znaczenie może mieć współdziałanie na rzecz wspólnych celów instytucji rządowych oraz fundacji i stowarzyszeń.

Wydaje się, że w polityce promocji Polski za granicą rola instytucji państwowych powinna polegać przede wszystkim na określaniu politycznych priorytetów polityki kulturalnej, opracowywaniu i dyskretnym koordynowaniu większych akcji promocyjnych oraz zapewnieniu na ich realizację podstawowych środków. Wykonawstwo jednakże poszczególnych projektów zdecydowanie powinno się opierać na zaangażowaniu całej palety instytucji współpracujących: od instytutów polskich, poprzez emigracyjne instytucje polskie, aż po organizacje pozarządowe.

* * *

Polityka kulturalna za granicą to przedsięwzięcie tyleż polityczne, co niepartyjne. Działania, które dzisiaj planujemy, przyniosą owoce dopiero za kilkanaście lat, gwarancją ich powodzenia musi być kontynuacja podjętych teraz projektów przez kolejne ekipy rządowe. Dlatego cieszę się z narastającego zainteresowania tematem dyplomacji kulturalnej i promocji Polski, ponieważ uważam, że należy zbudować wokół tej sprawy polityczny i społeczny konsensus.

(„Rzeczpospolita", 22.07.2000)

Kultura naszą racją stanu

We wspomnieniach Philippe'a de Gaulle'a, syna Generała, jest taki oto wiele mówiący wątek. De Gaulle obejmuje władzę z chwilą wyzwolenia Paryża przez Amerykanów z końcem sierpnia 1944 roku. Pięć dni po tym wydarzeniu przyjmuje znakomitego pisarza François Mauriaca, w następnych dniach innych członków Akademii Francuskiej. Tym, którzy wątpią w sens rozmów z twórcami w tak ciężkich chwilach, gdy Francja toczy jeszcze walkę z Niemcami, odpowiada, że nawiązanie kontaktów z inteligencją narodu, która buduje prestiż Francji w świecie, jest zadaniem państwowym. Później, gdy powróci do władzy w 1958 roku, aktywny mecenat w sferze kultury będzie jedną z cech polityki gaullistów. Rozmach projektów zaplanowanych przez André Malraux, który piastował wtedy stanowisko ministra kultury, był szeroko znany poza Francją.

Ktoś może powiedzieć, że takie podejście do kultury należy już bezpowrotnie do historii. Tymczasem przykłady wielu państw Europy Zachodniej pokazują, że aktywny mecenat państwa w sferze kultury jest wciąż rzeczywistością. Pomimo kryzysu finansowego obejmującego cały Stary Kontynent edukacja, kultura i nauka traktowane są jako sfery wywierające decydujący wpływ na budowanie kapitału społecznego, w dłuższej perspektywie (mierzonej pokoleniami, a nie kadencjami) niezmiernie istotnego dla tworzenia podstaw dobrobytu ekonomicznego. Dlatego też obszary te są wyłączane z mechanicznych oszczędności wynikających z problemów budżetowych, powstają nowoczesne instytucje, a prawo – także podatkowe – kształtowane jest w sposób, który kieruje przepływ pieniędzy (nie tylko publicznych) w stronę tych dziedzin. Można wskazać na kraje takie

jak Finlandia, które w chwilach kryzysu inwestują w tę sferę, albowiem ich przywódcy mają przekonanie, że w dłuższej perspektywie rozwój kraju zależy od poziomu edukacji i wartości kapitału kulturowego. Pomimo kryzysu w ostatnich latach powstały we Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii nowoczesne placówki muzealnictwa historycznego.

Tymczasem w Polsce kultura wciąż traktowana jest przez rządzących strategów jak obciążenie, a wydatki na nią jako zbędny luksus. Dlatego też przedstawiony dwa lata temu na krakowskim Kongresie Kultury Polskiej postulat wydatków na kulturę na poziomie 1% wydatków budżetu państwa realizowany jest tak opornie. Jeśli wnikliwie przyjrzymy się wewnętrznej strukturze budżetu, okazuje się, że pewne obszary należące do sfery kultury i dziedzictwa narodowego zostały dotknięte nie brakiem realnego wzrostu, lecz znaczącą redukcją wydatków. Nakłady budżetu państwa na ochronę zabytków za rządów obecnej koalicji dramatycznie spadają. W 2007 r., kiedy pełniłem funkcję ministra kultury i dziedzictwa narodowego, dotacje na zadania z zakresu konserwacji zabytków wyniosły ponad 115 milionów złotych. Na sam Dolny Śląsk przeznaczona została kwota ponad 20 mln złotych, co umożliwiło konserwację wielu zabytków w naszym regionie. Był to efekt konsekwentnej polityki na rzecz wyprowadzenia tej sfery z zapaści, do jakiej doprowadziły ją rządy SLD. Początek obecnej kadencji nie zapowiadał jeszcze dramatu. Było to w dużej mierze zasługą zmarłego tragicznie w katastrofie smoleńskiej śp. Tomasza Merty, w ocenie środowisk związanych z ochroną zabytków najlepszego generalnego konserwatora po 1989 r. Jednak już przeprowadzona przez koalicję rządową w 2009 r. nowelizacja budżetu przyniosła niezrozumiałą redukcję wydatków w obszarze ochrony zabytków. W tym roku przeznaczono na ten cel tylko 55 mln złotych. W roku przyszłym pomimo deklaracji, że budżet na kulturę wzrasta, wydatki na zabytki nie wrócą do poziomu sprzed trzech lat. To efekt świadomych, choć wstydliwie skrywanych decyzji.

Kolejnym poważnym błędem obecnej ekipy jest zaniechanie wprowadzenia w życie przygotowanej w czasie mojego urzędowania reformy systemu konserwacji zabytków. Oczekiwane przez całe środowisko konserwatorów zmiany polegać miały między innymi na wydzieleniu służb konserwatorskich z nadzorowanej przez wojewodów administracji zespolonej i stworzeniu jednolitych w skali kraju standardów ochrony zabytków. Zamiast tego pozostawiono stary, niefunkcjonalny model, z którego najbardziej niezadowoleni są zwykle słabo opłacani pracownicy urzędów wojewódzkich. Co więcej, konserwatorów zintegrowano w strukturze urzędów wojewódzkich. Oznacza to kolizję interesów. Tymczasem konserwatorzy powinni być niezależni od wojewody, skoro w praktyce oceniają decyzje podejmowane przez jego urzędników.

Po czterech latach kadencji jasne jest, że do jej zakończenia nie zostanie udostępnione publiczności żadne nowe muzeum historyczne. Projekt Europejskiego Centrum Solidarności boryka się z poważnymi problemami, Muzeum Historii Polski nie otrzymało środków europejskich (za przeznaczenie których odpowiedzialny jest polski minister kultury), Bogdan Zdrojewski odebrał fundusze na budowę Muzeum Ziem Zachodnich we Wrocławiu, zaś projekt Muzeum II Wojny Światowej jest jeszcze w zbyt wczesnej fazie zaawansowania. Przyczyny wstrzymania bądź opóźnienia w realizacji tych inwestycji są różne, nie zawsze zależne od decyzji ministra. Ale efekt jest niestety jednoznaczny – mijają kolejne lata, do Polski przyjeżdża coraz więcej zagranicznych gości, a jedyną dobrze działającą instytucją tego typu pozostaje stworzone przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego (jako prezydenta stolicy) Muzeum Powstania Warszawskiego. Inne placówki funkcjonują głównie jako biura ds. inwestycji, a nawet w tak niesprzyjających warunkach są w stanie przygotowywać wartościowe projekty – jak zorganizowana przez Ośrodek „Pamięć i Przyszłość" wysoko oceniana wystawa „Solidarny Wrocław", udowadniająca sens

i potrzebę stworzenia Muzeum Ziem Zachodnich. Przy okazji warto powiedzieć, że Muzeum Ziem Zachodnich nie jest roszczeniem Wrocławia do rządu o wsparcie dla inicjatywy o znaczeniu lokalnym. Muzeum Ziem Zachodnich jest jedną z najciekawszych inicjatyw nowoczesnego muzealnictwa o znaczeniu ogólnopolskim, ma bowiem zaprezentować niezwykle ciekawy dla Polski i Europy fenomen budowy przez Polaków kultury i cywilizacji materialnej po zniszczeniach II wojny światowej.

To niestety nie koniec listy błędów i zaniechań. Pula środków na cieszący się bardzo dużym zainteresowaniem, kierowany do organizacji pozarządowych program wspierania inicjatyw z zakresu edukacji historycznej „Patriotyzm Jutra", została zredukowana pięciokrotnie, do niespełna miliona złotych rocznie. Od lat słyszymy o stworzeniu nowego systemu polskiej dyplomacji kulturalnej, zapowiadany projekt ustawy o Instytucie „Kultura Polska", mającym zastąpić Instytut Adama Mickiewicza, do tej pory nie ujrzał światła dziennego. Podobnie jest z projektem dotyczącym Narodowego Instytutu Audiowizualnego – według szumnie ogłaszanych założeń, nowej, silnej instytucji odpowiedzialnej za gromadzenie, digitalizację i upowszechnianie dzieł kultury polskiej utrwalonej w postaci dźwiękowej i wideo. Nie ma reakcji na postulat środowiska bibliotekarskiego, aby wpływy budżetowe wynikające z objęcia podatkiem VAT sprzedaży książek przeznaczyć na zakup nowości dla bibliotek, szczególnie w mniejszych miejscowościach.

Na domiar złego w ostatnich dosłownie dniach rząd forsuje ustawę o prowadzeniu działalności kulturalnej, która znosi standardy prawa pracy w stosunku do młodych artystów podejmujących pracę w teatrach, filharmoniach i orkiestrach. W okresie pierwszych piętnastu lat zatrudnienia zakazana będzie możliwość zawierania umów na czas nieokreślony. Przymus stosowania umów sezonowych skutkujący brakiem elementarnego poczucia bezpieczeństwa zdestabilizuje prace instytucji kultury.

Minister Bogdan Zdrojewski budzi szacunek ze względu na styl uprawiania polityki i unikanie konfrontacji. Chciałbym jednak go chwalić nie tylko za styl, lecz i za program, i czyny. Niestety, nie mogę tego uczynić, bo w tej sferze mamy do czynienia z brakiem aktywnego mecenatu oraz ze zmarginalizowaniem sfery zabytków, dziedzictwa kulturowego i polityki historycznej.

(„Gazeta Wrocławska", dodatek „Słowo Polskie", 11.06.2011)

Alfabet pominiętych

„Terroryzm ideowy to zjawisko, które ciąży fatalnie nad całym życiem kulturalno-społecznym" – alarmował Kisiel, broniąc autonomii kultury przed prymitywną ideologizacją. W debiutanckim tekście z 1936 r., opublikowanym na łamach redagowanego przez Jerzego Giedroycia „Buntu Młodych", pisał o komunizmie, nacjonalizmie i neohumanitaryzmie „Wiadomości Literackich" jako trzech tendencjach zagrażających rozwojowi kultury. „Młodzi komuniści, wietrzący wszędzie zdradę, przekupstwo i prowokację, młodzi endecy wietrzący wszędzie Żyda to bliscy kuzyni Antoniego Słonimskiego wietrzącego wszędzie głupotę, zacofanie i niski poziom". Zdaniem Kisiela terroryzm ideowy produkował rygoryzm i nietolerancję światopoglądową, niechęć do wolnej, krytycznej myśli i pogardę dla odmiennych stanowisk ideowych.

Tekst Kisiela mógłby z powodzeniem ukazać się jako komentarz do Europejskiego Kongresu Kultury, a właściwie do wielu wydarzeń promowanych przez oficjalną politykę kulturalną. Nieaktualne byłyby wyłącznie uwagi o nacjonalizmie jako tendencji wpływowej, spadkobiercy obu pozostałych mają się całkiem dobrze. Kongres Kultury powinien być znakomitą okazją do zaprezentowania polskiego głosu w europejskiej debacie intelektualnej. Polska ze swoją ciekawą kulturą romantyczną, silnym przywiązaniem do wolności i chrześcijaństwa, ale też wartościowymi dokonaniami awangardy Dwudziestolecia czy doświadczeniem zmagań z totalitaryzmami jest interesującym przypadkiem na mapie kulturalnej Europy. Tymczasem na Kongres nie zaproszono właściwie nikogo spoza środowisk lewicy.

Poza ramami Kongresu znalazła się nie tylko kwestia wkładu kultury polskiej w dzieje Europy, ale i wielkie współczesne zagadnienia, jak kondycja cywilizacji Zachodu, zagrożenia nawrotem totalitarnych ideologii czy żywotność dziedzictwa chrześcijańskiego. Logika Kongresu eliminowała to, co w kulturze żywe i istotne, aideologiczne albo zakorzenione w nielewicowych nurtach ideowych – konserwatywnych czy liberalnych. W roku beatyfikacji Jana Pawła II jego dorobek był ukrywany pod presją politycznej poprawności, a myśliciele zakorzenieni w chrześcijańskiej tradycji nieobecni. Publicznie wyrażone nawiązanie do Kongresu Pokoju z 1949 r. nie było zatem przypadkowe, manifestowało podobny stosunek do swobodnej wymiany myśli i konfrontacji poglądów. Zamiast tego mieliśmy popisy neomarksistów, których wypowiedzi przypominały czasy, gdy ZSRR dyrygował częścią europejskiej lewicy.

Włoski filozof Vattimo powiadał, że rewolucja w krajach arabskich była dziełem naftowego biznesu. Twierdził, że polityka Kaddafiego zasługiwała na respekt i przestrzegał nas przed zagrożeniem amerykańskim. Kisiel nie miałby wątpliwości: to terroryzm ideowy. Nie jest on jednak jedynym czynnikiem prymitywizującym politykę kulturalną rządu i wspierane przez rząd oficjalne imprezy. Wypada wskazać na element, który dopiero w ostatnim czasie nabrał niebagatelnego znaczenia. To deficyt wiedzy rządzących i zwykły brak wyobraźni. Odnoszę wrażenie, że obecnie najbliżsi współpracownicy ministra Zdrojewskiego mogą po prostu nie znać wielu istotnych dokonań i ich twórców. Dlatego też *Alfabet pominiętych* pomyślany jest nie tylko jako protest przeciwko totalizacji życia kulturalnego. To także przewodnik pozwalający uwolnić się od tego niebezpieczeństwa. Czytany z dobrą wolą przełamywać może schematyzm debat o kulturze i sprzyjać rzeczywistemu pluralizmowi.

A zatem oto autorska lista tych, których pominięcie zubaża debatę o stanie kultury:

MIRIAM AKAVIA *(izraelska pisarka, autorka przejmującej „Mojej winnicy", mająca wielkie zasługi dla budowania przyjaźni polsko-izraelskiej, przewodnicząca Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej),*

JERZY AXER *(twórca ośrodków interdyscyplinarnych badań humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim),*

KAZIMIERZ BRAUN *(znakomity reżyser i teoretyk teatru, od lat pracujący w USA),*

ROCCO BUTTIGLIONE *(pisarz i polityk, promotor dziedzictwa chrześcijańskiego i znawca polskiej tradycji romantycznej),*

ANDREJ CHADANOWICZ *(poeta białoruski, tłumacz, prezes białoruskiego Pen Clubu),*

JEAN-CLAUDE CASANOVA *(francuski intelektualista i ekonomista, prezes Narodowej Fundacji Nauk Politycznych),*

ADAM CIECHANOWIECKI *(kolekcjoner sztuki),*

FLORIAN HENCKEL VON DONNERSMARCK *(niemiecki reżyser filmowy, twórca nagrodzonego Oscarem „Życia na podsłuchu"),*

LESZEK ELEKTOROWICZ *(poeta, prozaik, tłumacz),*

ALAIN FINKIELKRAUT *(pochodzący z rodziny polskich Żydów francuski intelektualista, filozof i eseista, analityk przemian społecznych we Francji i w Europie),*

WALDEMAR „MAJOR" FRYDRYCH *(legenda Wrocławia, twórca „Pomarańczowej Alternatywy")*

DARIUSZ GAWIN *(historyk idei),*

ANDRÉ GLUCKSMANN *(francuski filozof, obrońca praw narodów zagrożonych przez rosyjski imperializm),*

GRZEGORZ GÓRNY *(publicysta, twórca „Frondy"),*

ANDRZEJ HORUBAŁA *(krytyk literacki, reżyser filmowy),*

SŁAWOMIR IDZIAK *(operator filmowy),*

JERZY JAROCKI *(wybitny reżyser teatralny),*

PAUL JOHNSON *(historyk brytyjski, autor prac poświęconych dziejom XX w. oraz historii religii),*

WOJCIECH KILAR *(kompozytor),*

KRZYSZTOF KOEHLER *(poeta, dziennikarz, scenarzysta, znakomicie prowadził program TVP Kultura),*

JANUSZ KRASIŃSKI *(pisarz),*

RYSZARD LEGUTKO *(filozof, historyk idei),*

PAWEŁ LISICKI *(pisarz, eseista),*

MICHAŁ LORENC *(kompozytor),*

TOMASZ ŁUBIEŃSKI *(pisarz, eseista),*

OLGIERD ŁUKASZEWICZ *(aktor, obrońca misji społecznej teatru),*

PIERRE MANENT *(francuski myśliciel liberalny),*

WOJCIECH MARCZEWSKI *(reżyser filmowy),*

LESZEK MĄDZIK *(twórca sceny teatralnej KUL),*

ANDRZEJ NOWAK *(historyk, wydawca „Arcanów"),*

MAREK NOWAKOWSKI *(powieściopisarz),*

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI *(pisarz),*

PAWEŁ PASSINI *(reżyser teatralny),*

JAN POLKOWSKI *(poeta),*

KRZYSZTOF RUTKOWSKI *(pisarz, tłumacz),*

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ *(poeta, pisarz, historyk literatury),*

ROGER SCRUTON *(jeden z najciekawszych analityków kryzysu cywilizacji Zachodu, przyjaciel Polski, wspierał kulturę niezależną w latach 80.),*

ANDRZEJ SEWERYN *(aktor i reżyser),*

ROBERT TEKIELI *(twórca „bruLionu", dziennikarz),*

PIOTR TOMASZUK *(reżyser teatralny),*

U2 *(jeden z najważniejszych zespołów w historii muzyki rozrywkowej, świadek i komentator wielkich przemian społeczno-politycznych w Europie, manifestował wsparcie dla „Solidarności" w czasie stanu wojennego),*

GEORGE WEIGEL *(amerykański pisarz i teolog, autor najważniejszej biografii Jana Pawła II – „Świadek nadziei", nagrodzony Glorią Artis za zasługi dla kultury polskiej),*

WOJCIECH WENCEL *(poeta),*

BRONISŁAW WILDSTEIN *(pisarz, dziennikarz),*

ADAM ZAMOYSKI *(historyk, autor wydanych za granicą syntez dziejów Polski),*

KRZYSZTOF ZANUSSI *(reżyser, autor ważnych refleksji o stanie kultury),*

KRYSTIAN ZIMERMAN *(pianista).*

W tytule świadomie używam terminu pominięci, a nie wykluczeni. Większość z tych ludzi ma swoje miejsce w kulturze, ich nieobecność na kongresie szkodzi nie im, tylko idei takiego przedsięwzięcia jak Kongres Kultury. Głównymi rozdającymi stała się „Krytyka Polityczna", która konsekwentnie kontynuuje piętnowane przez Kisiela doktrynerstwo i nietolerancję. Ludzie tej orientacji nie chcą czy boją się konfrontacji z Gawinem, Górnym, Horubałą, Koehlerem i Wildsteinem. Nie chcą słuchać głosu Odojewskiego, Seweryna czy Zanussiego. Lista kwestii zakazanych jest dość oczywista: obecność dziedzictwa chrześcijańskiego, żywotność cywilizacji Zachodu, krytyka komunistycznego totalitaryzmu i rosyjskiego neoimperializmu. To dlatego nie pomyślano o zaproszeniu na Kongres ludzi odległych od tradycji konserwatywnej, ale niepodzielających poglądów skrajnie lewicowych, jak André Glucksmanna czy Pierre'a Manenta. Można byłoby zrozumieć zaproszenie „Krytyki" jako jednego z wielu żywych, interesujących młodych środowisk intelektualnych obok „Pressji", „44", „Kultury Liberalnej", lewicowego, ale nie salonowego „Obywatela" czy „Liberte". Dodać warto też intelektualne pisma założone lub tworzone przez starsze środowiska: „Więź", „Znak", „Przegląd Polityczny", „Res Publikę Nową", „Arcana", „Teologię Polityczną", czy będącą gdzieś pomiędzy nimi „Frondę". Brakuje więc nie tylko ludzi o poglądach konserwatywnych, ale szeroko rozumianego centrum, nawet związanego z obozem władzy. Rządzący polityką kulturalną występują w innej roli niż „lewicowi terroryści", są motywowani raczej brakiem idei i pełnią rolę „poputczików" nowej lewicy. Minister Zdrojewski poddaje się ekspansji ideologicznej tego

środowiska ze względu na jego siłę medialną i zwykły brak własnej koncepcji. Rządzący przypominają palaczy, którzy sypią węgiel do kotła statku, ale nie wiedzą, gdzie on płynie. To typowy przypadek polityki „zewnątrz sterownej", ulegającej naciskowi tych, którzy wiedzą, czego chcą. Statek stopniowo przejmują „terroryści" i prowadzą go w obranym przez siebie kierunku. To znów Kisielowe porównanie, przy pomocy którego opisywał politykę pozbawioną treści, kierunku i ambicji.

Być może *Alfabet* pozwoli odzyskać podmiotowość, uwolnić statek polskiej kultury z rąk ludzi niezainteresowanych prawdziwą wymianą myśli.

(„Uważam Rze", 27.09.2011)

Polska myśl budująca jedność

W czasie inauguracji polskiej prezydencji w Unii Europejskiej nie przypomniano, że polska myśl polityczna wcześniej niż francuska i niemiecka połączyła patriotyzm z otwarciem na współpracę narodów europejskich i z dążeniem do sprawiedliwości, co sprawia, że może inspirować niejedną debatę o przyszłości UE. Jeśli nazbyt często nie potrafimy odgrywać aktywnej roli w Europie, dzieje się to wskutek słabości polityki realnej i wciąż anachronicznych instytucji państwowych, nie zaś ideowego zapóźnienia, jak twierdzą często przedstawiciele lewicy. Robert Schuman, który powszechnie uznawany jest za twórcę koncepcji integracji europejskiej, przedstawił argumenty na rzecz przejścia od tradycyjnego nacjonalizmu do patriotyzmu połączonego z poczuciem europejskiej wspólnoty później niż uczynili to Adam Czartoryski, Jerzy Giedroyc czy Adolf Bocheński. W okresie dyktatury komunistycznej niezależna myśl polityczna w Polsce nie pogodziła się z podziałem Europy i nieraz samotnie upominała się o jedność Starego Kontynentu. Nawiązywała bowiem do silnej tradycji, widzącej polski wysiłek niepodległościowy w szerszej europejskiej i uniwersalnej perspektywie.

Wydaje się, że wczesne narodziny polskiej myśli o współpracy narodów Europy nie byłyby możliwe bez doświadczenia utraty niepodległości i podziału Polski przez zaborców. Pierwsze istotne refleksje w tej dziedzinie zawdzięczamy księciu Adamowi Czartoryskiemu – przywódcy Wielkiej Emigracji i założycielowi Hôtel Lambert. W latach 20., jeszcze przed wybuchem Powstania Listopadowego, Adam Czartoryski wydał pod pseudonimem *Essai sur la diplomatie*, w którym bronił prawa narodów do suwerennej

egzystencji państwowej i wartości uniwersalnych jako podstawy ładu w stosunkach między narodami. Ze szczególną bezwzględnością poddawał krytyce dominującą w XIX wieku praktykę polityczną, która wyrażała się w zasadzie: „Bierz, ale pozwól i mnie także zabierać". Przywódca Hôtel Lambert domagał się respektowania praw małych narodów w imię moralności i realizmu, zakładał bowiem nietrwałość porządku europejskiego opartego na sile. Projekt księcia Czartoryskiego zasługuje na uwagę również z tego względu, że stworzył go mąż stanu i polityk praktyczny, potrafiący łączyć zasady z politycznym realizmem. Dowiódł tego w okresie współpracy z carem Aleksandrem I, gdy podejmował próbę związania polskich aspiracji niepodległościowych z Rosją, jak i później w okresie emigracji, gdy zbudował Hôtel Lambert z rozbudowaną siecią dyplomatycznych wpływów w całej Europie.

Do idei Adama Czartoryskiego nawiązywali krakowscy stańczycy, definiujący bardzo wyraźnie związek Polski z chrześcijańską kulturą Zachodu. Chociaż krakowscy konserwatyści przeceniali znaczenie Monarchii Austro-Węgierskiej, widząc w niej wzorcowy przykład egzystencji wielu narodów w ramach jednego tolerancyjnego organizmu państwowego, to ich konserwatywna wykładnia patriotyzmu zasługuje na uznanie. Konserwatyści bronili chrześcijańskiej wizji patriotyzmu, który nie przeradza się w narodowy egoizm. Porównanie poglądów Stanisława Tarnowskiego i Michała Bobrzyńskiego z nacjonalizmem, który w tamtych czasach brał górę we Francji i Niemczech, wypada jednoznacznie pozytywnie na korzyść tych pierwszych. Konserwatystom krakowskim zawdzięczamy również koncepcję liberalnej polityki wobec Ukraińców i wrażliwość, która dziś kształtuje wschodni wymiar polityki europejskiej. Wspomniany Tarnowski wskazywał na wspólne dla obu narodów niebezpieczeństwo rosyjskie: „na jednej ziemi siedzimy, musimy na niej żyć jedni i drudzy obok siebie, a prawo ma-

my do niej i jedni i drudzy... Na to prawo i Rusinów i Polaków jeden nastaje i gwałci je Moskal".

Stosunek do narodów słabszych był prawdziwym testem dla polskiej myśli politycznej w okresie II Rzeczpospolitej. Wtedy zrodziły się idee jednego z najbardziej wpływowych ośrodków polskiej polityki, jakim była paryska „Kultura". Polityka wschodnia miała zasadniczy wpływ na ukształtowanie się pozytywnych poglądów Jerzego Giedroycia na przyszłość Europy. W latach 30. dwudziestokilkuletni Giedroyc wydawał „Bunt Młodych" i „Politykę", pisma, które odegrały ważną rolę w debacie publicznej tamtego okresu. Giedroyc przyciągnął do tych pism publicystów młodego pokolenia: Aleksandra i Adolfa Bocheńskich, Ksawerego i Mieczysława Pruszyńskich, Kazimierza Studentowicza, Stefana Kisielewskiego i Józefa Winiewicza. Zasadniczy wpływ na poglądy środowiska w sferze polityki zagranicznej miał Adolf Bocheński. W roku 1937 ukazała się jego praca *Między Niemcami a Rosją*, z argumentami na rzecz niepodległości Ukrainy i partnerskiej współpracy z naszym wschodnim sąsiadem. Motyw ten obecny był również w publicystyce Adolfa Bocheńskiego na łamach periodyków wydawanych w czasie II wojny światowej przez II Korpus. Wypada zwrócić uwagę na tekst *Trudności polityczne Federacji Środkowoeuropejskiej*, w którym przedstawił jeden z najciekawszych projektów integracji narodów naszej części Europy. Przed paroma laty przypomnieli go wrocławscy naukowcy Łukasz Machaj i Marek Maciejewski w antologii tekstów polskiej XX-wiecznej myśli europejskiej (*O jedność Europy*, UKiE, Warszawa 2007).

Pamiętajmy, że idee konfederacji narodów Europy Środkowej zyskały aprobatę ze strony rządu Władysława Sikorskiego. W grudniu 1939 r. gen. Sikorski wyraził wolę uczestnictwa Polski w „solidarnym zespole państw słowiańskich". Bardziej konkretnym przedsięwzięciem politycznym było podpisanie aktów konfederacji polsko-czeskiej z rządem Benesza, a dwa lata później Aktu Konstytucyjnego Pol-

ski i Czechosłowacji. Kluczowe znaczenie dla wznowienia koncepcji federacyjnych miał – rzecz jasna – akt agresji ze strony Niemiec i Rosji. Plany porozumienia polsko-czechosłowackiego nie zostały zrealizowane, polityka Benesza stawiała wyraźnie na kooperację ze Związkiem Radzieckim. Zostały jednak idee i argumenty pro federacyjne z zamysłem wytworzenia dużego bloku państw w strefie Adriatyku, Bałtyku i Morza Czarnego. Projekt miał tworzyć siłę równoważącą zagrożenie ze strony Niemiec i Rosji. Adolf Bocheński uważał, że przyszłość takiego związku leży w praktycznej solidarności i wymaga porzucenia pokusy dominacji. We wspomnianym tekście pisał: „Nowa federacja musi mieć charakter na wskroś nowoczesny i pierwszym jej nakazem musi być zerwanie z historią, która obfituje w tyle bolesnych dla naszych sąsiadów momentów. (...) Jeśli myślimy, że sąsiadujące z nami narody zamierzają się z nami połączyć po to, aby być zasymilowane, aby przestały istnieć – to jest omyłka".

W ostatniej fazie wojny Giedroyc i Bocheński mieli świadomość potrzeby uniwersalizacji polityki polskiej. W ich opinii idea niepodległości Polski musiała być związana z poparciem dla aspiracji wolnościowych narodów znajdujących się w strefie radzieckiej. Myśl polityczna paryskiej „Kultury" szła zatem od doświadczeń wschodnioeuropejskich do wyraźnej opcji na rzecz integracji europejskiej. Opowiadała się za budową wspólnot europejskich i upominała się o prawa narodów ujarzmionych przez Związek Radziecki. W tej perspektywie myśl Roberta Schumana nie wydaje się rewolucyjna. Jej walorem jest wskazanie na chrześcijańskie podstawy integracji europejskiej i potrzebę przedefiniowania patriotyzmu. Trzeba mieć jednak świadomość, że jej prawdziwym adresatem była jedynie zachodnia część podzielonej Europy.

Tymczasem, głos na rzecz jedności Europy był silnie obecny nie tylko na emigracji, ale również w kraju, pomimo ograniczeń nałożonych przez dyktaturę PRL. Pamiętać trze-

ba przede wszystkim o roli kardynała Bolesława Kominka, rzeczywistego autora „Orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich", który był świadomym prekursorem pojednania polsko-niemieckiego oraz jedności Europy. Wrocław był zatem miejscem rodzenia się myśli budującej prawdziwą jedność Europy i bardzo szkoda, że prezydent Komorowski i premier Tusk nie przypomnieli dorobku Kardynała. Orędzie przypominało wkład Polski w kulturę Europy i zostało napisane z silnym przekonaniem, że jej jedność będzie odbudowana wspólnym wysiłkiem narodów przedzielonych „żelazną kurtyną". Papież Jan Paweł II odwoływał się do poglądów kardynała Kominka, wolno zatem sądzić, że istnieje silny związek między sławnym „Orędziem" a ideą jedności Europy, która brzmiała w papieskich wypowiedziach bardzo mocno od momentu słynnej homilii wygłoszonej na Wzgórzu Lecha w 1979 r. aż do adhortacji apostolskiej poświęconej problemom zjednoczonej Europy (*Ecclesia In Europa*). W kręgu tych idei powstawała „Solidarność", największy wolnościowy ruch w historii Europy, który odegrał istotną rolę w przywróceniu jedności Starego Kontynentu. Bez wątpienia uchwalone przez I Zjazd „Solidarności" *Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej* było jednym z ważnych aktów przezwyciężania jałtańskiego rozdarcia.

Tak więc polska polityka zagraniczna nie ma prawa cierpieć na brak idei i doświadczeń, które mogą nadal odgrywać ożywczą rolę w kształtowaniu przyszłości jednoczącej się Europy. Mamy doświadczenie patriotyzmu otwartego na współpracę i solidarność z narodami Europy, mamy unikatowe doświadczenie wolności i solidarności. Idea solidarności, która oznacza prawdziwe partnerstwo wewnątrz Unii, może także kształtować jej wrażliwość wschodnią. Jeśli coś stoi na przeszkodzie aktywnej roli Polski na arenie europejskiej, to brak ambicji i nowoczesnych instytucji będących warunkiem skutecznej polityki. Jeszcze jest czas, żeby przypomnieć wspaniałe dokonania polskiej myśli politycz-

nej. Myśli, która leczy z kompleksów i czyni nas prawdziwymi współtwórcami Europy.

(„Gazeta Wrocławska”, 23.07.2011)

Ufać sobie i Europie

Innowacje traktatu lizbońskiego: realność czy fikcja

Transparentność i odwołania do zasady pomocniczości zadomowiły się na dobre w języku unijnym. Można znaleźć je niemal w każdym dokumencie. Dwie innowacje traktatu lizbońskiego – wzmocnienie uprawnień parlamentów narodowych jako strażników zasady pomocniczości i europejska inicjatywa prawodawcza – miały dodatkowo potwierdzać demokratyczne otwarcie Unii Europejskiej. Czy rzeczywiście wspomniane zasady i instytucje kształtują jej praktykę instytucjonalną?

Wbrew powierzchownej opinii Unia jest dopiero na początku procesu ich stosowania. Z pewnością można powiedzieć to o transparentności, która bardzo powoli przedostaje się do świata unijnych instytucji. Jawność nie jest postulatem politycznego idealizmu. Transparentność sprzyja jakości decyzji. I odwrotnie: im mniej jawności, tym więcej błędów, za które nikt nie odpowiada. Niestety, instytucje unijne wbrew zobowiązaniom traktatowym do jak największego poszanowania zasady otwartości (art. 15 TFUE) pozostawiają wiele do życzenia. Potwierdza to sprawozdanie europejskiego rzecznika praw obywatelskich. Zdecydowana większość spraw dotyczy deficytu przejrzystości w działaniu instytucji unijnych i ograniczonego dostępu obywateli do dokumentów. Ostatnio rzecznik domaga się rozszerzenia dostępu do informacji o przebieg negocjacji nad umową handlową UE-USA. Z podobnymi wnioskami wystąpi niebawem komisja ds. konstytucyjnych Parlamentu Europejskiego.

Transparentność procesu legislacyjnego w Parlamencie Europejskim ograniczana jest przez to, że wciąż za standard przyjmuje się głosowania tajne. Dopiero od niedawna osta-

teczne głosowanie nad dyrektywami i rozporządzeniami jest jawne i imienne. Głosowania nad poprawkami są niejawne, co praktycznie uniemożliwia weryfikację decyzji podejmowanych przez polityków. Każdy, kto prześledzi parlamentarne strony internetowe, zauważy, że w parlamentach narodowych, np. w polskim Sejmie i niemieckim Bundestagu, poziom przejrzystości jest znacznie wyższy. Ponadto przypomnieć wypada, że najważniejsza decyzja polityczna podjęta na początku kadencji – wybór szefa Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera – zapadła w głosowaniu tajnym. W tej sprawie tajne głosowanie jest reliktem wywodzącym się z XIX-wiecznego prawa parlamentarnego. Dziś za utrzymaniem tego rozwiązania nie przemawiają już żadne realne argumenty. Mój projekt zmiany regulaminu PE, który zakłada jawność wszystkich głosowań dotyczących powołania Komisji Europejskiej, popierają dziś konserwatyści, socjaldemokraci i liberałowie. Mam nadzieję, że z czasem zostanie przełamany opór Europejskiej Partii Ludowej, która jako jedyna broni *status quo* kosztem transparentności.

Przejrzystość eliminuje błędy, ale nie stanowi gwarancji dobrej legislacji. Więcej nadziei pokładano w zwiększeniu roli parlamentów narodowych jako strażników zasady pomocniczości. Przypomnijmy, że istotą wywodzącej się z nauczania społecznego Kościoła zasady pomocniczości jest to, by decyzje polityczne podejmowane były przez ten szczebel władzy, który znajduje się najbliżej danej kwestii. Subsydiarność pomyślana jest zatem jako antidotum na centralizm i inflację prawa. Właśnie dlatego traktat lizboński wyposażył parlamenty narodowe w nowe uprawnienia.

Przypomnijmy: parlamenty narodowe mogą przyjąć negatywną opinię w sprawie projektów aktów prawnych. Jeśli co najmniej jedna trzecia z nich uważa, że projekt nowego prawa unijnego narusza zasadę pomocniczości (żółta kartka), Komisja musi ponownie przeanalizować projekt. W przypadku, gdy większość głosów przyznanych parla-

mentom stwierdza naruszenie tej zasady, możliwe jest zablokowanie projektu (pomarańczowa kartka).

Na pierwszy rzut oka temu rozwiązaniu nic nie można zarzucić. Jednak praktyka jest bardzo odległa od deklarowanych celów. Osiem lat temu Hans Papier, prezes Niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego, stwierdzał, że „mimo tak szerokiego ugruntowania zasady pomocniczości w europejskich traktatach (...) nie jest w stanie powstrzymać ekstensywnego korzystania ze swoich kompetencji przez Wspólnotę" (*Zasada pomocniczości czy europejski centralizm*, „Przegląd Legislacyjny" 1/2007). Praktyka potwierdziła jego pesymistyczną prognozę. Komisja Europejska bardzo elastycznie traktuje zasadę pomocniczości, powszechnie wskazuje się na zbyt ogólne uzasadnienia i brak precyzyjnych kryteriów stosowania tej instytucji. W ciągu ostatnich 10 lat Unia przyjęła 19 630 aktów prawnych. Procedura żółtej kartki nie zdołała powstrzymać inflacji prawa. Kartki pomarańczowej nigdy nie zastosowano. Wprawdzie program legislacyjny Komisji Junckera jest mniej rozbudowany niż za czasów Barroso, a odpowiedzialny za legislację komisarz Frans Timermans deklarował stosowanie zasady pomocniczości, jednak pomimo tych zapewnień w programie Komisji znalazły się oprotestowane przez parlamenty projekty, w tym rozporządzenie o ustanowieniu prokuratury europejskiej.

Widać jaskrawo, że zasada pomocniczości musi być stosowana z większą determinacją i rygoryzmem, jeśli cel w postaci dobrej, oszczędnej legislacji ma być zrealizowany. Dla Sejmu i Senatu bardzo pomocna może okazać się książka prof. Cezarego Mika, w której proponuje on precyzyjne kryteria stosowania subsydiarności (*Parlamenty narodowe wobec zasady pomocniczości w świetle prawa i praktyki UE*, Wydawnictwo Sejmowe 2015) . Z kolei w PE wzrasta poparcie dla wydłużenia terminu, w którym parlamenty narodowe mogą zajmować stanowisko ws. projektów aktów prawnych. Dziś

wynosi on zaledwie 8 tygodni, co uniemożliwia rzeczywistą weryfikację.

Druga z innowacji traktatu lizbońskiego – europejska inicjatywa obywatelska (EIO) – znajduje się w stanie kryzysu. Przypomnijmy, że traktat dał grupie co najmniej miliona obywateli UE prawo do zwracania się do Komisji Europejskiej z wnioskiem o podjęcie działań prawnych. Nowe prawo polityczne dla obywateli prezentowane było jako wyraz demokratycznego otwarcia. EIO jest jedyną instytucją zbudowaną w logice demokracji partycypacyjnej. Niestety, praktyka odbiega od deklaracji traktatowych. Tylko dwie inicjatywy zebrały odpowiednią liczbę podpisów: „Right to water", proponująca uznanie wody za dobro niekomercyjne, i „One of us". Ta druga zyskała 1 mln 720 tys. podpisów z 20 krajów (we Włoszech 624 tys., w Polsce 236 tys.). Inicjatorzy „One of us" domagają się podjęcia prac nad przepisami na rzecz ochrony życia (przede wszystkim zakazem eksperymentów nad embrionami). Niestety komisja Barroso odmówiła podjęcia działań w tej sprawie.

W lutym odbyło się w Parlamencie Europejskim wysłuchanie publiczne w sprawie stosowania instytucji EIO. Przedstawiciele komitetów obywatelskich krytykowali przeszkody biurokratyczne w zbieraniu podpisów. Przedstawiciel ombudsmana domagał się większej aktywności samego Parlamentu Europejskiego. Jednak najważniejszy był postulat zmiany prawa (rozporządzenia o stosowaniu EIO) tak, aby Komisja Europejska nie mogła podejmować arbitralnych decyzji w tej sprawie. A zatem, jeśli inicjatywa cieszy się szerokim poparciem i uzyskała odpowiednią liczbę podpisów, Komisja Europejska powinna bezwzględnie podjąć działania. W przeciwnym razie nowe prawo obywatelskie zamieni się w fikcję, a europejska inicjatywa obywatelska będzie znaczyła mniej niż petycja, ta bowiem z chwilą akceptacji musi zostać rozpatrzona.

Innowacje traktatu lizbońskiego nie zostały urzeczywistnione, jak zapowiadano to w chwili ich ustanowienia.

Dla zagorzałych eurosceptyków może być to kolejny dowód na kryzys UE. Dla tych, którzy mają świadomość, że w interesie Polski jest obecność w UE, przyszłość tych instytucji nie jest bez znaczenia. Dlatego trzeba zrobić jak najwięcej dla ich urealnienia.

(„GazetaPrawna.pl", 11.03.2014)

Ufać sobie i Europie

Książka Jana Zielonki *Koniec Unii Europejskiej?* rozbudziła nadspodziewanie żywą dyskusję o przyszłości Europy i polskiej polityce zagranicznej. Po interesującym głosie Konrada Szymańskiego ambasador Bartosz Jałowiecki wykorzystał ją jako pretekst do wyłożenia własnych poglądów. Autor przestrzega przed sytuacją po hipotetycznym rozpadzie UE, w „której znów będziemy sami", i zachęca do zacieśnienia integracji w formule federacyjnej.

Esej Zielonki jest zajmujący i dobrze napisany, ale wnikliwym diagnozom towarzyszy nietrafiona prognoza. Zielonka surowo ocenia stan UE, pisząc, że przeżywa ona głęboki kryzys zaufania i spójności. Autor uważa, że w reakcji nań ukształtuje się integracja funkcjonalna (wokół poszczególnych branż, nie zaś terytoriów) i wzrośnie zasadniczo rola miast i regionów kosztem państw. To jest błędna i nieumotywowana wizja przyszłości UE. Unia pomimo kryzysu jest daleka od rozpadu, będzie nadal egzystowała, choć obciążona słabościami. Przedwczesne jest też ogłaszanie schyłku państw narodowych i nastania nowego ładu z kluczową rolą miast i regionów. Można zgodzić się, że struktura władzy w Europie będzie wielopoziomowa, a państwa będą miały bardziej sieciową niż monocentryczną strukturę, co wymusza bardziej inteligentną politykę wraz z umiejętnością gry wieloma instytucjami. Europa nie wróci jednak do stanu pełnego rozproszenia, „nowego mediewalizmu", jak chce autor eseju. Państwa pozostaną głównymi aktorami i wiele będzie zależało od ich siły i potencjału. Same dane porównujące wydatki państw z budżetem UE (stosunek 50 do 1) zaprzeczają ich schyłkowości. Filary polityki unijnej, takie jak bezpieczeństwo granic, nie mogłyby istnieć, gdyby

zabrakło „mocnych" państw. Wreszcie Unia nie wyręcza nikogo w zbudowaniu sprawnej administracji, sądownictwa i usług publicznych. Wręcz przeciwnie, liczy na to, że będą one działać na przyzwoitym poziomie mocą własnych wysiłków.

W jednym punkcie trzeba zgodzić się z ambasadorem Jałowieckim. Polska straciłaby na ewentualnym rozpadzie Unii i tylko ludzie pozbawieni wyobraźni mogą się cieszyć z takiej perspektywy. Unia doświadcza kryzysu, ale jest i pozostanie jedyną realnie istniejącą stałą formą kooperacji państw europejskich. Polska znajdująca się między Niemcami a Rosją straciłaby na rozpadzie UE więcej niż inni. Pisał o tym konserwatywny autor Roger Scruton, któremu nie można przypisać sympatii do elit brukselskich. Prawica powinna identyfikować to zagrożenie i odrzucać myślenie, że rozpad UE może być pożyteczny dla Polski. Taki punkt widzenia podzielać mogą tylko dziwacy odwykli od wpływu na realną politykę polską. Polska prawica nie może stać się zbiorowym Korwin-Mikkem.

Naszym problemem nie jest podważający obecność Polski w UE eurosceptycyzm, lecz pasywizm polityki polskiej – zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i polityki zagranicznej. Jeśli nie mogę zgodzić się z ambasadorem Jałowieckim, to właśnie dlatego, że jego argumentacja demobilizuje i rozbraja aktywną politykę. Autor idealizuje polskie dokonania po 1989 roku. Stwierdza, że to zrozumiałe, iż nasza gospodarka nie jest tak silna jak niemiecka, a administracja nie tak sprawna jak holenderska. Tyle, że to samo można powiedzieć o wszystkich gospodarkach i administracjach krajów europejskich. Problemem jest dramatyczny dystans, jaki dzieli nas nie tylko od Niemiec, ale od przeciętnej unijnej. Polska ma wedle danych oficjalnych najwolniej działające sadownictwo w Europie, administrację wrogą wobec przedsiębiorców, skandalicznie niskie wydatki na naukę, bardzo niskie wskaźniki innowacyjności, czy wciąż zapóźnioną infrastrukturę komunikacyjną.

Dlatego też polska strategia nie może ograniczać się do postulatu „działania w większej grupie państw". Potrzebna jest polityka „podwójnej stawki", nastawiona jednocześnie na budowę polskiego potencjału i aktywną obecność w UE. Chodzi nie tylko o zaufanie do Europy, ale także o wiarę we własne siły. Dziś powinniśmy łączyć budowę potencjału własnego (inwestycje w przemysł i naukę, naprawa administracji, budowanie potencjału obronnego) z asertywną i sprawczą polityką zagraniczną. Polska nie powinna, jak uczynił to rząd PO, pozwalać na rozbudowanie pakietu klimatycznego kosztem interesów polskich przedsiębiorców i konsumentów. Musimy mieć systematyczną politykę wschodnią, funkcjonującą nie tylko wówczas, gdy „wszystko wali się i pali". A nade wszystko rząd musi mieć samodzielne zdanie w kluczowych kwestiach europejskich, takich jak choćby negocjacje europejsko-amerykańskiego porozumienia o wolnym handlu i przepływie usług (TTIP), gdzie nadal nie możemy doczekać się informacji o polskim stanowisku.

Na forum Unii można i trzeba uprawiać politykę asertywną, należy czynić to z użyciem inkluzywnego i komunikatywnego dla Europy języka, przy odwołaniu się do zasad solidarności i pomocniczości. Trzeba jednak porzucić pokusę polityki łatwej. Mam wrażenie, że ulega jej ambasador Jałowiecki, twierdząc, że współpraca z Niemcami stanowi „remedium na przezwyciężenie kryzysów w Europie". Współpraca z Niemcami to ważny kierunek polskiej polityki, ale zdawanie się na jednego partnera jest objawem słabości, uwalnia od samodzielności i nie odpowiada unijnej rzeczywistości. Polska powinna mieć zdolność do budowania sojuszy także w innych kierunkach, choćby ze Szwecją, z którą mamy wspólne interesy bałtyckie i która podziela nasze racje geopolityczne. Niestety, dobrze zapowiadająca się współpraca w ramach Partnerstwa Wschodniego nie została napełniona treścią.

Reklamowany przez Jałowieckiego federalizm jest dziś raczej zaklęciem niż realnym kierunkiem rozwoju Unii.

W Parlamencie Europejskim federalistyczne tyrady lidera liberałów Verhofstadta słuchane są z coraz mniejszym zainteresowaniem. Idea Stanów Zjednoczonych Europy niewiele wyjaśnia. Potrzeba nam bardziej elastycznego i realistycznego stanowiska. Polska powinna przede wszystkim bronić zagrożonych fundamentów integracji: wspólnego rynku, rzeczywistej konkurencji, dbać o adekwatne traktowanie krajów naszego regionu i być jednocześnie gotową do zacieśniania współpracy jeśli tworzy ona rzeczywistą solidarność. Ale nade wszystko potrzeba nam własnej polityki, która z wyprzedzeniem formułuje propozycje w kluczowych kwestiach europejskich.

(„Rzeczpospolita", 25.02.2015)

Konserwatyści wobec integracji europejskiej

Nie ma europejskiego konserwatyzmu, który zajmowałby solidarne i jednolite stanowisko we wszystkich kluczowych kwestiach europejskiej debaty publicznej. Partie tworzące Grupę Europejskich Konserwatystów i Reformatorów łączy głównie sprzeciw wobec centralizmu i federalistycznych projektów integracji europejskiej. W pozostałych sprawach, takich jak choćby ochrona cywilizacji życia, stosunek do USA i więzi transatlantyckich czy pogląd na temat wschodniej polityki UE, różnice są znaczne.

Europejskich konserwatystów zasadniczo różni podejście do modelu wyrównywania różnic w rozwoju ekonomicznym pomiędzy starą a nową Europą. Brytyjscy torysi są konsekwentnymi zwolennikami ograniczania budżetu UE, co bezpośrednio przekłada się na wielkość środków kierowanych do Polski i innych krajów naszego regionu. Bronią zarazem nieugięcie korzystnych dla Zjednoczonego Królestwa przywilejów ustanowionych w czasie negocjacji akcesyjnych w latach 70. Konserwatyści z Europy Środkowej i Wschodniej stoją tymczasem na stanowisku, że polityka spójności nie jest darem, lecz wyrazem solidarności, która powinna być naczelną zasadą przyświecającą Unii. W innych sprawach podziały polityczne przebiegają w poprzek tradycyjnych linii. Zdarza się, że poparcie w sprawie twardej polityki wobec Rosji przychodzi nie tylko od prawicy, ale także od zielonych i liberałów. Ze smutkiem trzeba odnotować, że niektóre partie prawicowe wspierają projekty skierowane przeciw rodzinie i życiu.

Konserwatyzm ze swej istoty nie jest nurtem uniwersalnym i jednolitym. Tradycje konserwatywne kształtowały się równolegle w wielu państwach i w zasadniczo odmien-

nych warunkach politycznych, społecznych i historycznych. Istnieje wiele tradycji konserwatywnych i konserwatyzm brytyjski, który za sprawą wybitnej premier Margaret Thatcher wpływał na myślenie polskiej prawicy w latach 80. i 90., z pewnością nie może dziś inspirować polityki polskiej. Jego główne przesłanie w kwestiach europejskich polega na wyłączeniu z reguł integracji, na wygodnym układaniu sobie życia obok.

To, na co mogą sobie pozwolić mieszkający na wyspie Brytyjczycy, nie jest właściwym drogowskazem dla Polski. Nasza polityka musi być nastawiona nie na wyłączanie się z integracji, lecz na podmiotowy w niej udział. Polska powinna przede wszystkim wzmacniać się wewnętrznie, ale nie może przy tym rezygnować z instrumentów, jakie daje Unia. Chodzi zatem o podwójne zaufanie – sobie i Europie – a nie efekciarski eurosceptycyzm. Strategiczne wyzwania Polski to wzmocnienie własnego bezpieczeństwa i wyjście z pułapki dryfu rozwojowego. Podmiotowy i aktywny udział w Unii Europejskiej otwiera wiele szans w tych wymiarach. W obliczu coraz większej niestabilności na wschodzie Unia jest równie istotnym jak NATO elementem sieci wzmacniającej nasze bezpieczeństwo.

Inspiracji należy zatem szukać raczej w polskiej tradycji konserwatywnej, która wyrażała zainteresowanie solidarną współpracą narodów europejskich i gotowość do integracji pod warunkiem solidarności. Ideą podstawową jest zjednoczona Europa solidarnych narodów. Jeśli gdzieś w przeszłości szukać wzorów dla takiej polityki, to znaleźć je można w szkole ks. Adama Czartoryskiego. Ten najwybitniejszy przed Piłsudskim i Dmowskim mąż stanu uważał za konieczne połączenie reform wewnętrznych z asertywną dyplomacją polską w Europie. Był nauczycielem polityki ambitnej, a jednocześnie twardym realistą. Św. Jan Paweł II mówił z kolei w 2001 roku, iż: „słuszne jest dążenie do tego, aby Polska miała swe należne miejsce w ramach politycznych i ekonomicznych struktur zjednoczonej Europy”,

zwracając jednocześnie uwagę, że integracja nie może ograniczać się tylko do wymiaru ekonomicznego i materialnego.

W poważnej debacie o kształcie Unii nie ma perspektywy federalistycznej. Dziś kluczowym problemem jest egoizm silnych państw, zamykanie rynków kosztem konkurencyjności i polskiego biznesu, próba narzucenia przez Europę Zachodnią modelu ograniczającego nasze szanse rozwojowe i grożącego zamknięciem nas w pułapce średniego dochodu, w którym dalsze doganianie najlepiej rozwiniętych państw UE będzie niemożliwe. Problemem nie są utopijne pomysły głoszone na elitarnych konferencjach, lecz restrykcje dotyczące wykorzystania węgla w energetyce, fikcja proponowanej wspólnej polityki energetycznej czy zmonopolizowanie funduszy na naukę i rozwój przez kraje Europy Zachodniej.

Polska zatem musi prowadzić politykę trudną, politykę aktywnej obecności w Unii w kontrze do dominujących poglądów i interesów. W tej sytuacji możemy odwołać się nie do doktryny wyłączenia, obrażenia się na złą Unię, lecz do podmiotowej partycypacji i idei solidarności, która wyklucza hegemonizm. Innej dobrej polityki nie będzie. Alternatywą jest podejście obecnego obozu władzy, który demobilizuje Polaków i redukuje narodowe ambicje.

O tym, że federalistyczne pomysły na integrację nie są obecnie realnym problemem świadczy fakt, że w ostatnich latach władza w Unii przesuwa się z instytucji wspólnotowych (przede wszystkim Komisji Europejskiej) do międzyrządowych (Rada Europejska, Rada UE). Stwarza to wiele możliwości konstruowania sojuszy w konkretnych sprawach. Polska polityka powinna być samodzielna. Czasem sojusznikami mogą być najsilniejsi, ale równie często grupy państw średnich i mniejszych, jak chociażby Skandynawowie czy kraje Europy Środkowej i Wschodniej. Podczas krakowskiej edycji kongresu „Polska Wielki Projekt" goście z Czech i Rumunii wzywali nas do większej aktywności na forum europejskim. Dobra i skuteczna polityka polega na

harmonijnej grze na wielu instrumentach – tak mechanizmach międzyrządowych, jak i wspólnotowych. Tym bardziej, że zdarza się, iż Komisja Europejska broni interesów wspólnotowych, np. podejmując śledztwo przeciwko monopolistycznym praktykom Gazpromu.

Warunkiem wykorzystania szans w Europie jest prowadzenie dobrej polityki w Polsce. Musimy ufać sobie, bo to od nas samych zależy pomnożenie naszego potencjału. Unia nie wyręczy nas w dziele reformy państwa, naprawy administracji, wsparcia dla biznesu czy stworzenia skutecznego systemu wydatków na naukę i innowacje.

Przed paroma dniami w trakcie dyskusji podczas krakowskiej edycji kongresu „Polska Wielki Projekt" padło wiele głosów pryncypialnie krytykujących Unię Europejską praktycznie we wszystkich jej przejawach. Takie jednowymiarowe podejście jest jednak błędne i nie daje odpowiedzi na najważniejsze wyzwania polskiej polityki. Nie jesteśmy bowiem Wielką Brytanią, krajem wyspiarskim o silnej gospodarce, sprawnej i nowoczesnej administracji, nie dysponujemy bronią atomową. Nie stać nas na luksus *splendid isolation*. Szkoła konserwatywna zawsze uczyła realizmu. W naszym realistycznie rozumianym interesie leży zaś sprawna i nowoczesna, ufundowana na idei solidarności Unia Europejska, w której polski głos jest silny i słyszalny.

(„Gazeta Polska Codziennie", 25.04.2015)

Europa Środkowo-Wschodnia musi stanąć na nogach

Powiązanie współpracy regionalnej z integracją europejską ma długą tradycję w polskiej myśli politycznej. Działający na emigracji polscy prekursorzy jedności Europy już w latach 50. widzieli w solidarności regionalnej czynnik sprzyjający dobrze pojętym interesom państw naszego regionu i, co nie mniej ważne, wewnętrznemu zbalansowaniu jednoczącej się Europy. Już w 1955 r. profesor Zbigniew Jordan głosił przekonanie, że integracja europejska powinna mieć wielostopniowy charakter, a ryzyko hegemonii powinno być obniżane przez „połączenie się narodów słabszych w związki regionalne". W projektującym politykę niepodległej Polski w Europie tekście *Niepodległość a federalizm* dowodził: „Federacja krajów Europy Środkowej i Wschodniej nie byłaby wymierzona przeciwko żadnemu z obu ich wielkich sąsiadów. Kraje naszego rejonu pragną żyć w zgodzie i dobrych sąsiedzkich stosunkach zarówno z Niemcami, jak i z Rosją. Obrona niepodległości jest jednak obowiązkiem i prawem każdego narodu i federacja Europy Środkowej i Wschodniej miałaby na celu jedynie prawo to umocnić bez naruszania słusznych interesów stron innych".

Dziś jeszcze więcej argumentów przemawia za rozwinięciem współpracy regionalnej. Wobec niebezpiecznego dryfowania UE w stronę koncertu mocarstw pozycja Polski zależy od jej zdolności do budowania szerszych koalicji w ramach Unii. To prawda, że koalicje zawierane w ramach UE mają z natury rzeczy zmienny charakter, ale współpraca państw Europy Środkowo-Wschodniej wydaje się nieodzownym sposobem zwiększenia ich podmiotowości i wpływu na politykę europejską.

Współpraca regionalna musi być stałym elementem strategii polskiej polityki zagranicznej. Dobra polityka w tej sferze wymaga konsekwencji i umiejętności radzenia sobie z sytuacjami, w których dochodzi do różnic interesów i niespójności stanowisk. Trudno nie zauważyć dwuznacznej polityki Słowacji i rządu Victora Orbána w stosunku do Rosji. Nie oznacza to jednak, że Słowacja, Węgry, kraje bałtyckie i Rumunia nie mają wspólnych interesów wobec rosyjskiej ekspansji w Europie Wschodniej, wobec przekształcania UE w narzędzie realizacji celów dwóch-trzech największych państw europejskich, wobec kryzysu globalnego kapitalizmu i podporządkowania społeczno-gospodarczej polityki UE punktowi widzenia Europy Zachodniej (dekarbonizacja).

Pomimo występujących rozbieżności nie można mówić o zaniku poczucia wspólnoty interesów. Jeśli chodzi o sferę bezpieczeństwa i obrony doszło w ostatnim czasie do reorientacji *in plus*, do jeszcze większego zbliżenia stanowisk Polski, państw bałtyckich i Rumunii. Warto odnotować atlantycki kurs Bułgarii – kraju, który ze względów historycznych orientował się dotąd na Rosję. Wreszcie trzeba podkreślić silne, ponadprzeciętne zainteresowanie Rumunii aktywnością Polski w regionie.

O współpracy regionalnej nie można myśleć w kategoriach konstrukcji idealnych, które raz na zawsze rozwiążą polskie problemy w Europie. Natomiast Polska może animować z powodzeniem współpracę regionalną jeśli przedstawi wiarygodną i ukonkretnioną propozycję. Jej celem powinno być przede wszystkim trwałe wpływanie na politykę UE oraz budowanie regionalnego potencjału gospodarczego i cywilizacyjnego, który będzie przynosił korzyści wszystkim krajom tej strefy.

Uważam, że program współpracy regionalnej powinien obejmować nie tylko członków Grupy Wyszehradzkiej, ale także kraje bałtyckie oraz Rumunię i Bułgarię, a więc dziewięć państw UE. Ze wszystkimi tymi krajami łączy nas nie

tylko zagrożenie ze strony ekspansjonistycznej polityki rosyjskiej, ale i zasadnicze priorytety w UE: sprzeciw wobec ograniczania wolnego przepływu osób, usług i towarów, sprzeciw wobec zmniejszania solidarnościowego wymiaru UE oraz opór wobec dominacji w procesie decyzyjnym Unii dwóch-trzech największych państw kosztem metody wspólnotowej. Polem współpracy powinno być także dążenie do podmiotowego udziału państw naszego regionu w unijnych programach naukowych i innowacyjnych.

Współpraca regionalna musi uzyskać nowe, mocne oparcie instytucjonalne. Trzeba nadać systematyczną formę współpracy w ramach „dziewiątki" i rozważyć idee wspólnych i cyklicznych posiedzeń przedstawicieli rządów państw naszego regionu. W przyszłości można myśleć także o powołaniu wspólnego zgromadzenia parlamentarnego, które będzie formą stałego dialogu elit politycznych.

Wspólny interes państw regionu Europy Środkowo-Wschodniej przemawia za inwestycjami w infrastrukturę komunikacyjną zarówno w skali całego regionu (Kłajpeda-Białystok-Lublin-Rzeszów-Koszyce-Debreczyn-Oradea-Calafar-Sofia-Saloniki), jak i połączeń bilateralnych. Niedostatki w połączeniach drogowych ze Słowacją i kolejowych z oboma południowymi sąsiadami obniżają możliwości rozwoju gospodarczego poprzez intensyfikację wymiany.

Współpraca w dziedzinie polityki energetycznej narzuca się jako konieczność. W pierwszej kolejności chodzi o przeciwstawienie się restrykcjom dotyczącym wykorzystania węgla w gospodarce. Potrzebna jest budowa sieci regionalnych wspierających modernizację i unowocześnienie kopalni. Polska po zbudowaniu gazoportów powinna stać się regionalnym hubem w zakresie przesyłu gazu, co może interesować przede wszystkim Słowację.

Potrzebne jest także ożywienie współpracy w sferze nauki, kultury i wymiany młodzieży. Dorobek dysponującego szczupłym budżetem Funduszu Wyszehradzkiego powinien zostać rozwinięty. Polska powinna wspierać współpra-

cę naukową uczelni wyższych poprzez animację regionalnych sieci naukowych. Dyplomacja powinna wykorzystywać inicjatywy obywatelskie. Warto wskazać na dorobek Ośrodka Myśli Politycznej w tej sferze oraz na nowe przedsięwzięcia, takie jak Forum Prawo na rzecz Wolności i Rozwoju, które odbędzie się jesienią tego roku w Katowicach. Będzie ono znakomitą okazją do wymiany doświadczeń ustrojowych między politykami, ekspertami prawnymi, przedstawicielami świata gospodarczego i organizacji obywatelskich z całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Osobnym problemem jest współpraca w zakresie bezpieczeństwa i obrony. Trzeba pojmować ją jako rozwinięcie współpracy w ramach NATO. Warto rozważyć zaangażowanie w niepodjęty dotychczas przez Polskę projekt państw ramowych NATO. Budowa porozumień obejmujących współpracę zbrojeniową i ćwiczebno-operacyjną ma szczególny sens w odniesieniu do państw bałtyckich i Rumunii.

Dla naszej polityki w regionie Europy Środkowo-Wschodniej kluczowym problemem jest wiarygodność i stałość. Polska polityka zagraniczna pod rządami PO obciążona została rażącymi błędami. Polska dyplomacja porzuciła realizowaną z powodzeniem przez śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego rolę animatora współpracy regionalnej, ogłoszono samodzielne radzenie sobie z wielkimi tego świata i *désintéressement* Europą Środkowo-Wschodnią. Skutkiem tej polityki było obniżenie wpływu na decyzje UE zarówno Polski, jak i krajów naszego regionu.

Ostatnie miesiące utwierdzają w przekonaniu, że nie ma przywództwa regionalnego bez zrozumienia specyfiki interesów poszczególnych państw i długoletnich inwestycji w budowanie solidarności regionalnej. Potrzebne jest zatem empatyczne przywództwo Polski i odbudowa zaufania do nas, jako państwa trwale zainteresowanego tym kierunkiem współpracy.

(„Rzeczpospolita", 13.07.2015)

Indeks

Agacka Joanna 150
Akavia Miriam 263
Aleksander I Romanow 268
Antall József 107
Aron Raymond 55, 199
Axer Jerzy 263

Balcerowicz Leszek 163
Banaszak Bogusław 67-68
Barroso José Manuel 277-278
Bartyzel Jacek 191
Belka Marek 79
Beneš Edvard 269-270
Bibó István 23-24
Bielecki Jan Krzysztof 100
Bobkowski Andrzej 243, 245
Bobrzyński Michał 71, 175, 180, 231, 268
Bocheński Adolf 9, 21, 175-185, 267, 269-270
Bocheński Aleksander 178, 184, 269
Bocheński Józef 184
Bolesław Chrobry 219-220
Boni Michał 62
Braun Kazimierz 263
Buchała Kazimierz 153-154, 156
Bukowiecki Stanisław 124
Burdeau Georges 43, 78
Buttiglione Rocco 212, 263
Buzek Jerzy 115, 247, 249-250

Capitant René 57
Car Stanisław 148
Carré de Malberg Raymond 59
Casanova Jean-Claude 263
Cassin René 201
Celiński Andrzej 223
Chadanowicz Andrej 263
Ciechanowiecki Adam 263
Ciechowicz Ludwik 124
Cywiński Bohdan 222
Czartoryski Adam Jerzy 267, 286

Ćwiąkalski Zbigniew 160-163

Dati Rachida 202
Davies Norman 240
Debré Michel 70
Dembińska Agata 58
Dmowski Roman 7, 180-181, 183, 222, 244, 286
Dobraczyński Jan 244-245
Dorn Ludwik 73, 286
Drucker H. 133
Dubanowicz Edward 81, 176
Dutkiewicz Rafał
Działocha Kazimierz 39
Dzierzgowski Szymon 71

Elektorowicz Leszek 263
Estreicher Stanisław 71-72, 81, 126

Fierich Xawery 148
Finkielkraut Alain 263

Frasyniuk Władysław 233, 237
Frydrych Waldemar 263

Gadomski Witold 51, 54
Gaulle Charles de 79, 200-202, 204, 255
Gaulle Philippe de 255
Gawin Dariusz 263, 265
Geremek Bronisław 233, 237
Giedroyc Jerzy 178, 182, 184, 261, 267, 269-270
Giertych Roman 243-244, 246
Glucksmann André 263, 265
Goetz Klaus H. 59
Gombrowicz Witold 243
Gorbaczow Michaił 195
Gosiewski Przemysław 147
Gowin Jarosław 167
Górny Grzegorz 263, 265
Grabski Stanisław 181
Graczyk Roman 19-20, 24, 181
Graniecki Michał 41
Grodziski Stanisław 124
Gronkiewicz-Waltz Hanna 94
Grotowski Jerzy 240

Hall Aleksander 9, 187, 195, 201
Heath Edward 97
Henckel von Donnersmarck Florian 263
Herling-Grudziński Gustaw 191, 243
Heydenkorn Benedykt 185
Hitler Adolf 224
Hołówka Tadeusz 181
Horubała Andrzej 263, 265

Idziak Sławomir 263
Iwanicki Stanisław 141, 143
Izdebski Hubert 103

Jabłoński Mariusz 68
Jałowiecki Bartłomiej 281-283
Jan Paweł II 222, 224, 262, 271, 286
Jarocki Jerzy 263
Jaruzelski Wojciech 194
Jaworski Władysław Leopold 37, 81
Johann Wiesław 41
Johnson Paul 263
Jordan Zbigniew 289
Juncker Jean-Claude 276-277
Jurek Marek 193

Kaczyński Jarosław 9-10, 51
Kaczyński Lech 257, 292
Kaddafi Mu'ammar 262
Kalisz Ryszard 147
Karpiński Wojciech 222
Kiernik Władysław 148
Kijowski Andrzej 222
Kilar Wojciech 264
Kisielewski Stefan 185, 200, 222, 239, 246, 261-262, 265-266, 269
Klaus Václav 106
Klukowski-Nakoniecznikow Bronisław 179
Kochanowski Janusz 62, 72
Koehler Krzysztof 264-265
Kołakowski Leszek 54
Komarnicki Wacław 37, 176
Kominek Bolesław 237, 241, 271
Komorowski Bronisław 82, 167, 271
Kopacz Ewa 60, 87
Korboński Stefan 148

Korwin-Mikke Janusz 282
Kostek-Biernacki Wacław 179
Kostro Robert 236
Kowalski Kazimierz 148
Krasiński Janusz 264
Krasiński Zygmunt 220-221
Król Marcin 180, 222
Krzemiński Adam 233
Kulczyk Jan 149
Kulesza Michał 104
Kuroń Jacek 190, 193-194
Kuruś Magdalena 62
Kwaśniewski Aleksander 30, 32, 43

Legutko Ryszard 264
Lewandowski Janusz 206
Lieberman Herman 148
Lisicki Paweł 264
Locke John 169
Lorenc Michał 264
Ludwik XIV 199

Łopuszański Jan 117
Łubieński Tomasz 222, 264
Łukaszenka Aleksandr 144
Łukaszewicz Olgierd 264

Machaj Łukasz 269
Maciejewski Marek 269
Mackiewicz Józef 184, 243, 245
Mackiewicz-Cat Stanisław 7, 180, 185
Majdański Kazimierz 244
Majewski Piotr 71
Makowski Wacław 148
Malewska Hanna 244
Malraux André 255
Manent Pierre 264-265
Marczewski Wojciech 264
Matyja Rafał 52
Mauriac Claude 200
Mauriac François 255
Maurras Charles 201
Mazowiecki Tadeusz 25, 99-100, 117, 249
Mazur Edward 160
Mądzik Leszek 264
Merkel Angela 87, 233
Merta Tomasz 223, 256
Meysztowicz Jan 184
Micewski Andrzej 207
Michnik Adam 190-191, 233
Mickiewicz Adam 221, 248
Mik Cezary 277
Mitterrand François 204
Monteskiusz 23, 57-58, 93, 133, 169
Morawski Kazimierz Marian 177

Niedziałkowski Mieczysław 7, 181
Nowak Andrzej 264
Nowakowski Marek 264
Nowosilcow Nikołaj 179

Odojewski Włodzimierz 264-265
Oleksy Józef 109
Olewnik Krzysztof 162
Olszewski Jan 100-101
Orbán Victor 290
Otton III 219-220

Papier Hans-Jürgen 277
Parulski Krzysztof 165
Passini Paweł 264
Pawlak Waldemar 102, 109
Peretiatkowicz Antoni 71

Perlińska Beata 70
Peyrefitte Alain 149, 157, 159-161
Piasecki Adam 37, 81
Piasecki Bolesław 184
Piechociński Janusz 87
Piłsudski Józef 7, 49, 176, 178, 286
Piotrowski Leszek 138
Piwowarczyk Jan 206
Płażyński Jakub 91
Płonka Beata 70
Polkowski Jan 264
Pompidou Georges 202
Pragier Adam 148
Pruszyński Ksawery 178, 184, 269
Pruszyński Mieczysław 179, 269
Przybył Mikołaj 165
Pużak Kazimierz 7

Radziewicz Piotr 69
Rakowski Mieczysław 98
Rémond René 200
Reynaud Paul 202
Robespierre Maximilien de 201
Rokita Jan 55
Rostworowski Marek 222
Rousseau Dominik 127-129
Rutkowski Krzysztof 264
Rybarski Roman 48, 176
Rymkiewicz Jarosław Marek 264
Rywin Lew 54, 160-161
Rzepliński Andrzej 134-135

Sarkozy Nicolas 199, 201-202
Sarnecki Paweł 15, 17-19, 23-24
Schuman Robert 267, 270
Scruton Roger 264, 282
Seweryn Andrzej 264-265
Sienkiewicz Henryk 243
Sikorski Radosław 60, 84
Sikorski Władysław 269
Słonimski Antoni 180, 261
Słowacki Juliusz 221
Smith Gordon 73
Staniszkis Jadwiga 135
Starzyński Stanisław 71
Steinbach Erika 233-235
Stembrowicz Jerzy 68
Stempowski Jerzy 243, 245
Studentowicz Kazimierz 269
Strug Andrzej 246
Strzembosz Adam 32-33, 112, 137
Studnicki Władysław 71
Suchocka Hanna 68
Szlachta Bogdan 71
Szujski Józef 175
Szymański Konrad 281

Tardieu André 94
Tarnowski Hieronim 177
Tarnowski Stanisław 175, 268
Tekieli Robert 264
Tewiński Jerzy 147
Thatcher Margaret 97, 286
Timermans Frans 277
Tocqueville Alexis de 133
Tomaszewski Henryk 240
Tomaszuk Piotr 264
Trąpczyński Wojciech 148
Trociuk Stanisław 60
Tusk Donald 11-12, 75-77, 80, 84, 87, 90, 92, 167, 271

Ujazdowski Kazimierz Michał 8-12, 70

Vattimo Gianni 262
Verhofstadt Guy 284

Wałęsa Lech 100-101, 192
Wasiutyński Bohdan 176
Wasiutyński Wojciech 185
Weigel George 224, 264
Wencel Wojciech 264
Widacki Jan 149
Wildstein Bronisław 54, 264-265
Winczorek Piotr 59
Winiewicz Józef 184, 269
Witos Wincenty 182
Wojciech św. 218-219
Wołek Artur 72
Woroniecki Jacek 157
Wronkowska Sławomira 59
Wyszyński Stefan 222, 224, 244

Zabłocki Janusz 207
Załuski Zbigniew 221
Zamoyski Adam 265
Zanussi Krzysztof 265
Zbieranek Jarosław 68
Zdrojewski Bogdan 257, 259, 262, 265
Zdziechowski Marian 177
Zielonka Jan 281
Zimerman Krystian 265
Ziobro Zbigniew 149, 160
Zoll Andrzej 122, 153-154, 156
Zubek Radosław 59, 61-62
Zubik Marek 62-63

Żeleński-Boy Tadeusz 180

OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ

Stowarzyszenie powołane w 1992 r. w Krakowie. Zajmuje się działalnością edukacyjną i naukową z zakresu filozofii politycznej, historii najnowszej oraz stosunków międzynarodowych. Jest również miejscem publicznej debaty o polityce polskiej.

Ośrodek Myśli Politycznej
www.omp.org.pl, e-mail: omp@omp.org.pl, faks 12 632 33 62
Adres korespondencyjny: skrytka pocztowa 322, 30-960 Kraków 1

* * *

Wspieraj niezależną refleksję o polityce!
KLUB PRZYJACIÓŁ I SPONSORÓW
OŚRODKA MYŚLI POLITYCZNEJ
www.omp.org.pl www.polskietradycje.pl

* * *

1 % PODATKU DLA OŚRODKA MYŚLI POLITYCZNEJ
Organizacji pożytku publicznego (nr KRS 0000076016)

Od 1992 r. – poprzez publikacje, konferencje oraz działalność naukową i dydaktyczną – propagujemy zasady polityki uprawianej w duchu poszanowania wolności indywidualnej, szacunku dla religii i polskiej tradycji kulturowej. W tym czasie zorganizowaliśmy kilkadziesiąt konferencji naukowych, szkół zimowych i letnich, cyklów wykładów i seminariów dla studentów, nauczycieli i uczniów szkół średnich, w których wzięło udział kilka tysięcy uczestników. Wydaliśmy także ponad 200 książek. Ośrodek podejmuje tematy trudne, niepopularne, a niezwykle ważne dla debaty publicznej w Polsce i edukacji obywatelskiej. Posiadanie przez OMP statusu organizacji pożytku publicznego daje możliwość wsparcia naszej działalności 1% Państwa podatku, o rozważenie czego prosimy. Liczymy na Państwa wsparcie i hojność.

Kazimierz Michał UJAZDOWSKI, *Geneza i tożsamość Konstytucji V Republiki Francuskiej*

„Przenikliwe studium unikalnego przypadku radykalnej zmiany ustrojowej dokonanej z niezwykłym szacunkiem dla monteskiuszowskiego ducha praw. Fascynująca lektura dla badacza doktryn polityczno-prawnych, pouczająca analiza dla konstytucjonalisty, niezastąpiony podręcznik dla polityka reformatora". Prof. Zbigniew Rau (Uniwersytet Łódzki)

V Republika Francuska. Idee, konstytucja, interpretacje

Wybór, wstęp i opracowanie Kazimierz Michał Ujazdowski

Antologia tekstów i dokumentów źródłowych, ukazująca powstanie i ewolucję ideowo-ustrojową V Republiki. Wśród prezentowanych autorów są m.in. René Capitant, André Tardieu, Michel Debré, Charles de Gaulle, Raymond Carré de Malberg, Nicolas Sarkozy. W tomie znajduje się także nowe tłumaczenie Konstytucji V Republiki z 1958 r. wraz z późniejszymi zmianami.

Adolf BOCHEŃSKI *Imperializm państwowy*

Imperializm państwowy to wybór pism Adolfa Bocheńskiego z pierwszych lat jego twórczości, gdy formułował idee i koncepcje, którym pozostał wierny przez całe życie. Ich znajomość pozwala w pełni zrozumieć stanowisko zajmowane przez niego w późniejszych artykułach z „Buntu Młodych", czy w słynnej książce Między Niemcami a Rosją. Są one ważne jednak nie tylko z tego powodu. Teksty Bocheńskiego z drugiej połowy lat 20-tych i początku 30-tych dotyczą bowiem największych wówczas dylematów polityki polskiej: jakości funkcjonowania ustroju II RP i jej elit politycznych, zagrożeń wynikających z geopolitycznego położenia Polski, skutków dokonujących się w niej wtedy przemian społecznych i kulturowych. Analizował te zagadnienia w szerokiej perspektywie polskiej historii, czyniąc swe ich ujęcie doskonałym studium polityczności Polaków: jej tradycji i współczesności, rozpatrywanych ze stanowiska konserwatywnego. Równie frapująco pisał o polityce i życiu intelektualnym innych państw, zwłaszcza Francji, Włoch, Niemiec, Ukrainy. Zawarte w tym tomie erudycyjne analizy polityczne Bocheńskiego pozostają do dziś cennym źródłem wiedzy i inspiracji – świadectwem niezwykłego talentu, który rozkwitł w pełni już na samym początku jego twórczości.

Adolf BOCHEŃSKI, *Między Niemcami a Rosją*

Klasyczna praca wybitnego myśliciela, czołowego publicysty II RP, stanowiąca jeden z najciekawszych wywodów geopolitycznych w dziejach polskiej myśli politycznej.

Polska naszych pragnień, Polska naszych możliwości. Antologia „Polityki Polskiej” (wspólnie z Muzeum Historii Polski)
„Polityka Polska” – pismo środowiska Ruchu Młodej Polski (RMP) – stała się w latach 80-tych XX w. głównym ośrodkiem krystalizacji myśli i strategii prawicowej opozycji antykomunistycznej. Jej znaczenie polegało przede wszystkim na stworzeniu języka, którym pod koniec lat 80-tych i w latach 90-tych niemal cała prawica (i nie tylko) opisywała rzeczywistość schyłkowego PRL-u, proces odzyskiwania suwerenności przez Polaków, dominację na scenie politycznej postsolidarnościowej lewicy, ale i wewnątrzprawicowe spory. W tym sensie czternaście numerów pisma opublikowanych do 1989 r. i pięć numerów, które wydano już legalnie, stało się prawdziwą szkołą myślenia i działania politycznego dla ludzi, którzy w III Rzeczypospolitej znaleźli się w tak odmiennych ugrupowaniach jak Unia Demokratyczna i Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, redagowali i „Gazetę Wyborczą”, i „Gościa Niedzielnego”, i „Pro Fide, Rege et Lege”. Warto więc przyjrzeć się „Polityce Polskiej” właśnie z perspektywy jej znaczenia dla polityki polskiej lat 80-tych i 90-tych, mocniej zaakcentować wątki, które dla jej autorów nie zawsze były najważniejsze, pokazać wyraźne dziś, a wówczas nieoczywiste, konsekwencje głoszonych przez nich idei.

Władysław KONOPCZYŃSKI, *Polscy pisarze polityczni XVIII wieku*
Po raz pierwszy prezentowane w całości, fundamentalne dzieło wybitnego historyka, traktujące o jednym z najbardziej interesujących okresów historii Polski. Szykanowany przez komunistów Władysław Konopczyński pisał je w ostatnich latach życia. Stworzył erudycyjną, opartą na prowadzonych przez kilka dekad gruntownych badaniach, skreśloną z niezwykłym rozmachem panoramę myśli polskiej z czasów, kiedy stanęła ona przed bodaj największym wyzwaniem w swych dziejach: gdy podjęła próbę zatrzymania Rzeczpospolitej na jej drodze do upadku. To fascynująca opowieść o przezwyciężaniu niekiedy wielowiekowych przyzwyczajeń i stereotypów, o pokusie ślepego naśladownictwa obcych rozwiązań ustrojowych, społecznych, gospodarczych i kulturowych, zwłaszcza tych nadciągających z Francji, o nieustannym konfrontowaniu idei z realiami osiemnastowiecznej polityki. Autor analizuje koncepcje Konarskiego, Karwickiego, Wybickiego, Kołłątaja, Staszica, Stroynowskiego, Leszczyńskiego, Szaniawskiego, Skarszewskiego, Naxa, Wielhorskiego, Krasińskiego, Zamoyskiego i wielu innych myślicieli tego okresu. Poznanie ich dorobku jest niezbędne dla zrozumienia przyczyn upadku I RP i niepowodzenia prób jej ratowania. Jego przemyślenie może także inspirować rozważania o naturze współczesnej polityki, pewne bowiem słabości i zalety polskiej polityczności są niezmienne mimo upływu wieków.

Władysław KONOPCZYŃSKI, *Polska a Turcja 1683-1792*
Misje dyplomatyczne, zakulisowe intrygi, akcje militarne – wydarzenia, które zaważyły na losach nie tylko Polski i Turcji, ale i całej Europy, w mistrzowskiej analizie prof. Władysława Konopczyńskiego (1880-1952), jednego z najwybitniejszych badaczy polskiej historii. Ukazuje on niesłusznie zapomniany – nawet przez wielu zawodowych historyków – fragment dziejów I RP, gdy część elit pogrążonej w kryzysie wewnętrznym i coraz bardziej ulegającej zewnętrznej presji Rzeczypospolitej uznała, że dla jej wzmocnienia a może wręcz ocalenia należy porozumieć się z dotychczasowym wielkim wrogiem. Co zwolennikom współdziałania z Turcją udało się osiągnąć a w czym ponieśli klęskę, kim byli ich wewnętrzni oponenci i dlaczego próbowali pokrzyżować ich zamiary, jakie decyzje podejmowano w Stambule i jak próbowano wcielać je w życie, jak na polsko-tureckie plany i działania reagowały Rosja, Prusy i Austria, jakie stanowisko względem nich zajmowały Francja, Anglia i Szwecja, co w obliczu tego wszystkiego robili Tatarzy – to zagadnienia, które trzeba znać, jeśli chce się naprawdę poznać drogę Polski ku upadkowi – i zrozumieć, dlaczego nie udało się go uniknąć.

Władysław KONOPCZYŃSKI, *Geneza i ustanowienie Rady Nieustającej*
W dziejach Polski niewiele było równie interesujących i kontrowersyjnych projektów politycznych, jak Rada Nieustająca. Nieliczni zwolennicy uznawali ją za cenny wysiłek reformatorski, zmierzający do tego, by Rzeczpospolita wreszcie otrzymała stały rząd. Krytycy uważali jedynie za kolejny krok na drodze podporządkowywania Polski sąsiednim mocarstwom, zwłaszcza Rosji. Przez dziesięciolecia spierano się o jej praktyczne znaczenie i czy można ją stawiać na równi z innymi europejskimi rządami epoki. Dziś o Radzie Nieustającej mówi się wszakże już niewiele – pozostaje ona w głębokim cieniu Sejmu Czteroletniego. Lekceważenie tej instytucji jest jednak błędem: zwłaszcza nieznajomość jej genezy uniemożliwia należyte zrozumienie ostatnich dekad I RP. Książka prof. Władysława Konopczyńskiego, jedna z najważniejszych jego prac, pozwala nadrobić te zaległości. Jest zarazem pasjonującą ponadczasową opowieścią o polskiej polityce, której współczesne oblicze – mimo zupełnie innych ram instytucjonalnych – ma zaskakująco wiele wspólnego z jej obrazem z czasów upadku państwa i prób jego ratowania.

Stanisław ESTREICHER, *Konserwatyzm krakowski*
Wybór pism jednego z najwybitniejszych konserwatywnych myślicieli politycznych schyłku okresu zaborów i II RP, intelektualnego spadkobiercy i kontynuatora myśli Stańczyków, wybitnego badacza polskiego prawa i ustroju, autora znakomitych analiz życia politycznego odrodzonej Polski i ważnego uczestnika ówczesnych dyskusji konsty-

tucyjnych. W tomie znalazły się najważniejsze teksty polityczne Estreichera (w tym słynne i budzące wiele emocji „Czy Polskę należy rządzić batem?", „Rokosz", „Konserwatyzm", „Walka z partyjniactwem") oraz kluczowe prace z zakresu konstytucjonalizmu i badań nad polską tradycją prawną i kulturową (m.in. „Kultura prawnicza w Polsce XVI wieku", „Znaczenie Krakowa dla życia narodowego polskiego w ciągu XIX wieku", „Zasada zwierzchnictwa narodu").

Edward DUBANOWICZ, *Ku stałemu ustrojowi państwa polskiego*
Wybór pism jednego z najważniejszych uczestników debaty konstytucyjnej w II RP, odgrywającego bardzo dużą rolę w pracach nad konstytucją marcową i w późniejszych dyskusjach o jej funkcjonowaniu, a także o konstytucji kwietniowej. To ważny głos w sporach o pożądany model polskiego parlamentaryzmu oraz podstawy i zakres władzy wykonawczej – sporach, których znaczenie daleko wykraczało poza ramy debaty akademickiej czy eksperckiej, miało bowiem wielki wpływ na kształt odbudowanego państwa i jego zdolność do radzenia sobie z wyzwaniami, przed którymi stanęło.

Stanisław TARNOWSKI, *Zygmunt Krasiński*
Po ponad stu latach na półki księgarskie powróciła klasyczna praca prof. Stanisława Tarnowskiego (1837-1917) – jedna z najlepszych polskich książek o literaturze i ideach politycznych. To nie tylko imponująca rozmachem biografia Zygmunta Krasińskiego (1812-1859) – znakomitego poety i myśliciela, który wywarł wielki wpływ na życie intelektualne kilku pokoleń Polaków i ich rozumienie kultury narodowej. Tarnowski oferuje czytelnikom znacznie więcej. Przedstawia twórczość Zygmunta Krasińskiego na szerokim tle myśli polskiej i europejskiej. Ukazuje najważniejsze dziewiętnastowieczne dylematy polityczne, ideowe i moralne – wiele z nich pozostaje aktualnych, choć wyrażają się w nowych formach. Nie poprzestaje na referowaniu stanowiska wieszcza, ale przedstawiając jego oryginalną interpretację, ukazuje zarazem własne poglądy, niegdyś mające duże znaczenie. Stanisław Tarnowski, profesor i dwukrotny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prezes Akademii Umiejętności, był bowiem jednym z najbardziej wpływowych historyków literatury i krytyków literackich okresu zaborów, należał też do grona najważniejszych polityków i publicystów w Galicji. Współtworząc grupę konserwatystów krakowskich zwanych Stańczykami, znajdował się w samym centrum kluczowych sporów ideowych, które zasadniczo wpłynęły na kształt polityki prowadzonej przez Polaków w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. W swym fundamentalnym dziele wraz z Zygmuntem Krasińskim zabiera czytelników w intelektualną podróż, dzięki której można nie tylko lepiej zrozumieć istotę pol-

skiej kultury i polityczności w ich dawnych przejawach, ale i wciąż twórczo je rozwijać.

Julian KLACZKO, *Wędrówki włoskie*
Zebrane w tym tomie dzieła: *Św. Franciszek z Asyżu i gotycyzm włoski*, *Listy włoskie*, *Wieczory florenckie* oraz *Rzym i Odrodzenie. Juliusz II* są fascynującą, erudycyjną podróżą przez dzieje włoskiej kultury i polityki – od średniowiecza po wiek XIX. Autor z wybitnym znawstwem interpretuje twórczość Dantego, Michała Anioła, Rafaela, Bramantego i wielu innych mistrzów. Z niezwykłą finezją przedstawia postacie największych ówczesnych włoskich artystów, mężów stanu i ludzi Kościoła. Ukazuje również drogę, jaką Włochy przeszły ku jedności, jak ewoluowała ich kultura i jak zmieniała się polityka – a także, jaki wpływ te procesy miały na całą Europę.

Maciej STARZEWSKI, *Demokracja i totalizm*
Wybór tekstów czołowego znawcy zagadnień prawnych i ustrojowych II RP, który w swych pracach dokonał gruntownej analizy ustroju Państwa Polskiego, odnosząc go do aktualnych trendów panujących w myśli politycznej i filozofii prawa. Spod jego pióra wyszły należące do najbardziej wnikliwych studia na temat Konstytucji marcowej i Konstytucji kwietniowej – ich podstaw teoretycznych, dyskusji prowadzących do ich opracowania i uchwalenia, wreszcie praktycznych dylematów związanych z ich funkcjonowaniem. Oprócz nich, w tomie znalazły się m.in. teksty poświęcone faszyzmowi, nazizmowi i komunizmowi, prawu międzynarodowemu oraz polskim i francuskim tradycjom politycznym – w których to dziedzinach Starzewski był uznanym autorytetem.

Wojciech DZIEDUSZYCKI, *Dokąd nam iść wypada? & Mesjanizm polski a prawda dziejów*
Tom ze słynnymi dziełami jednego z najważniejszych polskich myślicieli drugiej połowy XIX i początku XX wieku. *Dokąd iść nam wypada?* zawiera wszechstronną analizę głównych prądów ideowych epoki i trafnie przewiduje dalszy rozwój niektórych z nich, zwłaszcza komunizmu. *Mesjanizm polski a prawda dziejów* to natomiast praca, w której autor podjął namysł nad rodzimą tradycją, konfrontując ją z głównymi wątkami myśli niemieckiej, francuskiej i angielskiej. Refleksje lwowskiego myśliciela o romantyzmie i mesjanizmie stanowią jedne z najciekawszych ujęć tych kluczowych dla zrozumienia myśli dziewiętnastowiecznej zjawisk.

Stanisław ŁOŚ, *Sprawa ukraińska*
Tom pod redakcją naukową Macieja Marszała i Sylwii Wójtowicz z Uniwersytetu Wrocławskiego zawiera poświęcone sprawie ukraiń-

skiej wspomnienia, listy i teksty Stanisława Łosia, jednego z najwybitniejszych w II RP znawców tej problematyki.

Leon BILIŃSKI, *O socjalizmie, stańczykach i polityce narodowej*
Wybór pism czołowego konserwatywnego polityka i ekonomisty doby zaborów, wykładowcy Uniwersytetu Lwowskiego, prezydenta Austriackich Kolei Państwowych, ministra skarbu Austrii i II RP. W tomie zostały zawarte jego krytyczne analizy polityki krakowskich Stańczyków i ideologii socjalistycznej, a także teksty o pracy kobiet i ekonomii społecznej.

Adam HEYDEL, *Liberalizm i etatyzm*
Wybór pism czołowego myśliciela liberalnego II RP, związanego z ruchem narodowo-demokratycznym, zwolennika idei wolnorynkowych i przeciwnika etatyzmu, którego wady celnie wskazywał w swoich tekstach. W zbiorze znajdują się najważniejsze prace Heydla poświęcone liberalizmowi gospodarczemu i socjalizmowi, oraz sytuacji gospodarczej II RP, a także jego erudycyjne rozważania o kulturze.

Jan Ludwik POPŁAWSKI, *Naród i polityka*
Wybór pism najważniejszego – obok Romana Dmowskiego i Zygmunta Balickiego – myśliciela Narodowej Demokracji, który w swoich artykułach tworzył zręby ideologii endeckiej i formułował główne zasady polityczne środowiska, na przełomie XIX i XX wieku odgrywającego kluczową rolę w kształtowaniu polskiej polityki. Popławski definiował, czym jest patriotyzm i jak powinien być przekuwany na praktyczne działania w sytuacji braku niepodległości i w obliczu antypolskiej polityki zaborców. Rozważał kwestię, czym jest naród polski i jak w świadome życie narodowe włączyć dotąd obojętne – a niekiedy wręcz wrogie – w tym względzie masy ludowe.

Stanisław TARNOWSKI, *Królowa Opinia*
Wybór pism czołowego przedstawiciela krakowskich Stańczyków, ukazujący konserwatywną refleksję o dziewiętnastowiecznej polityce, ówcześnie dominujących ideologiach i głównych dylematach politycznych Polaków pod zaborami – sprawie niepodległości, stosunku do zaborców, świadomości narodowej i konfliktach społecznych.

Stefan BUSZCZYŃSKI, *Ameryka i Europa*
Tom zawierający fragmenty dwóch książek napisanych przez jednego z najbardziej znanych w Europie polskich myślicieli. To właśnie za sprawą zawartych w nich diagnoz kondycji Europy, niezwykle krytycznie przez niego ocenianej i zderzonej z pozytywnie przez niego postrzeganą ewolucją dokonującą się w Stanach Zjednoczonych, myśl Buszczyńskiego cieszyła się dużym zainteresowaniem a wśród czytelników jego prac byli m.in. Napoleon III i Wiktor Hugo.